



POLACY, KTÓRZY ZMIENILI ŚWIAT
DRUGI ODCINEK CYKLU

MICHAŁ KARNOWSKI:
ZNÓW POLUJĄ NA PIŚ

SIECI

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 14 (279) 2018
3-8 kwietnia

CENA: 6,90 zł (w tym 8% VAT)

NASZE ŚLEDZTWO

HAKI, KAŚA I SZANTAŻ

**W TŁE POLSKIEJ POLITYKI,
BIZNESU I MEDIÓW TOCZY SIĘ
BRUDNA GRA OPARTA NA GROŻBACH
I WPŁYWACH LUDZI SŁUŻB**

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

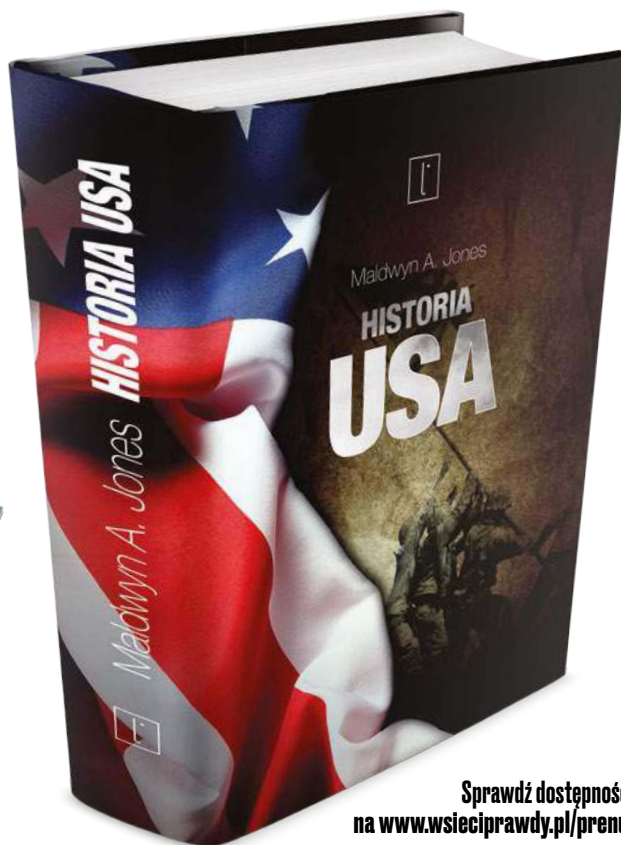


14

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

150 książek w prezencie

Zamów roczną prenumeratę pakietu:
tygodnik **SIECI** i miesięcznik
wSIECI HISTORII za **245 zł**, a książkę
„Historia USA” o wartości **99,90 zł**
otrzymasz **gratis!**



Sprawdź dostępność książek
na www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 15 70

prenumerata@fratria.pl

www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia,
w tytule wpłaty wpisując: Prenumerata pakiet i pełne dane adresowe do wysyłki.

Ustąpić, by skutecznie bronić

List amerykańskich senatorów domagających się od Polski odszkodowań za dawną żydowską własność jest dzwonkiem alarmowym. Wrażenie konfliktu z USA z oczywistych względów szkodzi i krajowi, i partii rządzącej.

Przedmiotem sporu jest projekt ustawy repriwatyzyacyjnej. A w nim – głównie zapis odbierający prawo do odszkodowań spadkobiercom dawnych właścicieli, niebędącym obecnie obywatelami RP. To bulwersuje Amerykanów i Żydów – jako sprzeczne z zasadą równości. Inne zapisy, jak ograniczenie wypłat do 20 proc. wartości utraconych dóbr, też bulwersują, ale mniej.

Uważam, że spadkobierców bez polskiego obywatelstwa trzeba objąć działaniem ustawy. Nawet gdyby ze względu na realia finansowe pociągałoby to konieczność dalszego zmniejszenia odszkodowań, np. do 15 proc. wartości. Bo wtedy, kiedy nie byłibyśmy już pod zarzutem przemycania do ustawy repriwatyzyacyjnej zapisów antyżydowskich, kiedy można byłoby powiedzieć, że Żydzi dostają może i mało, ale tyle samo co Polacy, łatwiej byłoby bronić punktów najważniejszych. Czyli przede wszystkim zasady, że za mienie, o które nie ubiega się żaden spadkobierca, nie płacimy odszkodowań organizacjom żydowskim. Bo tak naprawdę to żądanie jest teraz głównym zagrożeniem. Aby skutecznie bronić się przed nim, warto ustąpić w mniej ważnych punktach.

Piotr Skwieciński

Treserzy znów w akcji

Wyrażna zadyszka obozu rządzącego w połowie kadencji jest w demokracjach zjawiskiem normalnym. Słabnie legitymizacja wynikająca z wyborczego zwycięstwa, blednie pamięć o wyczynach poprzedników, media opisują bądź kreują skandale i afery. Wyborcy przyzwyczaili się już do osiągniętych sukcesów, a kolejne cele coraz trudniej zrealizować. Narastają wewnętrzne konflikty.

Brytyjczycy mówią w takich wypadkach o mid-term blues, czyli chandrze półmetka. Zazwyczaj mija ona wraz ze zbliżaniem się wyborów, gdy znów pojawia się mobilizacja, a kierownictwo polityczne zaczyna porządkować sytuację. Sądzę, że podobnie będzie w przypadku dobrej zmiany. Ostatecznie zasadniczy wybór pozostaje dramatycznie czytelny: albo obóz niepodległościowy pragnący Polski suwerennej i silnej, albo obóz III RP, dla którego nasza ojczyzna zawsze będzie „brzydką panną”.

Obecne kłopoty PiS mają jednak także drugie dno. Partia Kaczyńskiego wyraźnie jest celem zorkiestrowanej kampanii, która ma doprowadzić do trwałego zepchnięcia jej do defensywy. Zarzuty są więcej niż skromne: premie dla ministrów mogą drażnić i były błędem, ale czymże jest ich w istocie skromna skala wobec dziesiątków miliardów złotych odzyskanych przez dobrą zmianę? Tymczasem za pomocą medialnej kampanii próbuje się wytworzyć wrażenie, że rząd PiS trwoni jakieś ogromne pieniądze.

Mają rację ci, którzy mówią, że rządzący nie mogą zapomnieć o swoim motto: praca, pokora, umiar. Ale nie mogą też ulec tresurze mediów III RP, które gdy raz wyczują krew, to już nie odpuszczają. A widać, że te potężne ośrodki znów mają ambicję, by zasiąść w fotelu suwerena.

Jacek Karnowski





24

Z prof. Andrzejem
Zybertowiczem
rozmawia
Jacek Karnowski



42

Zabijanie
mamy i taty
Konrad Kołodziejski

45-
-56

Polacy,
którzy zmienili świat
Dodatek edukacyjny
(odc. II)

NA POCZĄTEK

- 6** Z ŻYCIA KOALICJI, Z ŻYCIA OPOZYCJI
Robert Mazurek, Igor Zalewski
- 8** NIEOFICJALNY PRZEGLĄD TYGODNIA
Sygnalista
- 9** MARTWA NATURA
Krzysztof Feusette
- 10** ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Piotr Skwieciński
- 12** SZPIEGOWSKA GRZYBNIA
Jan Pietrzak
- 13** IDEOLOGICZNY KRYMINAŁ
Bronisław Wildstein
- 14** OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki
- 15** DBAJMY O POLSZCZYZNĘ
Marta Kaczyńska
- 16** ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY
Dorota Łosiewicz
- 17** PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU
Dominik Zdort
- 18** FELIETONY
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

- 20** HAKI, KASA I SEKS
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

- 24** Z PROF. ANDRZEJEM
ZYBERTOWICZEM
rozmawia Jacek Karnowski
- 30** POŁOWANIE NA PIŚ RUSZYŁO
Michał Karnowski
- 33** BEREZA SCHETYNY
Stanisław Janecki
- 36** POŁOWANIE NA SIENKIEWICZA
Piotr Zaremba
- 38** NIE ODDAWAĆ POLSKI W NATURZE
Piotr Ikonowicz
- 40** CO Z TĄ SATYRĄ?
Ryszard Makowski
- 42** ZABIJANIE MAMY I TATY
Konrad Kołodziejski

SIECI KULTURY

- 57** WSZYSTKIE ROLE PIŚZE ŻYCIE
Jolanta Gajda-Zadworna
- 60** ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM
Piotr Zaremba
- 62** TEATR: „BELLA FIGURA” W GDAŃSKU
Przemysław Skrzydelski

- 63** PRZECHOWAĆ PAMIĘĆ:
„PASAŻERKA”
Adam Ciesielski

- 64** CZYTANIE JAKO SPORT
EKSTREMALNY
Wojciech Stanisławski

- 66** POLECA
Łukasz Adamski

OPINIE

- 68** TOŻSAMOŚĆ EUROPY
A IMIGRACJA MUŻELMAŃSKA
Bronisław Wildstein

HISTORIA

- 71** HOLOKAUST:
W POSZUKIWANIU PRAWDY
Rozmowa Piotra Ślabka
z prof. Janem Rydlem

ŚWIAT

- 74** UNIA WIEŹNIÓW POLITYCZNYCH
Jan Rokita
- 76** POTRZEBA NARODU
Aleksandra Rybińska

GOSPODARKA

- 78** Z HENRYKIEM KOWALCZYKIEM
rozmawia Ewa Wesołowska
- 82** RAZEM MOŻNA WIĘCEJ
Janusz Szewczak

KUCHNIA

- 84** MOJE SMAKI: TOMASZ KAROLAK
Jolanta Gajda-Zadworna
- 85** SŁODKO-SŁONY/WINNICA MAZURKA
Anna Monicka, Robert Mazurek

NA KONIEC

- 86** GROZA I GROTESKA
Piotr Skwieciński
- 87** DOKOŁA EUROPY
z Krystyną Grzybowską
- 88** ZŁY CZARNOKSIĘŻNIK
Dariusz Karłowicz
- 90** NEGOCJOWANIE SUWERENNOŚCI?
Wojciech Reszczyński
- 92** SUROGATKI PANA BOGA
Aleksander Nalaskowski
- 93** POŚWIĄTECZNIE
Wiktor Świetlik
- 94** EKSTREMISTA MYJE NOGI
Robert Mazurek
- 96** TRENDY I OWĘDY
Ryszard Makowski
- 98** INFOKALIPSA
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

10 kwietnia 2018 r. (wtorek)

PROGRAM OBCHODÓW VIII ROCZNICY KATASTROFY SMOLEŃSKIEJ

Apel Rodzin Smoleńskich:

Zapraszamy i dziękujemy

10 kwietnia minie 8 lat od Tragedii Smoleńskiej. W ósmą rocznicę tej najstraszniejszej w powojennych dziejach Polski katastrofy zapraszamy Państwa na Mszę Świętą w intencji Poległych, na marsz oraz na uroczystość odsłonięcia Pomnika Ofiar tego narodowego nieszczęścia. Marsz – na którym spotkamy się po raz dziewięćdziesiąty szósty – będzie marszem ostatnim, 96 Ofiar Tragedii Smoleńskiej i 96 marszów w obronie prawdy, godności i pamięci. To nie jest zbieżność przypadkowa. W tych dopełniających się liczbach zawarta jest wielka moc symboliczna.

Szanowni Państwo!

To dzięki Wam cel tych marszów – godne upamiętnienie Poległych – został osiągnięty. Za to okazywane nam przez tyle miesięcy wsparcie pragniemy z całego serca podziękować. Dziękujemy uczestnikom marszów za obecność, dziękujemy kapłanom za opiekę duchową, dziękujemy członkom służby porządkowej oraz funkcjonariuszom służb mundurowych i ratowniczych za zapewnienie bezpiecznych przemarszów.

Bóg zapłać!

— Rodziny Smoleńskie

Program obchodów:

8:00 Msza Święta w intencji Ofiar Katastrofy Smoleńskiej

Kościół seminaryjny pw. Wniebowzięcia NPM i św. Józefa Oblubieńca
w Warszawie (ul. Krakowskie Przedmieście 52/54)

8:41 Apel Pamięci

Przed Pałacem Prezydenckim w Warszawie

9:00–12:00 Blok filmowy

Plac marsz. Józefa Piłsudskiego w Warszawie

12:00 Regina Coeli

Plac marsz. Józefa Piłsudskiego w Warszawie

12:15–15:00 Blok filmowy

Plac marsz. Józefa Piłsudskiego w Warszawie

15:00 Koronka do Miłosierdzia Bożego

Plac marsz. Józefa Piłsudskiego w Warszawie

15:30 Odsłonięcie Pomnika Ofiar Tragedii Smoleńskiej 2010 roku

Plac marsz. Józefa Piłsudskiego w Warszawie

15:45 Złożenie wiązanek pod Pomnikiem Ofiar Tragedii Smoleńskiej 2010 roku

Plac marsz. Józefa Piłsudskiego w Warszawie

16:00 Odsłonięcie kamienia, w miejscu w którym powstał Pomnik upamiętniający śp. Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego

Plac marsz. Józefa Piłsudskiego w Warszawie

16:15 Wystąpienie Jarosława Kaczyńskiego. Wystąpienie Prezydenta RP Andrzeja Dudy

Plac marsz. Józefa Piłsudskiego w Warszawie

16:30–17:00 Koncert

Plac marsz. Józefa Piłsudskiego w Warszawie

19:00–20:00 Msza Święta w intencji Ofiar Katastrofy Smoleńskiej

Bazylika Archikatedralna pw. Męczeństwa św. Jana Chrzciciela w Warszawie
(ul. Świętojańska 8)

20:45 Wystąpienie Jarosława Kaczyńskiego

Przed Pałacem Prezydenckim w Warszawie

21:15 Zakończenie uroczystości pod Pomnikiem Ofiar Tragedii Smoleńskiej 2010 roku

Plac marsz. Józefa Piłsudskiego w Warszawie

Po Mszy Świętej

Marsz Pamięci z Bazyliki Archikatedralnej pod Pałac Prezydencki

Pokażmy, że Pamiętamy!

Z życia koalicji



Jeszcze przed świętami nastąpiło – spodziewane po szarży **Beaty Szydło** w obronie premii – tapnięcie w sondażach, ale to wydarzenie detaliczne. Poważne i jakże radosne było za to cudowne uzdrowienie Prezesa. Jak wszyscy wiedzą, rano, w dniu wygłaszania przez szefa dyplomacji Czaputowicza jego exposé, Kaczyński nie pofatygował się do Sejmu, gdzie byli i prezydent, i premier. Wy tłumaczono to „względami zdrowotnymi”. No i jakież było zdziwienie wszystkich, gdy po południu tryskający zdrowiem i humorem Kaczafi pojawił się na pisowskim jajeczku. Jurgiel, Szyszko, Kloc – wizja spotkania tylu tuzów w jednym pokoju każdemu dodałaby sił.



Trwa spotkanie klubu PiS, posłowie nagabują szefa klubu **Ryszarda Terleckiego**, by na posiedzenie zaprosić minister Emilewicz. „Jest wiele pytań do niej” – argumentują. I słyszą w odpowiedzi: „Z panią Emilewicz można się spotkać na korytarzu”. Prawdę mówili, że Pies to prawdziwy džentelmen.

Nie będziemy bronić Emilewicz, która jest w Gowina tak ślepo wpatrzona, że podpysuje mu karmy. My o czym innym. Otóż wśród posłów dobrej zmiany narasta złość na Psa. Nie dość, że szeregowych posłów traktuje fatalnie, nie ma dla nich czasu, a jak znajduje, to wrzeszczy, to jeszcze nie zwoluje nie tylko posiedzeń klubu, lecz nawet prezydium tegoż klubu, ciała zaiste dekoracyjnego. No choć jak z Terleckim, to jednak marna dekoracja.



Swoją drogą rozumiemy Psa, który odregowuje na gowinowcach. Zaangażował się bowiem całkiem serio i bardzo mocno w utracenie tej całej konstytucji dla nauki, a tu go Kaczor z buta potraktował i **Gowina** z jego ustawą poparł. Panie Ryszardzie, z Kaczorem tak zawsze.

Nie dość, że Gowina popiera, to jeszcze lubi koty. A nie Psy.

Taka uwaga na marginesie, że niezłe zadęcie ma PiS. Jak robi ustawę o przedsiębiorcach, to od razu konstytucja dla biznesu, jak o nauce, to konstytucja dla nauki. Czekamy na konstytucję dla rybołówstwa i konstytucję kanalizacyjną. Tę ostatnią imienia Sławoja-Składkowskiego.

Naprawdę nie chcieliśmy już pisać o wiceprezesa Świrskim i jego Polskiej Fundacji Narodowej, no ale się nie da. Jak wiadomo, PFN kupiła za dwadzieścia baniek żaglówkę, coby sobie Mateusz Kuszcznerewicz mógł popływać

w tę i we w tę. Jednocześnie w maju rusza Rejs Niepodległości – 400 młodziaków weźmie etapami udział w rejsie dookoła świata na „Darze Młodzieży”. No i organizatorzy poprosili Świrskiego o wsparcie, ale go nie dostali. A tak na marginesie, tyle było narzekania, że PiS takie toporne, ciężkawe, sieriozne, tromtadracja, kombatanctwo i męczeństwo. A tu, proszę, patriotycznie będą Polskę promować luksusową żaglóweczką z panienkami. Ale za to palemki do drinków będą białe-czerwone.

Jednak prawdziwą klasę tych magików pokazuje pomysł wydawniczy – przyrzekano nam, że autentyczny – prezesa Świrskiego. Otóż chciał on rozesłać do każdego polskiego domu taką ściągę, podobno już ją nawet napisał, o tym, jak rozmawiać z cudzoziemcami o polskiej historii. W sumie to fantastycznie, że u nas proces integracji niepełnosprawnych umysłowo zaszedł tak daleko, prawda?



PRZEGLĄD

Mazurka

Z życia opozycji



Podobno **Kazimierz Ujazdowski** chciałby wystartować w wyborach na prezydenta Wrocławia. Budyń, od czasu gdy zrobił doktorat zwany Doktorem Oetkerem, chwilowo jest jednak politycznym samotnikiem. Z poparciem Platformy nawet miałby spore szanse. Ale dla PO wiązanie się z Doktorem Oetkerem to niepewny interes. Bo jak Ujazdowski przychodzi do jakiejś partii, to zaraz potem z niej odchodzi.

„PiS to grupa pazernych ludzi, którzy dorwali się w końcu do władzy” – orzekł Rysiek z Planu Petru. Kto jak kto, ale on ma prawo tak powiedzieć. Petru w ogóle nie jest pazerny. Przed wyborami oddał wszystko żonie, którą zaraz potem porzucił. Może jest głupi, ale na pewno nie pazerny.



Nie jest też dżentelmenem. Rozumiemy, że jest cięty na Katarzynę Lubnauer, odkąd dostał od niej bęcki w wyborach na przewodniczącego Nowoczesnej. Ale nazywanie swojej następczyni „eksperymentem” to chyba przesada. To przecież nie jest jakiś Frankenstein.

A jak nazywają posłankę **Lubnauer** jej sojusznicy z Platformy Obywatelskiej? Otóż nazywają ją Staszek. Co więcej, ksywa się przyjęła, a to znaczy, że jakoś do niej pasuje. Staszek funkcjonuje już międzypartyjnie. To jeden z największych sukcesów PO w ostatniej pięciolatce.

Eee, no nie jest tak źle. Są i inne sukcesy. Platforma strzeliła w notowaniach. Co prawda to efekt nieporadności PiS niż sprawności PO, ale nie czepiajmy się. W polskiej polityce już dawno nie wygrywa ten lepszy, lecz ten mniej gorszy.

Roman Giertych to, jak wiadomo, intelektualne i prawne zaplecze obecnej opozycji. W związku z tym warto przypomnieć jego dzieło „Kontrewolucja młodych”, będące swoistym ideowym credo. Giertych pisał w nim m.in.: „Nie pchajmy się na Zachód, gdzie nas nie chcą. [...] Powie ktoś, że przyjęcie koncepcji sojuszu z Rosją godzi w suwerenność Polski. [...] Sojusz polsko-rosyjski byłby korzystny dla obu stron. Polska uzyskałaby w ten sposób bezpieczeństwo militarne”. Aha. I to podobno PiS jest prorosyjskie.

To aż smutno patrzeć, jak familia Lisów osuwa się w otchłań beznadziejności. Tomasz z wielkiej gwiazdy telewizyjnej stał się jedną z wielu twarzy Onetu, a program Hanny Lis w Polsat Cafe ogląda średnio... 26 tys. osób. To z grubsza ludność kilku wsi. Co za upadek.



Grzegorz Schetyna z platfusowym dworem gromadnie kibicowali na meczu Polski z Koreą Południową. Ciężki jest zawód polityka. Schet wolałby pojechać na mecz Celtów z Bostonu, bo woli kosa od gały, ale elektorat mógłby tego nie kupić, więc musi marznąć na stadionie w Chorzowie.

Spór o aborcję nie gaśnie. Podczas posiedzenia sejmiku mazowieckiego prawicowiec Marian Piłka nie postawił tradycyjnej kawy lewaczce Katarzynie Marii Piekarskiej. Była to kara za udział w „czarnym piątku”. No ale żeby tradycjonalista niszczył tradycję? Do czego to dochodzi!

Mateusz Kusznierewicz wyznał, że błędem było popieranie w przeszłości PO. Dawno temu śpiewano niezbyt ładnie „Dziesięć baniek i masz Waniek”. Szkoda, że „Kusznierewicz” nie rymuje się z „dwadzieścia”.



TYGODNIA

Zalawskiego

Nieoficjalny przegląd tygodnia

Sensacją tygodnia stał się sondaż ośrodka Kantar Millward Brown dla TVN, według którego PiS traci aż 12 punktów i cieszy się poparciem zaledwie 28 proc. wyborców. Nastroje faktycznie nie są najlepsze, opozycja odbiła się od dna, ale to badanie na kilometr pachnie manipulacją. Taką klasyczną przedświątęcną operacją wbiać narodu w odpowiedni nastrój.

Wygląda na to, że zastosowano **starą, dobrą sztukę sondażową**. Polega ona na tym, że najpierw pyta się ankietowanych o różne nieprzyjemne sprawy, np. o premie dla ministrów, a na końcu, już odpowiednio nastawionych, przepełnionych złością i irytacją, o to, na kogo będą głosowali. Później publikuje się pojedyncze odpowiedzi na taką serię pytań osobno, udając, że zostały zadane oddzielnie. Prymitywne, ale skuteczne.

W tymże badaniu TVN pytał także o ocenę **wystąpienia premier Szydło w Sejmie**. Pytanie brzmiało tak: „Pod nieobecność premiera Beata Szydło powiedziała w Sejmie, że nagrody, które otrzymywali ministrowie i wiceministrowie PiS, po prostu im się należały. Jak Pan(i) ocenia tę wypowiedź byłej premier?” „Pod nieobecność premiera...” – ten przedziwny wtret to coś, czego bogata przecież historia polskich sondażowni jeszcze nie widziała.

Wystąpienie premier Szydło skomentował dla wPolityce.pl **Jarosław Kaczyński**. „Bardzo się cieszę, że wystąpiła w Sejmie, i gratuluję jej tego. Z powodu ataku alergii nie mogłem tam być, ale chętnie bym tego wysłuchał, bo pamiętam, jak to się działo, kiedy była premierem. Wtedy od czasu do czasu ta spokojna, wyważona i dobra osoba tak troszkę pokazywała pazurki. I też przed tym wystąpieniem powiedziałem jej: »Pokaż, proszę, pazurki«”. Wielu odniosło wrażenie, że w tej wypowiedzi była nutka ciepłej tęsknoty.

Była premier ma poważne kłopoty, bo „Fakt” i podobne mu media postanowiły ją zniszczyć. Nie osłabić, nie ukarać za premie, ale po prostu zniszczyć. By już nigdy nie mówiła do Polaków ponad głowami dziennikarzy, co było i jest jej największym atutem. Dlatego kampania szczucia na Beatę Szydło jest tak intensywna, tak brutalna i tak sprzeczna z własnym interesem tabloidów. Bo przecież jeśli ktoś daje na pierwszej stronie ten sam temat przez tydzień, to raczej sprzedaży nie podnosi.

Gdy zabrakło już wątków do ciągnięcia tematu, „Fakt” sięgnął po **odpowiedź Kancelarii Premiera** na interpelację posła PiS z Radomia Andrzeja Kosztowniaka. Otóż zapytał on, jakie nagrody przyznawał sobie premier Tuski i jego ministrowie. Co prawda wiedza, że nie przyznawał sobie zbyt wielu, bo nie musiał (dochody obozu III RP szły w miliardy, ale ze złodziejskich operacji, a nie w tysiące

z nędznych premii), była powszechna, ale poseł zapytał. Zapewne wyłącznie z ciekawości.

Ekipa TVN obcesowo nagabywała prezes Trybunału Konstytucyjnego Julię Przyłębską. Na Dworcu Centralnym, w sytuacji czysto prywatnej, nie przejmując się wnuczką, którą miała pod opieką pani prezes. Akcja była naprawdę mocna, skoro interweniowali przechodnie, zwracając uwagę TVN-owcom, że przesadzają. Sytuacja dość symboliczna: media III RP odzyskują pewność siebie. Strach zniknął, respektu wobec dobrej zmiany coraz mniej. Niestety, wiedzieliśmy, że to musi się tak skończyć.

Pomysł przemalowania samolotów LOT na biało-czerwono rzucił Marcin Mastalerek. Ciekawą propozycję poparli prezydent Andrzej Duda i premier Mateusz Morawiecki. Prezes LOT Rafał Milczarski ma jednak inne zdanie. Ma do tego prawo, ale forma jego wyrażenia też się liczy. A ta jest ciekawa. Otóż prezes Milczarski pobiegł się poskarżyć na prezydenta do... Wp.pl. A to gorzej, niż gdyby pobiegł do „Wyborczej”.

No i ten styl wypowiedzi... „**Nie mam w ogóle pojęcia, co to znaczy »zarządzanie patriotyczne«**”, „Nie zamierzam się z nikim ścigać na to, kto głośniej krzyczy »Polska«”, „Nie zamierzam usypiać rozumu”. A do tego taka perelka: „Zawsze całe życie uważałem się za patriotę, wszystkie podatki płaciłem w Polsce”. Prezes nie pobiegł do „Wyborczej”, ale mówi do prezydenta i premiera „Wyborczą”. Ciekawe, czy o tym wie.

Muzeum Polin wypuściło spot, który sugeruje, że w Polsce panuje antysemityzm. Wśród zmartwionych bohaterów Daniel Passent – autor wiernopoddańczego „Listu do generała” tuż po zabójstwie ks. Popiełuszki i bohater piosenki Kaczmarskiego „Marsz intelektualistów”. Dowody na antysemityzm? Anonimowe wpisy w internecie. Polin pracownicy niszczy to, co zostało z dialogu polsko-żydowskiego. Ma prawo, ale historia wam tego nie wybaczy.

Signalista



KRZYSZTOF FEUSETTE

Martwa natura

No więc poszedłam. Celowo piszę już w nowej gramatyce gender, gdyż dość mam patriarchy w każdym dziedzinie. Poszedłam, chyba wiadomo dlaczego.

Po pierwsze, ręce precz od naszych macic. To, że od naszych, to jeszcze nic, bo osobiście nie znam nikogo, kto chciałby ręce w tych okolicach eksponować, ale teraz „ręce” muszą iść „precz” także od macic męskich.

Sama widziałam kilkunastu facetów z takim transparentem, więc niech mi nikt nie mówi, że ten nasz ruch, to nasze wspólne ruszanie z kopyta na ulice, nie przynosi efektów. Ileż musieli ci mężczyźni poświęcić, że im teraz tylko i aż macica pozostała? Nie chodzi mi o cojonos, bo akurat ci z cojonos za bardzo z nami chodzić nie chcą – od czasu, jak się dziewczyny z Pierdziszewa z nową kampanią wyrwały, że „oprócz macic mamy mózgi”. Od razu podziały się zaczęły. Jedna ma obie rzeczy, inna nie ma niczego, wrzask, pisk, szkoda gadać.

A przecież można skromniej, jak ta bohaterka z Gryfic, która na czarny strajk ostatecznie poszła sama. To znaczy stała, bo nikt nie przyszedł. Onet napisał, że „cała Polska jest poruszona tym zdjęciem”. Cała to może nie, ale Gryfice na pewno.

Na szczęście są jeszcze po naszej stronie osobliwości, pardon, osobistości zupełnie wyjątkowe i nie do podrobienia. Z okazji naszego strajku po godzinach wiele z nich zabrało głos i mamy dzięki temu kupę hasel na nasze transparenty. Swoją drogą, jakie to głupie słowo, skoro sugeruje, że „transy” jak nieszczęścia zawsze chodzą „parami”, skoro mogą i w „trójkąciach”, i w „kółeczkach” za potrzebą biegać. Inna sprawa, że te nasze toi toie, co je w czynie społecznym pani Hania prawie osobiście stawiała, w ogóle nie są przystosowane do specyfiki marszu tęczyowych matek na czarno. O matko Przybysz, ile było zgłoszeń, że się komuś boa niefortunnie zawinięło.

No w każdym razie wiele nowych hasel się pojawiło. Pan Morozowski z TVN24 porównał aborcję z „usuwaniami tworu rakowego”, a pan Żakowski z „Polityki” i 66 innych mediów (chyba tylko w „Głosie Łosia” go nie ma?) stwierdził, że tak jak słoń jest słoniem, a szafa szafą, tak płód jest płodem, a dziecko dzieckiem. Czyli – słoń nie szafa, a płód nie człowiek. Nawet mówi się czasem, że są ludzie i są plody. A nie, pardon, to o taboretach było. Aż mi się zamarzył program cykliczny w TVN Style z oboma w rolach głównych – w pierwszej części Morozowski mógłby opowiadać, jak na niego rodzice „Tworek – PO-Tworek” wołali, a w drugiej Żakowski rozmawiałby z kobietami,

które straciły dziecko podczas ciąży. Bo – po pierwsze – edukacja.

Czytam teraz naszą kochaną Paulinkę Młynarską, która pisze, że „PiS odbiera Polakom możliwość świadomego rozporządzania własną seksualnością”, i od razu mam przed oczami te wszystkie sceny, gdy pani Paulinka świadomie (bo nie było PiS) rozporządza swoją. Najpierw u Wajdy, potem na Zachodzie, w filmach i związkach,

wspaniałe świadectwo. Ale czego, to jeszcze nie doczytałam.

A jednak nie byłabym świadomą uczestniczką czarnego strajku, gdybym, mimo wielkich wyrazów wdzięczności dla jego organizatorek (a dodać muszę, że na początku to się bałam, że jak aktywistki naprawdę zastrajkują, to nie przyjdą), mam pewne pretensje do naszej ulicznej ekspozycji. Bo niestety nie do każdej uczestniczki dotarła informacja, żeby sobie samej narysować. Szłam, pardon, bądźmy konsekwentne, szedłam i widziałam, ile wspaniałych babek i prababek tacha z sobą własnoręcznie opracowane rysunki narządów rozrodczych. A to z białą-czerwonymi nogami, a to z palcem w obraźliwym geście wystającym z jajnika, a to w znak Polski Walczącej wpisane... Pytam jednej po angielsku, bo po polsku to ni w koronkę nie rozumiała: „Babciu, a gdzie żeście się tak pięknie malować nauczyli?”. A ona do mnie: „Jak to? No przecie był ten kurs, co go »Wyborcza« reklamowała!”. I ulotkę mi z reform wyciąga. Ależ mi się wstyd zrobiło, że nic nie wiedziałam.

To jest rewelacja, a ile ciekawych znajomości można zawrzeć. Zapisalam sobie najlepsze atrakcje: „Narysuj swoją cipkę – kultowe spotkania rysunkowe z wrocławską artystką, ilustratorką, hafciarką i aktywistką – Olgą Budzan”. Pani Olga pisze na ulotce, że „walczy o prawo kobiet do samostanowienia i o wolną, dziką puszcę”. Na początku nie załapałam, jaki związek ma ta „puszcza” z rysowaniem wiadomo czego, ale mnie koleżanki szybko uświadomiły, że różnie bywa. I dalej: „Jesteśmy otoczone przez anonimowe penisy, które spozierają na nas z murów, ścian szaleńców i przystanków autobusowych. Penisy dominują naszą przestrzeń publiczną. W ten sposób manifestuje się męskie ego. Podczas gdy penisy triumfują na murach, c... pki siedzą cicho skrytynie schowane w majtach. Czas to zmienić. C...pki też są piękne i różne, i mówią językami świata!”.

Zwłaszcza to ostatnie może się przydać, jak człowiek trochę po tej Unii jeździ. W przyszłym roku idę bankowo. Mam już nawet tytuł dla swojego obrazu: „Martwa natura”.





Fot. Shutterstock

Polacy na nas zarabiają!

Zahava England Shapiro to urodzona w Ameryce izraelska dziennikarka. Prowadzi blogi, pisuje do gazet i jest aktywna w mediach społecznościowych. Po wybuchu konfliktu wokół nowelizacji ustawy o IPN uległa – tak jak wielu syjonistycznych Żydów – antypolskiej histerii. W jednym z wpisów na Facebooku zażądała odwołania izraelskich wycieczek do Polski i przeniesienia corocznego Marszu Żywych do Yad Vashem. „Ani jednej złotówki więcej dla polskiego przemysłu turystycznego” – wyjaśniła.

Ano właśnie. Okazuje się, że w Izraelu panuje dość powszechne przekonanie, że te 30-40 tys. młodych Izraelczyków przybywających co roku do Polski jest źródłem ogromnego dochodu dla naszego kraju. Naczelny rabin Ukrainy Mosze Azman, proponując przeniesienie izraelskich wycieczek na Ukrainę, stwierdził, że byłaby to „kara nałożona na Polskę”, w której efekcie przestaną

napływać do naszego kraju „miliony dolarów” z Izraela.

Ostatecznie Azmanowi nie udało się przekonać nikogo poważnego do nałożenia „wycieczkowych sankcji” na Polskę, bo – po pierwsze – Ukraina nie rozliczyła się ze swoich zbrodni na Żydach, a – po drugie – przyjęła ustawę, która zakazuje znieważania banderowców, jaką uchwalono – jak pisze z przekąsem „The Times Of Israel” – „bez szczególnego rozgłosu”.

Mimo to przyszłość izraelskich wycieczek do Polski ciągle wywołuje dyskusje. Niektórzy się obawiają, że Polacy będą chcieli zetrzeć obozy zagłady z powierzchni ziemi, aby „sfalszować historię” i pozbyć się w ten sposób dowodów swojej winy. Inni odpowiadają, że do niczego takiego nie dojdzie, bo przecież Polacy nie będą się pozbywali „milionów dolarów”, jakie zarabiają na Żydach. I to jest nieznosne dla przecięt-

nego Żyda w Izraelu: poczucie, że Polacy mordowali Żydów, a teraz jeszcze zarabiają na nich miliony.

Jednak wycieczek nikt nie odwoła. Pierwszy powód to właśnie pieniądze. Koszt udziału jednej osoby to ponad 1,5 tys. dolarów. Ile z tego biorą polskie hotele i restauracje? Może połowę. Reszta jest do podziału między organizatorów a izraelskie linie lotnicze. Nikt nie chce tracić takich dochodów. Zresztą polscy hotelarze przyjmują izraelskich gości jedynie w geście desperacji. Po ich wizycie pokoje wyglądają bowiem, jakby przeszło przez nie tornado. Zyski idą więc częściowo na pokrycie strat.

Drugi powód to polityka. Odwołanie wycieczek osłabiłoby izraelski system edukacyjny. Jak pisze w redakcyjnym komentarzu dziennik „Jerusalem Post”: „Właśnie teraz, gdy Polska próbuje ograniczyć możliwość mówienia na temat roli Polaków w realizacji Ostatecznego Rozwiązania, jeszcze więcej osób powinno zobaczyć na własne oczy, jak naziści i Polacy, którzy pomagali w systematycznych mordach i prześladowaniach Żydów, niszczyli społeczność żydowską w Polsce”.

Wydaje się więc, że jeśli chodzi o wycieczki, to Polska robi przysługę Izraelowi, a nie odwrotnie.

Konrad Kołodziej

Niemcy się kłócą. I to jak! I to o co – czy islam należy do Niemiec. Angela Merkel uważa, że tak. Jej minister spraw wewnętrznych, budownictwa i ojczyzny (tak nazywa się nowy resort Horsta Seehofera, szefa bawarskiej Unii Chrześcijańsko-Społecznej) – wręcz przeciwnie. „Islam nie należy do Niemiec” – rzucił i na nowo rozgorzała dyskusja.

Na nowo, bo o domniemanej przynależności islamu do Niemiec mówił już prezydent Bundesrepublik Christian Wulff w 2010 r. Wulff prezydentem już nie jest, stracił urząd z powodu słabości do różnorakich grantów, ale zdanie „Islam należy do Niemiec” utkwiło w przestrzeni publicznej. Po prawdzie i on nie jest autorem tego twierdzenia. Owszem, powiedział, jednak wymusił to na nim imigrant z Afganistanu, Walid Nakschabandi.

Ów producent telewizyjny mocno się zdenerwował na debatę, co dają, a czego nie dają Niemcom imigranci. Podczas gdy politycy z reguły zachowywali polityczną poprawność, ocena szarych Schmidtów i Müllerów radosna nie była. Nakschabandi poczuł potrzebę zabrania głosu i napisał do prezydenta,

że mimo zdarzeń z Mölln czy Solingen, gdzie przez ataki neonazistów na azylantów spłonęło wiele ofiar, w tym kobiety i dzieci, nigdy nawet nie pomyślał o wyjeździe z Niemiec. Ale w obliczu zagrożenia zaapelował do Wulffa: „Islam należy do Niemiec. Dlaczego pan tego po prostu nie powie?”

Wulff więc powiedział, czym sprokował jeszcze większą dyskusję. Jak może należeć do Niemiec religia, która neguje i odrzuca fundamentalne wartości dla Bundesrepublik? – pytali z zachowaniem politycznego bon tonu co odważniejsi krytycy z parlamentarnych kręgów. Widać może, skoro tak twierdzi pani kanclerz. Minister Seehofer się wyłamał i jest nowa burza. Lewica i liberalowie żądają od Merkel „Machtwort”, czyli żeby przypomniawszy Seehoferowi, kto rządzi w Niemczech. Jak to się ma do ostatnich wieści z kroniki wypadków, napaści nożowników z Afganistanu w Dolnej Saksonii czy skazania za gwałt i utopienie w rzece niemieckiej studentki przez imigranta w Bawarii? Cóż, nie nasza sprawa. Niby nie nasza...

Piotr Cywiński

Niemcy

Bawaria islam sceptyczna

Rewolucja się wyczerpała i pożera swe dzieci. Ciągająca się od miesięcy awantura zaczęła ciążyć Katalończykom. Ponad 3 tys. firm uciekło z regionu po referendum i chaosie, które wywołało. W konsekwencji – jak wynika z sondaży – poparcie dla niepodległości wyraźnie spadło. Jest za nią już tylko 40,8 proc. Katalończyków, 8 pkt proc. mniej niż w październiku ub.r. Jednocześnie rośnie odsetek tych, którzy chcą powrócić do autonomii na dawnych warunkach. Premier Hiszpanii Mariano Rajoy postanowił cierpliwie przeczekać okres największego separatystycznego wzmożenia i ta taktyka się opłaciła.

Tymczasem były szef katalońskiego rządu Carles Puigdemont najbliższe tygodnie spędzi w niemieckim areszcie. Został zatrzymany 25 marca w Szlezewiku-Holsztynie, tuż po przekroczeniu duńsko-niemieckiej granicy, na podstawie Europejskiego Nakazu Aresztowania (ENA). Był wówczas w drodze z Finlandii do Belgii, dokąd uciekł przed hiszpańskim wymiarem sprawiedliwości. Wcześniej zrezygnował z ubiegania się o kolejną kadencję jako premier Katalonii. Sąd w Madrycie bowiem uznał, że tej funkcji nie może sprawować osoba, na której ciąży zarzut zdrady stanu i która mogłaby wypełniać swoje funkcje tylko zza granicy.

Zatrzymanie Puigdemonta wywołało ostre protesty w Barcelonie. Doszło do starć z policją, ranne zostały 52 osoby. Protesty te nie były jednak nawet w przybliżeniu tak liczne, jak te, które przetoczyły się przez region w październiku, po głosowaniu w referendum niepodległościowym, uznanym przez Madryt za nielegalne. Wówczas na ulice wyszedł nawet milion Katalończyków. Dziś to zwolennicy secesji przedłużają kryzys,

upierając się przy wyborze nowego premiera wbrew prawu i woli Madrytu. Zaproponowali, by miast Puigdemonta został nim Jordi Sánchez, przywódca Narodowego Zgromadzenia Katalońskiego (ANC). Albo Jordi Turull, były rzecznik katalońskiego rządu. Sánchez i Turull podobnie jak Puigdemont przebywają jednak w areszcie pod zarzutem podburzania do buntu. Wysuwanie ich kandydatur jest więc pozbawione sensu.

Rajoy, który w listopadzie zawiesił samorząd kataloński, ogłosił, że nie ma innego wyjścia, jak utrzymać autonomię w zawieszeniu i czekać, aż Katalończycy powołają rząd złożony z ludzi, którzy nie siedzą w więzieniu lub nie uciekli za granicę. W wyłonionym 21 grudnia 2017 r. parlamencie regionalnym większość mandatów uzyskały trzy partie niepodległościowe. To one – podkreślił Rajoy – ponoszą więc odpowiedzialność za paraliż regionu.

Nawet jeśli Puigdemont nie zostanie wydany, a jest to możliwe, gdyż niemiecki sąd ma wątpliwości, czy wydanie za nim ENA było zasadne, jego zatrzymanie stanowi ciężki cios dla katalońskich separatystów. Obecnie aż 25 polityków obozu niepodległościowego przebywa w areszcie pod zarzutem buntu, defraudacji lub nieposłuszeństwa wobec państwa. Ławka tych, spośród których można wybrać premiera, jest więc dość krótka. Jeśli katalońscy separatyści nie znajdą szybko kandydata akceptowalnego dla Madrytu, Rajoy może rozpisać nowe wybory. A ich wynik może wypaść dla zwolenników secesji niekorzystnie.

Aleksandra Rybińska

Więcej na s. 74

Hiszpania

Katalonia już nie chce niepodległości

Wukraińskim areszcie w Dnieprze powiesiła się miejscowa aktywistka Ruskiego Mira Marina Mienszikowa. Za kratkami znalazła się za uderzenie młotkiem w gmachu teatru ukraińskiego weterana donbaskiej wojny, w trakcie kłótni na tle politycznym. Mienszikowa otwarcie sprzyjała separatystom, więc jej znalezienie się w więzieniu nie może dziwić, a czy powiesiła się sama, czy ktoś jej pomógł – to już szczegół.

Nie jest jednak nieistotnym szczegółem inna okoliczność. Otóż po pobiciu młotkiem weterana rosyjska aktywistka zbiegła z Ukrainy na tereny separatystów, a następnie – na anektowany Krym. Skąd władze rosyjskie... deportowały ją na Ukrainę. Prosto w ręce „banderowców”.

I nie jest to odosobniony przypadek. W Petersburgu na deportację na Ukrainę oczekuje inna antyukraińska aktywistka Irina Woroncowa. Działała w kijowskiej sekcji wielkorusyjskiej Par-



tii Narodowo-Bolszewickiej. Wyszła za mąż za obywatela Rosji, osiadła w Petersburgu, gdzie uczestniczyła w organizowaniu pomocy dla separatystów. Jej mąż walczył w ich oddziałach. Woroncowa zatrzymano za udział w nielegalnym wiecu w rocznicę rewolucji paź-

Rosja

Czystka ukraińskimi rękami

dziernikowej, zorganizowanym przez nacjonalistów. I natychmiast anulowano jej kartę stałego pobytu. Jeśli ostatnia instancja nie zmieni tej decyzji, zostanie wydana Ukraincom.

Igor Strielkow, skonfliktowany z Putinem były dowódca separatystów, alarmuje, że „separom”, którzy uciekli do Rosji, utrudnia się złożenie podania o obywatelstwo. Po dokumenty odsyła ich się... do miejsca stałego pobytu. Czyli na Ukrainę, nawet jeśli pochodzą oni z ośrodków kontrolowanych przez siły ukraińskie.

Według Strielkowa wszystko to nie jest seria przypadków. Po prostu rosyjskie władze prowadzą czystkę wśród separatystycznych weteranów. Boją się tego zapalnego, nacjonalistycznego oraz rozzarowanego wobec Kremla elementu i starają się go pozbyć.

A że ktoś tam powiesi się w ukraińskim areszcie? A kogo na Kremlu może to obchodzić?

Piotr Skwieciński

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Szpiegowska grzybnia

Wiosenny wysyp rosyjskich szpiegów to ciekawostka przyrodnicza sezonu... Akcji o takim zasięgu, o ile pamięć mnie nie myli, chyba jeszcze nie było. Znaczna część Europy i kontynent amerykański obrodziły szpiegami Kremla. Jakby na zew natury grzybki wystawiły łebki spod dyplomatycznej przykrywk. Grzybnia, jak wiadomo, jest organizmem podziemnym o olbrzymim zasięgu, a kapelusze wystawia w ściśle określonych warunkach. Właśnie jesteście świadkami wysypu trującego sromotnika – ruskiego szpiona.

Widziałem dawno temu rosyjski atlas grzybów, w którym przy każdej pozycji była uwaga: trujący lub jadalny. Były też zaskakujące ostrzeżenia: grzyb trujący w świetle, poza Związkiem Radzieckim. Nic nie budzi, jak bonie dydy!

Wydawało się nam, ludziom dobrej woli, że kiedy upadało sowieckie imperium zła, cała szpiegowsko-agenturalna grzybnia zemrze śmiercią naturalną. Po co olbrzymiemu państwu, mającemu od cholery roboty na swoim terytorium, babranie się w wewnętrznych sprawach innych narodów? Rosja dostała



Jan
Pietrzak

szansę na nowy początek. Doktryna Breżniewa przestała obowiązywać. Żelazna kurtyna zardzewiała i poszła na złom. Nikt przy zdrowych zmysłach nie miał zamiaru Rosji atakować, natomiast wszyscy chcieli robić interesy z tym wielkim rynkiem, inwestować, wciągać w orbitę gospodarczej współpracy. Niestety, zagraniczni, w tym polscy, inwestorzy szybko salwowali się ucieczką, a grupa miejscowych oligarchów może funkcjonować wyłącznie jako podwykonawcy najwyższej władzy. Jedyna branża, jaka ma tam sens, to przemysł wydobywczy, zwłaszcza ropa i gaz. Senator McCain, którego z powodów pokoleniowych bardzo lubię, określił Rosję jako mafijną stację benzynową udającą państwo. Powiedział też: kiedy spojrzę na oczy Putina, zobaczę trzy litery KGB.

Otóż takie państwo pod takim zarządem nie ma ambicji infrastrukturalnych. Mogłoby przecież zbudować autostradę do Władywostoku. Woli pielęgnować grzybnię szpiegów, agentów, dywersantów, hakerów, zielonych ludzików i truc urojonych wrogów. Takie są horyzonty umysłowe tego imperium, na poziomie grzybni.

Proste historie

Z reżyserem **Piotrem Domalewskim**
rozmawia Jolanta Gajda-Zadzworna

Deszcz nagród na festiwalu w Gdyni i rozbitý bank na jubileuszowej, 20. gali Polskich Nagród Filmowych Orły. Policzył pan statuetki?

Piotr Domalewski: Inni policzyli: jest ich aż dziesięć.

Wśród nich te w najważniejszych kategoriach. Czy któryś z Orłów ucieszył pana szczególnie?

Po cichu marzyłem o statuetce za scenariusz. Dużo mnie osobiście kosztował. I za nic się w nim nie schowałem. Cieszą mnie też nagrody dla aktorów, ale najważniejsza jest statuetka za film, bo to uhonorowanie wszystkich, którzy brali udział w produkcji.

Czy do takiej liczby nagród można się przyzwyczaić?

Oby nie. „Cicha noc” to debiut, początek drogi.

Zdaje się, że znalazł pan klucz do sukcesu...

Ale ja tylko chciałem zrobić dobry film. Taki, który sam chciałbym obejrzeć. Z bohaterami, których będę lubił, chociaż czasami będą mnie wkurzać. Mam to szczęście, że mój wysiłek został dostrzeżony i doceniony nie tylko przez znawców kina, lecz i przez widzów. „Cichą noc” zobaczyło prawie 350 tys. osób.

Czy ze strony widzów usłyszał pan jakiś wyjątkowy głos?

Po pierwszym pokazie filmu w Gdyni pani z widowni powiedziała: „Jestem emigrantką, mieszkam w Londynie

od 15 lat. I siedzę tu z córką, która wyjechała ze mną, jak miała trzy lata, więc właściwie jest wychowana tam. Dziękujemy panu za ten film”.

Co teraz pan szykuje?

Jestem z takich stron, że o projektach mówi się, jak już się je zrobi... Będzie to prosty film... O miłości do rodziny.



Fot. Tomasz Urbanek/East News

Ideologiczny kryminał

Stacja Berlin” to jeden z bardziej znanych i cenionych, nakręconych ostatnio szpiegowskich seriali. Opowiada o zlu CIA i jej sojuszników. No i co z tego? – zapyta zaskoczony czytelnik. Do tego typu przekazu przywykamy już blisko pół wieku od filmów takich jak „Syndykat zbrodni” czy „Trzy dni Kondora” pokazujących tajne służby USA jako organizację mafijną i z mafią się przenikającą.

„Stacja Berlin” idzie jednak dalej. Twórcy filmu tłumaczą, że problemy z islamizmem to wyłącznie efekty działania Stanów i ich sojuszników. Ich pozory kreowane są przez funkcjonariuszy CIA, którzy pod tym pretekstem załatwiają swoje interesy. Owszem, ci na niższym szczeblu mogą nawet uwierzyć w wymyślonego przez ich zwierzchników żelaznego wilka, ale przecież zwierzę takie nie istnieje.

Oto wielka operacja schwytania działającego w Niemczech głównego agenta ISIS, która kończy się licznymi niewinnymi ofiarami i chaosem. Tyle że współpracownik państwa islamskiego okazuje się człowiekiem, który organizuje śluby muzułmanek z Europy z ich współwyznawcami z krajów arabskich. Jest więc zwyczajnym swatem. I tyle ma z islamizmem wspólnego. A w akcję wrobieni są także niepodjętą zewsząd niczego pracownicy Stacji Berlin przez swoich zwierzchników z Waszyngtonu, którzy w ten sposób chcą namierzyć człowieka wynoszącego wewnętrzne tajemnice CIA.

Wprawdzie obserwując tę awanturę, zdrowy rozsądek widza powinien wierzgnąć, gdy, aby otworzyć sobie drogę odwrotu, ochroniarze swata zaczynają strzelać do tłumu – trochę nietypowe to zachowanie dla ekipy matrymonialnego przedsiębiorcy – ale szybka akcja nie pozwala zastanawiać się nad takimi drobiazgami.

Jedno jest pewne. Zło czynią wspierani przez Niemców i Izrael Amerykanie, a terrorystów po prostu nie ma. W każdym razie w zasięgu działania CIA. Jeśli jej agenci torturują schwytanych przez siebie domniemych islamistów, to wiadomo, że będą oni Bogu ducha winnymi, zagubionymi młodzieńcami. Zresztą funkcjonariusze wywiadów zachodnich zajmują się wyłącznie konkurencją o awans w swoich instytucjach, a więc wzajemnym śle-

dzeniem, zbieraniem na siebie haków, knuciem intryg oraz rozkradaniem pieniędzy państwowych. Wynika z tego, że likwidacja wywiadu uwolniłaby społeczeństwa zachodnie od wszelkich zagrożeń, które są przezeń prokurowane, a straty z tego tytułu byłyby żadne.

Po obejrzeniu pierwszych pięciu minut również doskonale zrobionego belgijskiego thrillera „Ślepy punkt” wiedziałem już w miarę dokładnie, co mnie czeka. Jeśli widzimy słynnego z walki z imigranckimi gangami policjanta, który, blokowany przez układy i formalizm prawniczy, sam postanowił zawalczyć o sprawiedliwość na niwie politycznej, to możemy być pewni, że to prawicowy drań, który będzie rozniecał nienawiść i krzawił wykluczenie. I nie mylimy się. Policjant to skorumpowany (a są inni?) rasista, który nie cofnie się przed niczym dla kariery. Jego głównym, stanowiącym alibi, współpracownikiem, który ściga się z szefem w brutalności, jest nienawidzący swojej tożsamości Marokańczyk. I znowu wszystko jest proste. To policji powinniśmy się lękać.

Wcześniej ideologiczne skrzywienie nosiły głównie filmy ambitne. Dziewięć lat temu „Biała wstążka” Michaela Hanekego zdobyła Złotą Palmę w Cannes i adorację światowej krytyki. Film sugestywnie pokazywał, że nazizm narodził się z motywowanego chrześcijaństwem, paternalistycznego i rygorystycznego wychowania. Absurd tej interpretacji dorównywał wcześniejszym i równie sławnym filmom Bernardo Bertolucciego: „Wiek XX” czy „Ostatni cesarz”.

Teraz mamy do czynienia z ideologicznym zaczadzeniem najbardziej popularnych gatunków. Nawet fantasy w rodzaju „Gry o tron” muszą mieć odpowiedni przydział dowartościowanego homoseksualizmu czy rozmaite dekonstrukcyjne zabiegi, które kwestionować mają tradycyjny porządek cnót. Wielki, zbiorowy brat w dużych wytwórniach pilnuje, aby inne treści nie mogły przecisnąć się przez jego igielne ucho, a twórcy uwierzyli mu już, bo nie mają innego wyjścia. Ciekawe tylko, czy widzowie, którzy na co dzień mogą konfrontować rzeczywistość, w której żyją i tę na ekranie, dadzą sobie wmówić, że prawdziwa jest ta ostatnia.



OGNIEM NA WPROST

Gwóźdź w głowie

Muzeum Historii Żydów Polskich „Polin” wyraźnie się rozkręca. By zwiększyć frekwencję na wystawie poświęconej wydarzeniom Marca '68, organizatorzy postanowili epatować hejtem pojawiającym się w internecie. Kwiat establishmentu III RP, m.in. dziennikarze Seweryn Blumsztajn i Daniel Passent, a także reżyser Agnieszka Arnold, nabożnie odczytywali nienawistne wersety pod adresem Żydów. „Kiedy zdechnie ten parszywy Żyd?” – cytował Krzysztof Topolski, Polak żydowskiego pochodzenia, który wyemigrował w marcu 1968 r. „Nie znam Żyda, który by stanął w obronie Polaka [...], więc o czym tu mowa? Wyjedź do Izraela i tam pozostań, zdrajco i oszczerco” – recytowała głosem więźniącym w gardle Arnold. W końcu puściły jej nerwy i zwracając się prawie z płaczem do autorów tych słów, wyrzekła: „Nie, już mam dosyć. Nie mogę, już dosyć”. Po skończonym spektaklu przyszedł piątek i pracownicy Polinu ubrani na czarno w geście poparcia „czarniego marszu” zrobili sobie wspólną fotkę. Autorem zdjęcia był Michał Kulisiewicz, pracownik promocji Muzeum Historii Żydów Polskich, który je również wrzucił na Twittera. Teraz to ja, „mam już dosyć”. Z zapartym tchem czekam, co dyrekcja placówki wymyśli na Wielkanoc i jak jeszcze Polin za nasze pieniądze wykorzysta temat śmigusa-dyngusa. Wszak wszyscy przecież wiedzą, że przed wojną to Polacy z wiadrami chadzali do dzielnic zamieszkałych przez Żydów, by złośliwie polewać ich wodą.

Zżycia uchodźców. Jak wiadomo, przybysze z Południa bardzo źle znoszą przenoszenie z tymczasowego zakwaterowania w pokojach hotelowych bądź w wynajętych domach do przystosowanych do tego celu ośrodków. Tak było również w miejscowości Oinofyta we wschodniej Beocji (środkowa Grecja). Tu imigranci postanowili wziąć sprawy w swoje

ręce i definitywnie rozwiązać problem niewygodnego transferu. Ponieważ są zwolennikami prostych rozwiązań, zdecydowali uderzyć w samo sedno, czyli w podmiot, który stwarzał im dyskomfort psychiczny. Dziesiątki imigrantów skrzyknęło się i wtargnęło do ośrodka, puszczając go z dymem.

Teraz dalej mogą się wylegiwać w hotelowych pokojach, czekając na decyzje o azylu. Choć greckie media są oburzone nocną zadymą w Oinofycie i wskazują, że w ostatnich miesiącach lawinowo przybywa bezdomnych rodaków, to przybysze z Południa mogą tylko pozazdrościć pragmatyzmu.

Jak podaje dziennik „Fakt”, do jednego z rosyjskich szpitali zgłosił się mężczyzna od kilku dni cierpiący na ból głowy. Już krótka analiza stanu pacjenta wystarczyła, by stwierdzić przyczynę dolegliwości. Potwierdziło ją badanie tomografem.

W czaszce Rosjanina tkwił gwóźdź wbity aż po samą główkę. Lekarzom udało się przyjść z pomocą poszkodowanemu, ale do tej pory nie rozwikłano tajemnicy, skąd ów gwóźdź wziął się akurat w tym miejscu oraz jak było to możliwe, że sam pacjent nie odkrył przyczyny dolegliwości. Jedynym wytłumaczeniem wydaje się radość człowieka z gwóździem w głowie wywołana zwycięstwem wyborczym Putina, suto zakrapiana alkoholem. Stan pacjenta wyjaśnia równocześnie fenomen ciągłego poparcia dla prezydenta Rosji, wahającego się w granicach 70 proc. Trudno bowiem normalnemu człowiekowi, bez białego metalowego pręta w czaszkę, zagłusować kolejny raz na Władimira Władimirowicza.

Ale i w Polsce nie brakuje „drugich podobnych”. Ekspert TVN od spraw szpiegowskich i pozostałych, były szef WSI, gen. Marek Dukaczewski wyjaśniał w programie prowadzonym przez Andrzeja Morozowskiego, że „sprawa usiłowania zabójstwa [Skripala] jest bardziej skomplikowana, niż nam się wydaje. Jeżeli mielibyśmy analizować cel [...] Rosja mogła stać za jego zatruciem. Ale czy stała jako państwo? Ta broń chemiczna mogła wyjść spod kontroli państwa rosyjskiego”. Jako koronnego argumentu na poparcie tej karkołomnej tezy użył równie przekonującego uzasadnienia, że przecież „prezydent Putin ogłosił zniszczenie tej broni”. Gwoli wyjaśnienia należy dodać, iż rozmowa ta nie odbywała się w konwencji satyrycznej, jak analizy innego, już chyba byłego eksperta TVN Kazimierza „Kaza” Marcinkiewicza u Moniki Olejnik. Wnioski nasuwają się same. Jeśli towarzysz Dukaczewski nie jest agentem wpływu, to z dużym prawdopodobieństwem graniczącym z pewnością porusza się i sypia z gwóździem wbitym w głowę lub innym żelastwem, i to od lat. Z tym że problem u niego jest znacznie poważniejszy. Towarzysz Dukaczewski sprawia wrażenie trzeźwego.

Andrzej Rafał Potocki



Fot. Andrzej Wiktor

Dbajmy o polszczyznę

Dłuższa podróż samochodem to pretekst do migrowania po rozgłośniach radiowych. Stacji nadających w naszym eterze jest ogromna liczba. Dominują nadawcy prywatni, swój znaczący udział w rynku ma jednak Polskie Radio. Nie znam programów wszystkich stacji w Polsce, ale sądząc po doświadczeniach z rejonów, po których się poruszam, można zaobserwować pewną prawidłowość. W rozgłośniach publicznych dominuje poprawna polszczyzna, a w pozostałych bywa bardzo różnie. Język jest naszą zasadniczą formą ekspresji. Im bogatszy zasób słownictwa i większa zwinność w formułowaniu myśli, tym jesteśmy w stanie bardziej klarownie wzajemnie się komunikować, pielęgnując przy tym naszą kulturę, której mowa jest zasadniczym elementem. Zbudowana przez wieki kultura kształtuje naszą tożsamość. Im mniejsza dbałość o nią, tym bardziej stajemy się nijacy. Troska o język to jedna z form podtrzymania naszej zbiorowej osobowości.

Zgodnie z obowiązującym w Polsce prawem prasa, radio i telewizja korzystają z wolności wypowiedzi i urzeczyniają prawo obywateli do ich rzetelnego informowania, jawności życia publicznego oraz kontroli i krytyki społecznej. Dziennikarze mają za zadanie służyć społeczeństwu i państwu. Przepisy prawa prasowego wyraźnie wskazują, że dziennikarz ma także obowiązek dbać o poprawność języka i unikać używania wulgaryzmów.

Psucie języka przez używanie wulgaryzmów, zaśmiecanie kalkami językowymi, popełnianie błędów stylistycznych i gramatycznych obniża poziom języka, degraduje jego wartość kulturotwórczą i stanowi wyraz prymitywizmu. Brak dbałości o poprawność używanego języka jest zjawiskiem powszechnym i występuje w debacie publicznej, a także jest promowany w audycjach radiowych i telewizyjnych.



**Marta
Kaczyńska**

Przytoczone wyżej przepisy prawa wskazują zaś jednoznacznie, że to właśnie prasa, radio i telewizja powinny stać na straży czystości języka. To media bowiem w znacznej mierze determinują wzorce zachowań w społeczeństwie. Istotne jest zatem, aby radio i telewizja promowały używanie poprawnej polszczyzny.

Brak dbałości o poprawność języka (poza ekstremalnymi przypadkami, którymi jest penalizowane kierowanie obraźliwych zwrotów pod adresem innych osób,

tj. przestępstwo znieważenia, oraz posługiwanie się wulgaryzmami postrzegane jako czyn nieobyczajny) w praktyce nie podlega sankcjom. Karać za błędy stylistyczne, gramatyczne, zapożyczenia, spłykanie języka z pewnością nie należy. Wszystko wskazuje jednak na to, że język, którym się posługujemy, podlega w coraz większym stopniu pauperyzacji. W dobie zalewających nas zewsząd wątpliwych zarówno pod względem rzetelności, jak i formy informacji, w obliczu coraz popularniejszego w komunikacji wśród młodzieży używania języka obrazkowego (emotikony) zamiast słowa pisanego, powszechnie akceptowanych skrótów odzierających język z głębszego przekazu, warto się zastanowić nad skutecznym sposobem na wypromowanie mody na używanie poprawnej polszczyzny.



*Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 19 marca 2018 roku zmarł w Toruniu, przeżywszy 108 lat*

**ŚP
por. Józef Żurek**

*urodzony 31 sierpnia 1909 roku w Gackach k. Świecia.
Od kwietnia 1930 do sierpnia 1931 roku odbywał służbę
w Centrum Wyszczolenia Żandarmerii w Grudziądzu.
Podczas inwazji niemiecko-sowieckiej we wrześniu 1939 roku walczył
w 4. Dywizji Piechoty w składzie dowodzonej przez gen. bryg. Mikołaja Bortucia
Grupy Operacyjnej „Wschód”. Uczestnik Bitwy nad Bzurą.*

Najstarszy Wiekami Weteran Rzeczypospolitej.

*Uhonorowany Medalem „Pro Patria”
oraz Medalem Unitas Durat Palatinatus Cuiaviano-Pomeraniensis.*

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.

Cześć Jego Pamięci!

*Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych*

Zebrała Dorota **Łosiewicz**

Pomyślności!

O kolejnych zaręczynach Joanny Krupy pisały chyba wszystkie plotkarskie portale. Według jednego z nich pierścionek wart jest 2 mln zł. „»Dowód miłości« ma sześć karatów i pochodzi ze znanego wśród gwiazd domu jubilerskiego Harry’ego Winstona” – podaje Pudelek.pl. Dla świeżo upieczonych narzeczonych zła wiadomość jest taka, że nie ma takich pieniędzy, za które dałoby się kupić szczęście. 



2,9 mld euro

• czyli około 12,4 mld zł przeznaczony na inwestycje w Polsce Europejski Bank Inwestycyjny. W ten sposób nasz kraj awansował na piąte miejsce w Unii Europejskiej pod względem wysokości wsparcia uzyskanego z tzw. planu Junckera.

4,3 proc.

• tyle według Moody’s ma wynieść wzrost PKB Polski w 2018 r. Agencja ratingowa właśnie podwyższyła swoje szacunki z prognozowanych wcześniej 3,5 proc.

ok. 20 mln zł

• tyle wyłożyć ma Polska Fundacja Narodowa na rejs Mateusza Kusznierewicza dookoła świata. Projekt nazywa się „Polska 100” i chodzić ma o promocję Polski za granicą. Mają rozmach w tym PFN.



Antysemityzm made in France

Brutalna zbrodnia na tle antysemickim wstrząsnęła Francuzami. 85-letnia Mireille Knoll, której podczas II wojny światowej udało się umknąć przed Holokaustem, została brutalnie zadżgana w swoim paryskim mieszkaniu. Następnie jej ciało zostało podpalone. Sprawcą zbrodni miał być sąsiad kobiety – muzułmanin. „W zamordowaniu Mireille Knoll miał mu pomagać 21-letni bezdomny, który zeznał na policji, że młody muzułmanin »nienawidził swojej sąsiadki, bo była Żydówką«” – informowała na portalu wPolityce.pl Aleksandra Rybińska. I to niby Polacy są antysemitami? 

Pomocny android

Roboty są wśród nas. W Finlandii, a konkretniej w Helsinkach, w ośrodku dla niepełnosprawnych pojawił się Pepper. „Maszyna pracuje w ośrodku Kalasatama, gdzie obsługuje pacjentów, głównie dzieci i emerytów. Ubiegając pytania, android nie zastąpił żadnego człowieka. Jest to projekt ministerstwa, który ma na celu ukazać reakcje ludzi na sztuczną inteligencję. Miesięczna praca robota kosztuje 1 tys. euro. Można go również kupić – w cenie 55 tys. euro. Pepper pracuje 13 godzin dziennie, pięć dni w tygodniu. Jeśli jednak wszystko pójdzie dobrze, maszyna doczeka się swoich kompanów – podobnych robotów może być więcej” – informuje Tuba.pl. Podobno roboty popełniają znacznie mniej błędów niż ludzie. Mają tylko jedną wadę: są bez serca. 



Wybuchowe żarty

Po raz kolejny to Maciej Stuhr bawił publiczność dowcipami na gali Orlów. Jeden z dowcipów, którymi aktor w tym roku próbował rozerwać publikę, brzmiał tak: „Podobno himalaista Urubko przypuścił samotny atak na K2, gdyż nie był w stanie wytrzymać w polskim obozie”. W rozmowie z Wp.pl Stuhr bronił swoich żarcików, twierdząc, że były to zaledwie aluzje polityczne, bo miewał znacznie bardziej gorące politycznie wypowiedzi. Nic, tylko się turlać ze śmiechu. 



Każda osoba, która była na spotkaniu ze mną w Polsce, widzi, że mówię wyłącznie konstruktywnie – stwierdził Ryszard Petru w RMF FM. Jeśli rozmówcy twórcy Nowoczesnej widzą jego słowa, to jest z nimi źle. Ale jeszcze gorzej jest z Petru, który wciąż wierzy, że mówi z sensem.

Rybka lubi pływać

Amerykanin Christian Riel zrealizował swoje życiowe marzenie i został syreną. Taką z ogonem. Mężczyzna podobno od dzieciństwa kochał disneyowską Ariel. „Dwa lata temu Riel natknął się w internecie na instagramowe profile ludzkich syren i zapragnął zostać jedną z nich. 24-latek wydał 1,6 tys. dolarów na szyty na miarę, silikonowy ogon, w którym pływa we własnym basenie oraz w innych zbiornikach wodnych. Zakłada go nawet do... własnej wanny” – informuje Pudelek.pl. Nie od dziś wiadomo, że rybka lubi pływać. Nawet jeśli to jest rybka uwięziona w męskim ciele. 



Fot. Andrzej Wiktorski / Shutterstock (cał.), Tomasz Uliaszek / East News

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Komedianci

Czy aktorzy są mądrzy? Ktoś może powiedzieć, że to głupie pytanie. Bo czy warto pytać, czy mądrzy są na przykład dziennikarze? W każdej z tych grup pewnie są ludzie mniej i bardziej inteligentni, ludzie, którzy wiedzą mniej, i tacy, którzy wiedzą więcej.



**Dominik
Zdort**

Różnica między aktorami a dziennikarzami polega na tym, że aktorzy mądrzy być nie muszą, ale dziennikarze powinni. Aby ukończyć szkołę aktorską, trzeba zupełnie innych przymiotów, niż potrzebne są do skończenia studiów humanistycznych. Ważniejsze są umiejętności niekoniecznie związane z intelektem, a na przykład z pewnego rodzaju wyczuciem czy wrażliwością.

Druga różnica między tymi grupami zawodowymi polega na tym, że mało bystry dziennikarz będzie się starał ukrywać swoje słabości (nie zawsze z powodzeniem), aktorzy zaś potrafią się publicznie puszyć, prezentując swój brak inteligencji.

Przez wiele lat trudna historia Polski powodowała, że przypisywaliśmy aktorom rolę niemal równą poetom – bo to oni deklamowali strofy pisane przez wieszczów. Aktorzy zresztą chętnie ten patriotyczny ciężar brali na siebie – wystarczy choćby przypomnieć czasy stanu wojennego i bojkot telewizji.

Opowiadał potem o tym w wydanej w drugim obiegu w 1988 r. książce „Komedianci, czyli rzecz o bojkocie”. Zapamiętałem ten cykl wywiadów jako wyznania mędrców – i chyba nie tylko ja wówczas miałem aktorów z lat 80. za ludzi niegłupich, bo „Solidarność” kilku zaprosiła w wyborach kontraktowych na listy wyborcze i wprowadziła do Sejmu oraz Senatu.

Do książki o bojkocie aktorskim z lat stanu wojennego sięgnąłem po wysłuchaniu konferansjerki Macieja Stuhra na niedawnym rozdaniu Orlów. Miałem makiaweliczny plan: będę cytował dowcipy pana Stuhra na przemian z mądrymi sentencjami aktorów sprzed 30 lat, aby pokazać, jak różni się intelektualny poziom komedianów ówczesnych i dzisiejszych.

Niestety, nie udało się. Poważnej różnicy nie ma. W tych rozmowach z lat 80. można by znaleźć błyskotliwości, warte zacytowania perełki, ale wielu aktorów z tamtych czasów – aktorów wybitnych, czasem wielkich – przypomina mi niektórych obecnych: są tak zarozumiali, tak pewni siebie, że aż bezkrytyczni wobec swoich napuszonych, a jednocześnie prostackich refleksji.

Panie Macieju, niech się pan nie martwi swoim poziomem umysłowym! Niezależnie od tego można być świetnym aktorem. 

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

RZECZY POSPOLITE

Legnickie przedmurze

9 kwietnia 1241 r. to szczególna data w naszej historii. Rozegrała się wtedy jedna z tych bitew, które miały wymiar szerszy niż tylko polski. Pod Legnicą Tatarzy toczyli wojnę z całą chrześcijańską Europą. Wojska mongolskie szły do boju z przekonaniem, że cały świat powinien być im poddany, gdyż taka jest wola ich Boga. On dał władzę chanowi, oni zaś wypełniają wolę swego wodza.

W trakcie tego starcia europejskiej, chrześcijańskiej armii pod polskim dowództwem (bili się w niej wojowie z Małopolski i z Opolszczyzny, górnicy ze Złotoryi, krzyżowcy, templariusze i Krzyżacy) zostaje zamordowany polski książę Henryk Pobożny. Piszę świadomie „zamordowany”, gdyż od jakiegoś czasu wiemy (za sprawą nowego źródła – manuskryptu mnicha C. de Bridia), iż wersja Długosza nie była precyzyjna. Henryk nie zginął na polu bitwy. Ranny i bijący się do końca w gronie najwierniejszych rycerzy, dawał przykład niezwykłego bohaterstwa. Śmierć zadano mu dopiero w obozie tatarskim, do którego go zawleczono i usiłowano zmusić do złożenia hołdu przed zwłokami zmarłego tatarskiego wo-



**Tomasz
Łysiak**

dza. Henryk odmówił. Wtedy został ścięty. Poniósł męczeńską śmierć za wiarę chrześcijańską. Jako władca nie mógł złożyć hołdu, czyli oddać swego księstwa we władanie poganom ze Wschodu (notabene postrzeganym przez współczesnych jako wojownicy szatana).

W diecezji legnickiej ruszyłada moment proces beatyfikacyjny Henryka Pobożnego. Zbierane są dokumenty, jest nihil obstat, i jeśli wszystko się powiedzie, to za jakiś czas Legnica może przynieść Polsce i światu piękną postać wyniesioną na ołtarze. Czuł to już Stanisław Wyspiański, który szczególnie upodobał sobie tragiczną, mającą chrystologiczny wymiar, postać Henryka. Nie dość, że pośród czterech

kapitałnych projektów wawelskich witraży umieścił śląskiego monarchę, to jeszcze napisał wspaniały rapsod „Henryk Pobożny pod Legnicą”.

Bitwa legnicka ma dla dziejów Polski niebagatelne znaczenie, już wtedy za sprawą takich dzielnych mężów jak Henryk Pobożny stawaliśmy się prawdziwym przedmurzem chrześcijaństwa.

Z palcem w...

Dlaczego feministki przegrywają w dyskusji... – zasepił się „Newsweek”: „Z biegiem czasu penalizacja, jak zresztą wszędzie, spowodowała, że zamącił się nam umysł i nie stajemy po stronie kobiet” – wytknął redaktor naczelny tego polskojęzycznego tygodnika w swym internetowym programie „Tomasz Lis” na umarło, oglądanym przez rzeszę ze 30 widzów. Dla pogłębienia tematu tej „przegrywanej dyskusji” zaprosił na rozmowę feminopisarkę Manuellę Gretkowską.

Rzecz jasna tematem ich rozmowy musiała być aborcja z PiS w tle, które Lis i Gretkowska chętnie wyskrobali by z polskiej polityki. Jeszcze przed czarnymi protestami feministka Manuela apelowała: „Kobiety powinny zacząć walkę o swoje prawa od zaprzestania chodzenia do kościoła”. Bo „Kościół trzyma Polskę za jaja i z palcem w c***e. Obie płcie”. No nie wiem, przyjrzałem się sobie dokładnie i wymienionej przez nią części ciała nie znalazłem. Mniejsza z tym, mój problem. Nie ma go natomiast szef „Solidarności” Piotr Duda, o którym Gretkowska powiedziała, że jest „ch***m bez cyczków”. A dokładnie zapytała: „Dlaczego



**Piotr
Cywiński**

jakiś ch*** bez cyczków wypowiadał się znowu za kobiety?”. Prócz cyczków Duda „nie ma nawet mózgu”, ma tylko „otłuszczone dobrobytem cyckony”, „stare dziady takie jak on, opływające dostatkiem leżą zawinięte w gazetę przed telewizorem” – rozwinęła literacko pisarka Manuela.

A tak ogóle mamy w Polsce „plagę Dudów”, którzy szczują na Europę – grzmiała na jednym z wieców. A potem odczuła potrzebę napisania czegoś, wszak pisarką jest, apel do stwórcy: „Boże, Ty to wszystko słyszysz, widzisz i nie grzmisz?”. W rozmowie z tą Gretkowską Lis zagał do czarnych protestów, że nic się nie zmienia, „od dwóch lat trwa intensywna

batalia kobiet, żeby nie było jeszcze gorzej”. I dodał: „Gdybym ja był biskupem...”, po czym znaleźli wspólny język, że państwo sobie „rości”, że (prezydent Andrzej – dopisek mój) „Duda zrobił z konstytucji wycieraczkę”, że trzeba coś zrobić, „żeby zahuczało”, i – zakończyła Gretkowska – „będziemy modlili się o cud, żeby gospodarka padła”... W tym kontekście i ja apeluję do Pana Boga, który widzi i słyszy: spuść, proszę, nogi na ten świat i kopnij to wszystko!

Szanowni Państwo, dziękujemy za wszystkie listy i zachęcamy do korespondencji:
redakcja@fratria.pl, lub tradycyjnie: Redakcja tygodnika „Sieci”, ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa

Rośnie pomnik gen. Kuklińskiego

Prawie codziennie przechodzę przez krakowski plac Jana Nowaka-Jeziorańskiego (dawniej Dworcowy), żeby z radością odnotowywać widoczne postępy przy budowie pomnika gen. Ryszarda Kuklińskiego. Wprawdzie teren, na którym uczczony zostanie już niedługo „pierwszy polski oficer w NATO”, jest szczerze ogrodzony, ale można zajrzeć przez szpary w metalowym ogrodzeniu i zobaczyć, że z każdym dniem inwestycja posuwa się do przodu.

Będąc w kontakcie z inicjatorem wzniesienia tego pomnika przewodniczącym Stowarzyszenia im. płk. Ryszarda Kuklińskiego Henrykiem Pachem, wiem, że powinien on być gotowy za kilka tygodni, czyli 20 lat od pierwszej po ewakuacji z Polski wizycie jednego z największych bohaterów w najnowszej historii świata w ojczyźnie, podczas której spędził on kilka dni w Krakowie, gdzie odebrał przyznane mu 3 maja 1997 r. przez radnych honorowe obywatelstwo podwawelskiego grodu.

Zaprojektowany przez zwycięzców ogłoszonego przez prezydenta miasta konkursu prof. Czesława Dźwigaja i Krzysztofa Lenartowicza monument będzie miał formę upadających betonowych płyt symbolizujących obalenie muru berlińskiego, ponad którymi znajdzie się symbolizujący oficerską

szablę oraz połączenie Wschodu z Zachodem stalowy łuk sięgający w najwyższym punkcie 9,2 m od poziomu placu. Na pomniku będą słowa o „heroicznej misji obezwładnienia imperium zła rozumem i wolą samotnego żołnierza” oraz cytaty z księdza prof. Józefa Tischnera: „Żadne stanowione prawo, żadne przysięgi, żadne pogroźki nie powstrzymają ludzkiego sumienia”.

Budowa ruszyła w dużym tempie, ponieważ zapewnione są pieniądze. Stowarzyszenie zebrało ok. 220 tys. zł w ramach publicznej zbiórki, 10 tys. zł dołożyła Komisja Robotnicza Hutników Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” Arcelor Mittal Poland SA, a zarządzająca placem i pobliską Galerią Krakowską firma ECE nieodpłatnie udostępniła miejsce. Największego wsparcia udzieliła jednak Rada Miasta Krakowa, przeznaczając na monument aż 1,2 mln zł. 200 tys. zł dołożył Sejmik Województwa Małopolskiego z puli na obchody 100-lecia odzyskania niepodległości przez Polskę.

Jako były reprezentant prasowy płk. Ryszarda Kuklińskiego w Kraju z ogromną satysfakcją obserwuję, jak jego pomnik wylania się z powierzchni placu, i oczekuję na wielkie patriotyczne wydarzenie, którym niewątpliwie będzie jego odsłonięcie.

Jerzy Bukowski



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECINSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN),
LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOLEK,
WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ
GÓRNY, KRYSZYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ,
STANISŁAW JANECKI, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI,
KONRAD KOŁODZIEJSKI, PAWEŁ KORSUN, GRZEGORZ
KOSTRZEWA-ZORBAS, Cezary KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE,
DOROTA LOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI,
ROBERT MAZUREK, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ
PAWLIKO, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK
PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ANNA SARZYŃSKA,

PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECINSKI, WOJCIECH
STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIELIK, EWA WESOŁOWSKA, MARCIN
WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, IGOR ZALEWSKI, PIOTR ZAREMBA,
RAFAŁ ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR,
JOANNA MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCHAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN

FOTODYSCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA LABECKA, ANNA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKĄ ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS



WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, WWW.WSIECIIPRAWDY.PL,
PRENUMERATA@FRATRIA.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY
DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA,

W TYTUŁE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE
ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ
PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI
PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ
BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.
RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA
ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.
PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI
KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI: 22 693 70 00
LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.

KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
NAKLAD: 111 420 EGZ.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00

TOMASZ DĄBROWSKI, TOMASZ.DĄBROWSKI@FRATRIA.PL
PAULINA KAKOL – MENEDŻER DS. REKLAMY
PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – MENEDŻER DS. REKLAMY
WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEŻA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
I SKRACANIA TEKSTÓW.
COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
(WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE).



FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, SHUTTERSTOCK (1-5)



Haki, kasa i seks

Nazywane czwartą władzą media już dawno przesunęły się wyżej w tej hierarchii. Dziennikarze działają na styku polityki i biznesu, nierzadko kreują rzeczywistość i pokazują starannie wyreżyserowany spektakl. Nawet uważnie go analizując, można nie dostrzec, jak brudna jest to gra, oparta na szantażu i wpływach ludzi służb



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Na strzelnicy wojskowej na warszawskim Rembertowie spotyka się śmietanka ludzi dawnych specusłużb. Wiosna, suto zakrapiane imieniny wyprawia wysoki rangą oficer dawnych WSI. Obecni są: osoba w przeszłości pracująca w ścisłym kierownictwie CBA, szef jednego z najważniejszych departamentów w ABW, a nawet jeden z szefów UOP w latach 90. Do tego towarzystwa najmniej pasuje najmłodszy wśród gości i pochodzący z innej branży Red. X, dziennikarz śledczy współpracujący z kilkoma redakcjami, m.in. jednym z konserwatywnych tygodników. Lubi te imprezy. Ma na nich komfortowy kontakt z wieloma osobami z imponującego mu świata, dobrze im się razem współpracuje, za co czasem dostaje niecodzienne upominki (od oficera z WSI otrzymał luksusowy zegarek), ale przede wszystkim gromadzi wiedzę, która bardzo mu się opłaca.

Bo poza redakcją zarabia na życie również w inny sposób, odwrotny do dziennikarstwa – żąda pieniędzy w zamian za niepublikowanie swoich ustaleń. Dlatego, choć uchodzi za wroga ludzi z postkomunistycznych służb, w rzeczywistości utrzymuje z nimi stały kontakt. Jako źródło hakowe są dla niego bezcenni.

O III RP niektórzy mówili, że to „demokracja hakowa” – największe kariery robili w niej ci, którzy dysponowali hakami na innych, a także ci, którym pozwolono zrobić kariery, bo istniały na nich haki, dzięki czemu byli łatwo sterowalni. Czy pod koniec drugiej dekady XXI w. coś się zmieniło? Tylko część aktorów i sposoby zbierania kompromatów (choćby ze względu na powszechność technologii pozwalających np. podsłuchiwać). – Politycy mają wręcz obsesję na punkcie haków. Panuje wśród nich przekonanie, że

większość zdarzeń w życiu politycznym dzieje się dlatego, że ktoś ma na kogoś haka – mówi nam osoba od lat funkcjonująca wśród najważniejszych ludzi w państwie, a jednocześnie jeden z najlepszych analityków życia społecznego i politycznego.

Jak większość naszych rozmówców, w tym temacie woli pozostać anonimowy. Nie publikujemy żadnych nazwisk, bo nie zależy nam na oskarżaniu konkretnych ludzi, ale pokazaniu mechanizmów, które wciąż decydują o tym, do obejrzenia czego opinia publiczna będzie dopuszczona, a czego nie zobaczy.

Opisujemy zdarzenia dotyczące ważnych polityków, bogatych biznesmenów i popularnych dziennikarzy (obecnych i byłych). Ci ostatni odgrywają kluczową rolę w tym reżyserowaniu rzeczywistości.

DWIE TWARZE REDAKTORA

Wspomniany Red. X to niezwykle barwna postać. Pozuje na bezkompromisowego, dysponującego bogatą wiedzą o kulisach najważniejszych wydarzeń czy transakcji. Opowiada jeden z jego znajomych: – Koledzy ze świata dawnych służb rzadko go zawodzą. Zresztą z wzajemnością. Tak dobrze jako dziennikarz wypełnia ich plany, że pomogli nawet spełnić jedno z jego marzeń – o intymnym spotkaniu z ciemnoskórą kobietą. „Realizacja” nastąpiła w domu publicznym w Berlinie. Następnego dnia po powrocie odebrał telefon: „Wiesz, jest problem, zrób badania, bo okazało się, że ona ma HIV”. Dopiero po paru godzinach dowiedział się, że to żart. Koszarowy, właściwy dla ludzi „wrażliwych inaczej”.

W środowisku dziennikarskim powszechna jest opinia, że większość jego sensacyjnych materiałów to klasyczne wrzutki od służb. – Dostaje to, co one chcą, by się pojawiło w przestrzeni publicznej. Od siebie dokłada niewiele – mówi nam dawny znajomy Red. X. Jak tłumaczy, ich drogi rozeszły się, gdy Red. X pozyskał wiedzę o szmerynych interesach jednego z wiceministrów, lecz zamiast zrobić z niej użytek dziennikarski, zaproponował politykowi układ: ja tego nie opublikuję, ale

dostanę coś w zamian. I dostał – posadę szefa projektu, który już na pierwszy rzut oka wyglądał na pralnię pieniędzy. Nie przeszkodziło to Red. X wrócić na dziennikarskie salony – wciąż bryluje, ujawniając kolejne afery, za co zdarzyło mu się nawet otrzymać jedną z najważniejszych branżowych nagród.

Inny rozmówca kreśli takie przyczyny rozpadu dawnej grupy, do której należał Red. X: – W pewnym momencie zaczął grać na własną rękę, kręcić interesy na boku, nagrywać kolegów. Nawet upublicznił jedno z nagrań kompromitujące dawnego „wspólnika”. Wtedy zaczęła się między nimi wojna. Widać ją niemal każdego dnia. Obrzucają się błotem w swoich gazetach i mediach społecznościowych.

SZANTAŻ – BIZNES

Jak działa grupa? – Żeruje na bogatych firmach prowadzących duże interesy. Jej „funkcjonariusze” (kiedyś w służbach) idą do prezesa z sugestią, że jego biznes potrzebuje ochrony – przed atakami konkurencji, ewentualnymi kłopotami ze strony służb, problemami w mediach. Prezes z reguły lekceważy taką ofertę naciągaczy. Ale zaczynają się kłopoty. Cwaniacy wykorzystują swoje kontakty. Jakiś poseł pisze interpelację sugerującą, że firma jest zamieszana w mętne interesy, pojawiają się problemy w rozmowach z państwowymi kontrahentami. Na koniec do firmy wpływa e-mail od „dziennikarza” (członka grupy) zadającego zdumiewające pytania, z których wynika, że ktoś prezesowi szyje buty i niezależnie od tego, co odpowie, powstanie paszkwil wymierzony w firmę i w niego osobiście. Dzwoni więc do „funkcjonariuszy” i prosi o rozmowę. „Funkcjonariusze” dostają zlecenie, by zadbać o interesy firmy. Kontrakt opiewa na kilkadziesiąt tysięcy miesięcznie. „Dziennikarz” przestaje się interesować sprawą, politycy przestają dokuczać. Firma płaci, ale oddycha z ulgą. Ci, którzy nie płacą, stają się obiektem kampanii medialnej. Ich przykład odstrasza innych. Cwaniacy uważają się za „najsilniejszą grupę wpływu w Polsce”, choć ich gazety są naprawdę niszowe, publikują w internecie. To wystarcza.

Jaki będzie ich dalszy los? To zależy od rozwoju jednego ze śledztw, w ramach którego niedawno zatrzymano kilka osób z grupy hakowej wyludniającej pieniądze od spółek.

Na warszawskich salonach i w gabinetach prezesów bogatych firm do niedawna działała – niemal zupełnie jawnie (jej działalność była szeroko opisywana) – inna tego typu grupa. Ulokowana w jednym z najbardziej znanych opiniotwórczych czasopism. Wydawca pisma bez ogródek proponował prezesom spółek skarbu państwa: albo wydacie miliony na reklamy u nas, albo zniszczymy was artykułami. Bronią przy tym szantażu były pióra podwładnych, w tym jednego z najbardziej znanych polskich dziennikarzy śledczych.

POSADA ZA PENSJĘ

Niektórzy uciekają z mediów i zakładają firmy. Odkrywczy największych afer z lat 90. to dziś wzięci PR-owcy. Kontakty i wiedza zdobyte w dziennikarstwie śledczym są tu najcenniejszym wkładem. Pomagają w szybkim rozwoju firmy i znacznym wzbogaceniu się. Pojawiają się olbrzymie kontrakty (negocjowane we własnym gabinecie w luksusowej kamienicy w centrum Warszawy) i przestają obowiązywać dziennikarskie zasady.

Redaktor piszący w poprzedniej dekadzie dla najpoczytniejszych tygodników, autor jednej z ciekawszych książkowych biografii politycznych w III RP, po latach wypłynął jako przedstawiciel międzynarodowego handlarza bronią. Jego firma zarabiała też na usługach dla jednej z najważniejszych partii politycznych. Miała m.in. pomóc w zorganizowaniu akcji oczerzienia prezesa państwowej spółki energetycznej – prezesa niewygodnego dla interesów tej partii, choć strzegącego interesu państwa.

Inna sprawa, z miasta na wschodzie Polski. Dziennikarz lokalnych mediów podejmuje współpracę ze służbami. Zaczyna być doceniany, bo jego publikacje robią dużo szumu. Informacje, które „zdobywa”, są precyzyjne. W zamian ma stworzyć serię publika-

cji, które mają zdyskredytować dużą zagraniczną firmę, właśnie wchodzącą na polski rynek. Zleceniodawca odnosi pełen sukces, firma rezygnuje. Redaktor robi karierę w stolicy, po kilku latach przechodzi do firmy PR. Co ciekawe, po kolejnych kilku latach wraca do dziennikarstwa. Konsekwentnie zaprzecza, jakoby miał kiedykolwiek współpracować ze służbami.

Kolejna historia dotyczy jednej z najbardziej znanych firm PR. Przed kilkoma laty o ich działalności zrobiło się głośno, gdy okazało się, że w jednym tylko roku „zainspirowali” w kilkunastu tytułach prasowych ponad setkę artykułów bardzo korzystnych dla jednej z państwowych spółek i jej prezesa. Wzięli za to prawie 1 mln zł.

O III RP niektórzy mówili, że to „demokracja hakowa” – największe kariery robili w niej ci, którzy dysponowali hakami na innych, a także ci, którym pozwolono zrobić kariery, bo istniały na nich haki, dzięki czemu byli łatwo sterowalni

„Wrzutkami” można naprawdę wiele zdziałać i wcale nie chodzi o zwykłe przekazanie gotowego tekstu, pod którym dziennikarz tylko się podpisze i odbierze laury za dobrze wykonaną robotę „śledczą”. Jedną z technik miękkiego PR polega na przekazywaniu wiedzy w taki sposób, by sprawę maksymalnie nasycić szczegółami. Paradoksalnie prowadzi to do stępienia krytyki, bo im ktoś zna więcej aspektów zagadnienia, tym bardziej niuansuje swoje opinie i jest mniej kategoriyczny w osądach. W ten sposób buduje się u dziennikarzy życzliwość, w końcu powinni być wdzięczni za cenne informacje, a że gdzieś po drodze sprawa się rozmydla...

W temacie haków nie można nie wspomnieć o politykach, którym polityka się znudziła albo oni znudzili się jej. Ci również zakładają firmy zajmujące się PR, czasem wraz z dziennikarzami, czasem z innymi byłymi uczestnikami życia publicznego. Wartość współpracy jest każdy, kto ma kontakty i jest choć minimalnie rozpoznawalny.

Słyszeliśmy o człowieku, który do niedawna był naprawdę wysoko postawionym politykiem, poszedł jednak w swoją stronę i zapracował na ksywkę „Pensja prezesa”. Zasada jest prosta – załatwię ci posadę w spółce skarbu państwa, ale oddasz mi pierwsze wynagrodzenie. To niejedyna działalność naszego bohatera, który „pośredniczy” także w kontaktach firm i mediów, żądając za to prowizji. Takie bezczelne i mało dyskretne działanie nie umknęło uwadze służb, które zgromadziły spory materiał dowodowy, włącznie z nagraniami audio i wideo, gdy przekazywana jest gotówka. Czy skończy się to aresztowaniem delikwenta? Można wątpić. Wiadomości donoszą bowiem, że nasz bohater, gdy tylko poczuł, że wokół niego robi się gęsto, udzielił obszernego wywiadu jednemu z portali. Publikacja zniknęła ze strony po kilku godzinach, ale kto ją miał przeczytać, ten przeczytał. Pan „pensja prezesa” zaznaczył w niej, że „jeśli utonie, to nie sam”, gdyż w trakcie robienia kariery politycznej zgromadził materiał, który teraz zapewnia mu nietykalość. Zasugerował, że szczególnie obfitą wiedzę ma z tzw. obyczajówki.

OBYCZAJÓWKA W CENIE

Upływ czasu spowodował, że bardzo zdewaluowały się haki esbeckie. Osoby obciążane materiałami zbieranymi przez służby PRL są dzisiaj poza polityką lub na jej marginesie. Bardzo częstym elementem próby wywierania na kogoś nacisku były wtedy i są teraz romanse, preferencje seksualne czy nałogi. Dlaczego? Bo sprawy obyczajowe trafiają do naprawdę szerokiego grona odbiorców. Wystarczy spojrzeć na okładki tabloidów, które zazwyczaj dobrze wyczuwają nastroje i potrzeby



Fot. Shutterstock

czytelników. Seks, narkotyki i kasa, koniecznie w tej kolejności. Ostatnio głośno było o polityku, który miał mieć nielegalnie finansowaną kampanię wyborczą. Nawet człowiek, który rozpuszczał te plotki, był szczerze zdziwiony tym, że czytelnicy i widzowie żądali przede wszystkim szczegółów rzekomych orgii z udziałem polityka, który miał podczas nich także zażywać narkotyki. A sprawa lewej kasy na kampanię zeszła jakoś na dalszy plan.

Haki obyczajowe stanowią tak skuteczną broń, że ich bohaterowie są w stanie słono zapłacić, by nie ujrzały one światła dziennego. Tak prawdopodobnie stało się z taśmami nagranyymi w ramach najsłynniejszej z afer. W VIP roomie jednej z warszawskich restauracji miało dojść do zbliżenia córki bogatego biznesmena z dobrze zapowiadającym się lobbystą. „Miasto” aż huczało od plotek, wiele osób zacierało ręce, czekając na pikantne szczegóły. Ostatecznie okazało się, że taśma, o której wszyscy wiedzieli, że jest, nie wypłynęła. A inne, owszem.

Status legendarnej ma już historia o tym, jak znany dziennikarz śledczy napisał uczciwą biografię jednego z najbogatszych Polaków. Książka ukazała się tylko w dwóch egzemplarzach (jeden dla autora, drugi dla bohatera). Za to, by nakład nie przekroczył tej ekskluzywnej liczby, biznesmen zapłacił siedmiocyfrową sumkę. Szkoda, że szerokiej publiczności nie było dane poznać treści książki. Miał być w niej opisany nawet fakt organizowania przez przedsiębiorcę pań do towarzystwa dla jednego z północnoafrykańskich dyktatorów.

Zbieranie plotek obyczajowych odbywało się właściwie zawsze. Gdy dochodziło do ich publikacji, zazwyczaj wstrząsały opinią publiczną, jak w przypadku parlamentarzysty, którego sfilmowano, gdy przebrany w sukienkę zażywał narkotyki. Materiał zostałby pewnie zniszczony, gdyby ofiara uległa szantażystce. Nie zapłacono, wybuchł skandal, media i ich odbiorcy ekscytowali się głównie seksualnym kontekstem wydarzenia.

W archiwum kompletowanym przez szefa ochrony jednego z najbogatszych Polaków znajdujemy opowieści sprzed kilkunastu lat. Jest np. mowa o pewnej bylejk aktorce, która później założyła firmę zajmującą się sytuacjami kryzysowymi i kreowaniem wizerunku. Nigdy nie narzekała na brak zleceń, a swoje koneksje zdobywała wraz z miłosnymi podbojami w naprawdę wysokich sferach politycznych. Do „towarzystwa” weszła jako kochanka prezesa jednego z największych polskich koncernów, który jednak na jednej z imprez miał „schlać się i usnąć”. Wtedy kobietą zainteresował się jeden z ministrów, przy którym pracowała przez długi czas. Wieść miejska niesie, że w międzyczasie utrzymywała także relacje z jeszcze wyżej postawionym urzędnikiem państwowym. Dzisiaj... wciąż świetnie sobie radzi. Dobre zlecenia podsuwa jej nawet jeden z konserwatywnych tytułów.

GRUBA GRA

We wspomnianym wyżej archiwum pikantne są tak naprawdę inne szczegóły,

wcale niezwiązane z seksem. Na horyzoncie wszystkich opisywanych przez nas działań stoją naprawdę duże pieniądze. To dla nich politycy, dziennikarze, PR-owcy są w stanie zrobić wiele, ale widząc, o jakie kwoty chodzi, łatwiej to zrozumieć. Przy okazji dużych kontraktów międzynarodowych defraudowano miliony (w jednej ze spraw 90 mln dol. w dwa i pół roku), problem był z ich legalizowaniem. Jeszcze trudniej było wprowadzać do obiegu gotówkę, a taka forma płatności, nawet przy olbrzymich kwotach, była normą. Powstawały specjalne grupy prawników, którzy za dużą prowizję czynili księgowe cuda. Gdy trzeba było coś zrobić szybko, działania musiały być niestandardowe. Słyszeliśmy np. o kupnie średniej wielkości banku z oddziałami w Wenezueli i Urugwaju, bo tym kanałem można było upłynnić każdą ilość pieniędzy.

Przypomnijmy, że opisywane powyżej sprawy działały się kilkanaście lat temu, ale już wtedy było jasne, iż przy tak grubej grze niezbędna jest ochrona informacyjna albo wręcz medialna ofensywa, gdy trzeba było powalczyć o rynek. Cytat: „W tym celu skorumpowali dwóch dziennikarzy: Y z tygodnika N piszącego pod pseudonimem i Z z gazety W [do niedawna najbardziej opiniotwórczy tytuł w kraju – przyp. red.]. Y był przekupywany jednokrotnie, natomiast Z dostał stałe zlecenie i gotowe artykuły do wydrukowania, pod którymi miał się tylko podpisać. Za korumpowanie Z odpowiadał bezpośrednio SP. Z otrzymał na początku 50 tys. (nie ustalono, w jakiej walucie), po czym stale współpracował z SP”.

Dlaczego dziennikarze decydują się na odejście od zasad zawodu i działalność na styku mediów, polityki i biznesu? Najczęściej powodem są pieniądze – zamiast kilku tysięcy pensji, robienie deali, w których obraca się milionami. Potem jest kolejny stopień wtajemniczenia – bo gdy nie wiadomo, o co chodzi, a nie chodzi już o pieniądze, to może chodzić o zaspokojenie ego. O poczucie sprawstwa i bycie w środku zdarzeń. Rozdawanie kart, podrzucanie tematów, inspirowanie dziennikarzy i obserwowanie, jak toczy się reżyserowane przez siebie przedstawienie.

Czas na korektę

Z prof. **Andrzejem Zybertowiczem**, socjologiem,
wykładowcą akademickim, doradcą społecznym prezydenta RP
i doradcą szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego, rozmawia Jacek Karnowski

Fot. Andrzej Wiktor

Elity dobrej zmiany nie mogą się zachowywać tak, jakby można było świętować Wielkanoc bez porządnego przeżycia Wielkiego Postu

Czy dobra zmiana dostała zadyszki? Niektóre sondaże wskazują na zmniejszający się dystans między PiS a opozycją, do tego narasta wrażenie, że polityczna dominacja obozu rządzącego stała się bardzo krucha, a jego cele mniej wyraziste.

Andrzej Zybortowicz: Pewnie ogólnie można się z tym zgodzić.

Dlaczego?

Uformował się bardzo szczególny system władzy – z mentorem, który ma największe doświadczenie zarówno w rozumieniu polityki bieżącej, jak i umiejętności wyznaczania celów na poziomie metapolitycznym. Przewaga Jarosława Kaczyńskiego nad de facto wszystkimi innymi politykami polega na tym, że jest on, obrazowo mówiąc, twórcą symfonii. Sprawnie przeprowadza lokalne gry polityczne (tutaj pewnie znalazłby konkurentów), ale jednocześnie programuje rolę Polski w obliczu wyzwań cywilizacyjnych. W istocie jest aktywny na wszystkich pośrednich szczeblach uprawiania polityki. Stworzył specyficzny system władzy, który jednak zdaje się wyczerpywać swoje proste rezerwy.

Skąd taki wniosek?

Dwa przykłady: pierwszy dotyczy różnicy między programami Mieszkanie+ a 500+, drugi zaś toczącej się wojny kulturowej, która stanowi szerszy kontekst dla naszych prób reformy Polski. Otóż wydaje się, że złożoność logistyczna, organizacyjna oraz finansowa, także PR-owska programu Mieszkanie+ jest o kilka rzędów większa niż słynnej „pięćsetki”. Oczywiście ten drugi program także realizowano z poważnym wysiłkiem, którego wcale nie chcę umniejszać: do władzy doszła nowa ekipa, która dopiero się uczyła i w biegu musiała zrobić coś nowego.

I która bez żadnej większej wpadki to zrobiła.

Okazało się, że wystarczyło skorzystać z infrastruktury banków, żeby to pro-

ceduralnie zadziałało, a później można było to udoskonalać i korygować. Z kolei złożoność finansowa, prawna, lokalizacyjna, publiczno-biznesowa projektu Mieszkanie+ jest nieporównywalnie większa.

Kłopot w tym, że przez osiem lat opozycji Prawo i Sprawiedliwość wychowało środowiska, które przede wszystkim potrafiły skutecznie zabiegać najpierw o zachowanie substancji patriotyczno-instytucjonalnej, potem o zdobycie władzy, wreszcie wprowadzać względnie proste reformy.

To ludzie, którzy pewnych barier już nie przekroczą?

Problem tych barier wiąże się ze wspomnianą wcześniej wojną kulturową, którą toczymy z tymi ugrupowaniami, dla których Polska jako pewna wartość historyczno-religijna wydaje się nie mieć większego znaczenia. Otóż współczesne wojny kulturowe mają szczególną cechę: są, jak to się mówi, sieciowe czy nawet sieciocentryczne. To oznacza, że nie można żadnym punktowym uderzeniem przełamać przeciwnika.

Żadna pojedyncza bitwa niczego nie rozstrzygnie?

Tak. Wojna kulturowa trwa ciągle. By wygrywać, by odnosić sukcesy, a nawet by się nie cofać, trzeba mieć zasoby w bardzo wielu miejscach i na bardzo wielu poziomach życia społecznego. To dobrze widać na przykładzie naszego oporu przeciwko dechrystianizacji Europy, przeciwko wypłukiwaniu rodziny jako fundamentu ładu społecznego. Ale nie tylko: przekonaliśmy się o naturze tej wojny w czasie konfliktu izraelsko-polskiego.

Gdy nagle zaatakowano nas dosłownie ze wszystkich stron.

Takie można było odnieść wrażenie. Podczas jednej z porad pewien doradca postawił pytanie: „Dlaczego oni nam to robią?”. Miał na myśli fale antypolonizmu płynące nie tylko ze śro-

dowisk żydowskich. I odpowiedział: „Bo mogą”. A mogą, bo nie mamy tego, co w innym kontekście nazwałbym Ma-BeNą, czyli maszyną bezpieczeństwa narracyjnego.

Cóż szkodzi, by tę maszynę zbudować? Są pieniądze, jest władza.

Owa MaBeNa – i mechanizmy jej podobne – mogą działać jedynie w ramach tkanki instytucjonalnej nowego rodzaju. I dlatego wydaje się, że środowiska dobrej zmiany potrzebują pewnej restrukturyzacji; takiej, która sprawi, że pożądane działania reformatorskie będą bardziej sieciowe niż punktowe lub klinowe.

Jeśli bowiem prawdą są niektóre medialne opisy stylu pracy premiera Mateusza Morawieckiego, a więc pomijanie pewnych procedur i wyznaczanie pełnomocników zadaniowych, którzy mają wolę premiera wcielić w życie, to mamy spory problem. W niektórych przypadkach takie metody rządzenia bywają i niezbędne, i skuteczne, ale nie pomogą nam trwale w realizacji np. projektów infrastrukturalnych.

Struktury tak omijane szybko zaradziejają i obumrą.

Wiele ważnych osób dobrej zmiany przywołuje w rozmowach boleśnie celną, jak się okazało, diagnozę Bartłomieja Sienkiewicza o „państwie teoretycznym”. Nie w tym sensie, że państwa w ogóle nie ma, ale że stanowią je nadal zbyt słabo powiązane silosy poszczególnych ministerstw i agencji rządowych. W rozmowach wewnętrznych ci ludzie przyznają, że nie udało się jeszcze naleźć naszego państwa odteoretyzować. Nie udało się zbudować samodoskonających się procedur współpracy.

Między poszczególnymi instytucjami?

Tam, gdzie wylania się wola polityczna – a więc, gdy co do podstawowych celów zgadzają się elektorat Prawa

i Sprawiedliwości, zarówno twardy, jak i miękki, partia oraz kierownictwo PiS z samym prezesem na czele, gdy pewne zadania są jasno wyartykułowane – tam udaje się przełamywać nawet duże przeszkody. Ale kiedy dochodzi do zderzeń w ramach wojny kulturowej toczonej w kraju i za granicą, kiedy trzeba stosować nie tylko zasadę „nie mnoż przeciwników ponad potrzebę”, a nawet tę mówiącą: „nie mnożmy obojętnych ponad potrzebę”, jest dużo gorzej.

W ostatnim wydaniu tygodnika „Sieci” Piotr Skwieciński zwrócił uwagę, że pokonane w wyborach elity – jeśli procesy zmian pozostaną płytkie – wcześniej czy później odzyskają straconą pozycję.

W pierwszych tygodniach dobrej zmiany poważny socjolog związany z lewicą powiedział mi: „Wam się to nie powiedzie, bo nie macie dostatecznie silnych i licznych elit, by taką przebudowę Polski zrealizować”. Jeśli nie sięgniemy po profesjonalistów, którzy będą uczestniczyli w projektach dobrej zmiany w trybie pozapolitycznym, np. po inżynierów, ale nie tylko, to rzeczywiście nie damy rady.

Bo nie można wojny kulturowej wygrać bez ekspertów, również od komunikacji. Komunikacja we współczesnym świecie wymaga bardzo finezyjnej gry na wielu instrumentach. To musi być wręcz gra wielonarracyjna, niemal symfoniczna.

Jak już ustaliliśmy, twórcą symfonii jest prezes Kaczyński.

Czym innym jest gra symfoniczna, która polega na tym, by zapewnić spójność obozu politycznego, czym innym jest takie komunikowanie się z elektoratem, by zniechęcić go do opozycji, a jeszcze innym realizowanie głębokich reform, które wymaga kooptacji nawet nie ze środowisk symetrystów, ale spośród ludzi pozapolitycznych.

Tym bardziej że nie chodzi o kooptację klientelistyczną. Chodzi np. o kadry administracji publicznej, które za poprzednich rządów wykazywały

poparcie dla dobrej zmiany, źle się czując w warunkach klientelizmu platformersko-peeselowskiego. Chodzi o to, że nie zawsze ci urzędnicy, którzy po prostu chcą być profesjonalistami, widzą do tego sprzyjające warunki.

Dziś nie mogą nimi być?

Niestety, niekiedy wciąż mają poczucie, że profesjonalna praca urzędnika państwowego nie jest w cenie. Jeśli instytucja zajmuje się np. utrzymaniem fragmentu infrastruktury, a jest pod wpływem jakiegoś partyjnego barona, to zdarza się, że racjonalność techniczna przegrywa z presją klientelistyczną.

W pierwszych tygodniach dobrej zmiany socjolog związany z lewicą powiedział mi: „Wam się to nie powiedzie, bo nie macie dostatecznie silnych i licznych elit, by przebudowę Polski zrealizować”

Powstaje pytanie, jak w ramach specyfiki obecnego pola władzy uzyskać większą zdolność realizacji złożonych projektów infrastrukturalnych, zwłaszcza bezprecedensowych, takich jak Mieszkanie+. To przedsięwzięcie o złożoności większej niż budowa autostrad, gdzie całe know-how jest już rozpoznane. I jak dopasować państwo do działania w warunkach wojny kulturowej, tak by nawet oddzielone ogniwa sieci realizowały zbieżne działania, bo rozumieją wspólną misję.

Celem jest sytuacja, w której instytucja kultury polskiej w kraju X bez ręcznego sterowania rozumie, w jaki sposób aktywnie, kreatywnie, finezyjnie bronić wizerunku Polski. Dziś są tam ludzie na etatach administracyjnych, przyzwyczajeni do wykonywania poleceń, których pierwszym instynktem

jest zasada cover your ass, a więc unikanie jakichkolwiek kłopotów.

Problem w tym, że tocząca się wojna kulturowa w pewien sposób zniszczyła również tych profesjonalistów, których pan profesor przywołuje. Zbiór ludzi, którzy po prostu chcą dobrze pracować i którzy swojego miejsca w strukturze nie wykorzystają politycznie przeciwko dobrej zmianie, wydaje się bardzo ograniczony.

To prawda, symetryści to gatunek bardzo rzadki. Wojnie kulturowej towarzyszy wojna informacyjna. Ta ostatnia nie koncentruje się na promowaniu, np. przez Rosjan, konkretnych postaw ideowych, rozwiązań politycznych, ale na podkreśnianiu negatywnych emocji. Tu chodzi o delegitymizowanie systemu, co zresztą media czynią dziś same z siebie. W warunkach hipertransparentności dzieje się to codziennie.

Sprawa nagród dla ministrów może być przykładem.

To dobra ilustracja. Ale wracając do wojny informacyjnej, to strategia Kremla jest następująca: rozpoznajemy naturalne konflikty, które następnie rozjątrzamy do takiego poziomu, że zanika możliwość rozmowy ponad podziałami. Amerykańskie spory o dostęp do broni, o imigrację, o płot na granicy z Meksykiem, coraz rzadziej toczą się w ramach rzeczowej debaty demokratycznej. Ale jeśli spory doprowadza się do poziomu, na którym tylko argumenty emocjonalne mogą się przebić, a argumenty racjonalne są poniżej poziomu uwagi opinii publicznej, to społeczeństwa tracą zdolność do konsensu.

Klasyczna teza teoretyka postmodernizmu Richarda Rorty’ego, która mówiła: zatroszczmy się o wolność, wtedy prawda zatroszczy się o siebie, utraciła ważność. W warunkach przeciążenia informacyjnego, kultury fake newsów ten mechanizm nie działa.

Obóz, który dziś w Polsce rządzi, został jednak zbudowany również, choć nie tylko, na obronie zagrożonej



Fot. Andrzej Wiktor

tożsamości. W tym sensie konflikt jest jego dość naturalnym stanem.

Zastanawiam się czasami, czy zwolennicy Platformy doświadczają dziś tego, co przeżyło w opozycji środowisko PiS. Czytam wpisy o Klubach Obywatelskich, założonych przez PO, ale wydaje mi się, że frekwencja jest tam zazwyczaj kiepska, na co wskazuje prezentowanie w mediach społecznościowych zdjęcia mówców, a nie sali. Gdy środowiska patriotyczno-niepodległościowe znajdowały się w opozycji, byłem – obok dr Barbary Fedyszak-Radziejowskiej, prof. Zdzisława Krasnodębskiego, prof. Andrzeja Nowaka – w grupie naukowców jeżdżących po całym kraju na spotkania z Klubami „Gazety Polskiej”, z rodziną Radia Maryja, z lokalnymi stowarzyszeniami; zazwyczaj frekwencja była dobra. Bazowaliśmy bowiem na kapitale tradycji patriotycznej.

Gdyby PiS nie było wyrazicielem tej wielkiej części Polski, to nie przetrwalibyśmy. Jarosław Kaczyński na pewno utrzymałby jakiś wehikuł polityczny, ale bez zdolności zdobycia władzy. A do jakiego głębiej zakorzenionego potencjału społecznego może się odwoływać klientelistyczna partia władzy, jaką była PO?

Mają zasoby skupione wokół elit.

Są też zagraniczne grupy interesu. Ale co, jeśli odetniemy to wsparcie zewnętrzne? Na ile wizja Polski,

którą próbował realizować Donald Tusk, jest zakotwiczona w sposób naturalny w tkance społecznej, a na ile mamy do czynienia jedynie ze współczesną mutacją idei eksportu rewolucji ze strony kręgów liberalno-lewackich? Bo taki eksport się przeprowadza, np. w Afryce. Kard. Robert Sarah mówił niedawno w polskim Senacie, że programy pomocowe dla krajów afrykańskich udzielane są pod warunkiem prowadzenia polityki genderowej, promowania praw aborcyjnych itd.

Mamy więc sytuację, w której jedna strona polskiej sceny nie jest zakorzeniona w kraju, a druga ma zbyt mało własnych zasobów, by Polskę realnie przebudować.

Zasoby są. Problem w tym, że nie umiemy tak rekonfigurować stylu uprawiania polityki, by je wyzwolić. Chodzi także o zasoby apolityczne, a więc owe tysiące profesjonalistów w administracji i biznesie, którzy chcieliby współtworzyć nowoczesną Polskę, nie wypierając się jednocześnie naszej tradycji. Oni nie chcą tego jednak robić w aurze lojalności partyjnej. Chcieliby twórczo działać, ale często nie chcą się angażować w spory ideowe czy polityczne.

Dziś nie chcą, ale najczęściej wystarczy pogrzebać na profilach tych ludzi w mediach społecznościowych,

by znaleźć np. jakieś szyderstwa z tragedii smoleńskiej.

Być może potrzebna jest jakaś abolicja w takich sprawach? Wielu ludzi robiło to z głupoty; nie byli żadnymi agentami wpływu, nie należeli do pasożytniczych grup interesu. Ulegali pewnej złej modzie środowiskowej.

Uważa pan, że należy zaproponować „grubą kreskę” w odniesieniu do tego typu wypowiedzi?

Rozważyłbym to.

Na przełomie roku dokonano wymiany premiera, właśnie pod hasłem usprawnienia, odeuretyzowania państwa, również pod hasłem sięgnięcia po fachowców z rynku. A tymczasem – jak wynika z naszej rozmowy – nie widać, by obraz sytuacji stawał się jaśniejszy.

To jest pytanie, jak wyglądałoby pierwsze sto dni premiera, gdyby nie kryzys izraelsko-polski, prawdopodobnie dość cynicznie wywołany przez stronę izraelską. To o tyle bolesne, że nasi partnerzy lekką ręką zlekceważyli rzeczywiste osiągnięcia w budowaniu dialogu. Zlekceważyli także gotowość wielu tysięcy Polaków do otwartej rozmowy o polskich winach, tam, gdzie są one udokumentowane.

Ale to na marginesie, wracam do pytania: czy gdyby nie ten kryzys, nie byłibyśmy już w fazie wypracowanych rozwiązań w sporze z Komisją Euro-



Fot. Andrzej Wiśniewski

pejską? A wówczas łatwiej byłoby iść dalej, w kierunku, o którym mówię.

Dziś w sporze z Unią możemy się trochę cofnąć, ponieważ przez dwa lata pokazaliśmy, że potrafimy też twardo wytrzymać presję. Te sprawy są ściśle związane.

Zgoda. Jeśli będzie kompromis z obu stron, to znaczy, że gra była warta świeczki. Generalnie sądzę, że gdyby nie kryzys izraelski, pole manewru prezesa Rady Ministrów byłoby znacznie szersze. Być może mógłby inaczej zareagować w sprawie nagród dla ministrów, mówiąc Polakom: albo zatrudniamy profesjonalistów, albo bierzemy ludzi z łapanek. A tak nie możemy wciąż przełamać owej pętli zarządzania kry-

zysowego, świadomie podtrzymywanej przez opozycję. To z kolei utrudnia odteoretyzowanie państwa.

Dlaczego?

Bo jeżeli muszę działać reaktywnie, to nie mogę aktywnie budować powiązań, testować procedury i podczas wymiany kadr bardziej bazować na kompetencjach. W warunkach kryzysowych patrzy się przede wszystkim na lojalność współpracowników.

Ale czy problem nie jest szerszy w sytuacji wojny kulturowej? Porządek lewicowo-liberalny jest dziś czymś „naturalnym”, czymś, co samo się od-twarza i może istnieć nawet bez wła-dzy politycznej. Nieprzypadkowo

Viktor Orbán poszedł w kierunku ręcznego kontrolowania instytucji, w kierunku opierania się na lojalności. Bo to gwarantuje choćby minimalną odporność na stałą, nieuniknioną presję lewicowo-liberalną.

To rzeczywiście pytanie szersze. Czy kryzys demokracji lewicowo-liberalnej nie prowadzi nas do postawienia pytania o nowe formy rządzenia? Poprzez stale nowe technologie, poprzez hiper-różnorodność demokracja liberalna założyła pętlę na własną szyję. Poważni badacze, jak najdalsi od tradycji autorytarnej czy narodowej, stawiają już pytania: czy to aby nie jest zmierzch demokracji? Czy cywilizacja ludzka ze względu na postęp technologiczny i kłopoty z równowagą geopolityczną nie weszła w fazę, w której trzeba szukać alternatywnych form rządzenia?

Jeśli kraje takie jak Polska zawczasu zrozumieją głębokość kryzysu, to będą przygotowane na nowe wyzwania. Zachowamy podstawowe prawa człowieka i jednocześnie zapewnimy państwu skuteczność rządzenia. Jeśli fundamentalnie będziemy bronili demokracji proceduralnej bez substancji moralnej, bez wartości, to po okresie konwulsji Zachodowi może grozić wejście w brutalny autorytaryzm, choćby technologiczny. Potrzebne jest myślenie metapoziomowe.

Czy obóz polskiej prawicy może podjąć te wyzwania, o których pan mówi? To środowiska, dla których sfery symboliczna, emocjonalna są niezwykle ważne.

Nie powinniśmy się obawiać rozmowy z elektoratem dobrej zmiany. Moje doświadczenia są zachęcające. Objeżdżając ze swymi książkami kraj w latach rządów Platformy, odnosiłem wrażenie, że gdy udzielałem niedomagających odpowiedzi na trudne pytania, było to traktowane ze zrozumieniem. Więcej, miałem wrażenie, że środowiska patriotyczne były bardziej dojrzałe niż publiczność ze spotkań uniwersyteckich. Ci zazwyczaj starsi ludzie mieli większą wiedzę o warunkowaniach polityki niż studenci zadający często naiwne pytania.

Teraz stoimy przed kolejnym zadaniem: musimy rozumienie dzisiej-

szej polityki przez nasz elektorat wznieść na nowy, jeszcze wyższy poziom. Musimy przełamać pewne fundamentalistyczne reakcje polityczne, np. tę, że skoro kiedyś głupio się śmiałeś ze Smoleńska, to jesteś przekreślony na całe życie, utraciłeś zdolność honorową. To reakcje całkowicie zrozumiałe, zwłaszcza wśród ludzi, którzy tamtą traumę mocno przeżyli, ale trzeba je na nowo przepracować.

Tego typu zmiany w praktyce działania prawicy mogą przynieść, i to bardzo szybko, zarówno demobilizację zwolenników prawicy, jak i jeszcze większą pewność siebie środowisk, które przegrały w 2015 r. Obóz Prawa i Sprawiedliwości istnieje tylko „w marszu”, gdy ma poczucie, że zmierza do ważnego, czytelnego dla wszystkich celu.

Stoimy przed kolejnym zadaniem: musimy rozumienie dzisiejszej polityki przez nasz elektorat wznieść na nowy poziom. Musimy przełamać fundamentalistyczne reakcje polityczne

Czy jesteśmy w stanie zaproponować takie strategie marszu, które nie są ekskluzywne? Takie cele, które będą łączyły, a nie wykluczały? Czy możliwe jest to, o czym zawsze marzyłem w opozycyjnym okresie mojej aktywności publicystycznej, a więc wytworzenie pozytywnego efektu

grawitacyjnego władzy reformującej kraj?

Tego się nie zda zrobić bez pewnej uczciwej rozmowy z wyborcami. Przeprowadzanie takich zmian w biegu kreuje wrażenie, że są tu jakieś ukryte cele.

Jarosław Kaczyński powiedziałby pewnie, że o tego typu korekcie polityki można myśleć dopiero po tym, gdy dobra zmiana po raz drugi wygra wybory. Wówczas środowiska zarówno opozycyjne, jak i stojące na pozycjach obserwatorów zobaczą, że ta władza nie jest tymczasowa, że ten głęboki projekt odnawiania Polski w warunkach dynamicznej cywilizacji rozwija się. Wówczas łatwiej będzie przekroczyć własną politykę ekskluzyjii. Na razie jednak elity dobrej zmiany nie mogą się zachowywać tak, jakby można było świętować Wielkanoc bez porządnego przeżycia Wielkiego Postu.

REKLAMA

François Furet:
Jakie namiętności
i urojone idee spowodowały,
że tylu ludzi w XX wieku
uległo szaleństwu rewolucji?

New York Times:
François Furet to jeden
z najbardziej wpływowych
myślicieli Francji
po wojnie.

**przełomowy esej
o komunizmie**

**analiza przyczyn
fascynacji powojennej
Europy Zachodniej
ideą komunizmu**



**Państwowy
Instytut
Wydawniczy**

Polecamy również:



**Marian Golka
PARADOKSY
WOLNOŚCI**



**Martin Malia
O REWOLUCJI
ROSYJSKIEJ**

**Zapraszamy
do księgarni
internetowej
www.piw.pl**



Polowanie na PiS ruszyło

Fot. AFP Photo/Janek Skarzynski

Jak to się stało, że po dwóch latach stabilnych rządów, wzrostu gospodarczego, udanej prospołecznej polityki i ciągłej kompromitacji opozycji obóz dobrej zmiany znów występuje w roli zwierzyny łownej dla mediów III RP i całego jej systemu? Czy mamy do czynienia z syndromem sztokholmskim?



MICHAŁ KARNOWSKI

Nie ma sensu zbyt długo rozważać, czy wrzucony do obiegu przez telewizję TVN sondaż Kantar Millward Brown pokazujący rzekomy spadek poparcia dla Prawa i Sprawiedliwości o 12 proc. i jedno-

czesny wzrost Platformy Obywatelskiej o 6 proc. (czyli 28 do 22) jest rzetelnym i dokładnym odbiciem nastrojów społecznych. Ważniejsze są trzy inne sprawy. Po pierwsze, rzeczywiście obserwujemy pewne przesunięcie nastrojów społecznych i choć nie aż w tej skali, to można mówić o jakimś dołku formacji obecnie rządzącej. Po drugie, i najważniejsze, z całej historii ostatnich tygodni, której finałem jest wspomniany sondaż, musimy zapamiętać łatwość, z jaką obóz III RP, jego media i zaplecze znów są w stanie montować wielkie operacje przeciw tzw. pisowcom, usta-

wiać ich w roli zwierzyny łownej, organizować prowokacje i narzucać opinii publicznej manipulacje. Łączy się z tym trzeci wniosek: niemal jawnie gra z nim, kolaboruje i wspiera część obozu dobrej zmiany. A im bardziej kolaboruje, tym większe zyskuje wpływy i tym śmieiej z nich korzysta.

ZABIĆ SZYDŁO

Nie jest przypadkiem, że głównym celem ataku obozu III RP w lutym i marcu była premier Beata Szydło. Zaatakowano ją za nagrody przyznawane mi-

nistrom, wiceministrom i – co wyszło szczególnie niezręcznie – sobie. W rzeczywistości te formalne nagrody, przyznawane automatycznie i co miesiąc, były formą podwyżki płac dla ministrów i wiceministrów. Cóż, jeżeli się szło do wyborów z hasłami pokory i skromności, to słowa krytyki są w pewnym stopniu uzasadnione. Ale warto widzieć też kontekst. Prawicowi politycy zostający ministrami i wiceministrami (ci ostatni to tzw. woły robocze każdej ekipy, na nich spoczywa większość pracy) rzadko są milionerami, jak wielu polityków PO, PSL, SLD. Zarabiając kilka tysięcy złotych, mało przebywając w domu (co często niesie dodatkowe koszty w postaci konieczności wynajęcia opieki nad dziećmi), mieli subiektywne poczucie, że poziom wynagrodzeń jest upokarzająco niski. Zwłaszcza na tle zarobków w stolicy. Jednocześnie jest obiektywnym faktem, że rząd premier Szydło, w odróżnieniu od wielu poprzedników, zanotował wyjątkowo duże sukcesy. Organizacja szczytu NATO, Światowych Dni Młodzieży, wizyty prezydenta Trumpa w Polsce, wdrożenie programu 500+, odzyskanie do budżetu 30 mld zł rocznie (!) – trudno osiągać takie cele, nie dysponując żadnym bodźcem materialnym wobec władnego. Lepiej chyba było już to zrobić z otwartą przyłbicą – tego szkoda z dzisiejszej perspektywy. W sumie błąd, ale rozdmuchany do poziomu skandalu przez ludzi, których środowiska polityczne wskutek samej afery hazardowej doprowadziły do strat (jak się ocenia) w wysokości 21 mld zł.

Kampania przeciw Szydło przypominała swoją skalą i zaciekleścią najlepsze czasy monopolu medialnego środowisk III RP. Rzucono wszystkie możliwe zasoby, opór okazał się niewielki. Dlaczego? Bo była premier, dziś wicepremier, symbolizuje wszystko to, co dało Prawu i Sprawiedliwości wyborczy triumf 2015 r. Sprawność, dynamizm, skuteczność z jednej strony, pokorę i bezpośrednią więź z Polakami z drugiej. W kampanii toczony we wrogim otoczeniu, w sytuacji fundamentalnej bitwy potrafiła znaleźć klucz do takiego mówienia, obok mediów i ponad nimi,

żeby zostać usłyszana przez wyborców. Dobrze to ujął premier Jarosław Kaczyński w ostatniej rozmowie z portalem wPolityce.pl: „Kiedy była premierem, to ta spokojna, wyważona i dobra osoba, od czasu do czasu tak troszkę pokazywała pazurki. I też przed tym wystąpieniem powiedziałem jej: »Pokaż, proszę, pazurki«” – mówił o jej wystąpieniu w Sejmie, kiedy przypomniła, że legalnych nagród najbardziej czepiają się ludzie, którzy sami rozkradali Polskę na miliardy. Lider Zjednoczonej Prawicy o samych nagrodach wypowiedział się tak: „Nie można popadać w szaleństwo. W Polsce nielegalnie przejęto wielkie majątki, można to już od początku liczyć w bilionach. A tutaj mamy do czynienia z legalnymi nagrodami za ciężką pracę, dla ludzi, którzy z tymi zjawiskami przejmowania własności narodowej walczyli. Oczywiście można dyskutować, czy to dobre, czy to złe, czy takie sumy powinny być, czy inne, ale to absolutnie nie jest żaden skandal”.

Uczestnicy obozu dobrej zmiany powinni przypomnieć sobie, że to koalicja. Myślenie o zdominowaniu wszystkich obszarów przez jeden ośrodek skończy się rozpadem

Własna agenda i niepozwalanie, by ocena ekipy pisowskiej oderwała się od kontekstu poprzedników, była fundamentem dobrych notowań prawicy przez pierwsze dwa lata. A przecież nie było miesiąca bez sytuacji kryzysowej: presja unijna, ataki medialne, wreszcie śmiertelnie niebezpieczne pucze i puczyki.

Ekipa dobrej zmiany w tym okresie dobrze wyczuwała, że w takim otoczeniu trzeba ciągle narzucać własne tematy, ciągle być na marszu i ofensywie. Trzeba mówić bezpośrednio do Polaków. Trzeba im zaufać. Co ważne, w warstwie komunikacyjnej nie szukano gruszek na

wierzbie, ale doceniano te środowiska i kanały komunikacji, które były wolne od wirusa manipulacji. I to bardzo długo dobrze działało.

ZDEMONTOWANE FRONTY

Jednak już pod koniec premierostwa Beaty Szydło dało się zauważyć niedobre zjawiska rozmywania i demontowania tych mechanizmów. W części obozu wygrała pokusa takiego ustawienia spraw, by za zasoby całego obozu w mediach III RP kupować indywidualną promocję i osłonę, a także możliwość inspirowania ataków przeciw wewnętrznym konkurentom. Wróciło też wielkie intelektualne marzenie o pozyskaniu części obecnego establishmentu, co jest jednak złudzeniem, bo w obecnej fazie, gdy przegrani wykopali rów, zalali benzyną i podpalili, jest niemożliwe.

Efekt był jednak koszmarny. Z jednej strony rezygnacja z dotychczasowego kierunku przyniosła spadek dynamiki, rozmycie celów i frontów (za medialnych sojuszników, rzeczników i podpowiadaczy części obozu rządowego zaczęli uchodzić wcześniejsi fani Tuska i Komorowskiego!), z drugiej – plan otwarcia na mityczne centrum przyniósł demobilizację zwolenników dobrej zmiany. Jeśli można kłamać i brać udział w kampaniach nagonkowych na dobrą zmianę, ale mieć wielkie finansowanie i jeszcze rzekę poufnych informacji, to po co się narażać? Taka myśl pojawiła się w wielu opiniotwórczych kręgach. Jeżeli podobno chcemy się nagle dogadywać z III RP, sięgamy po jej tożsamościowe nawet kadry, to może nasz wysiłek w terenie nie ma sensu? Tak pomyślało wielu sympatyków dobrej zmiany, ludzi, którzy płacili latami ogromną cenę za swoje zaangażowanie po propolskiej stronie.

Warto przypomnieć fundament, na którym opierało się zwycięstwo 2015 r., fundament, bez którego na poziomie strategicznym to wszystko się rozsypuje: zmiany w Polsce są obecnie możliwe, wyłącznie jeżeli ominie się zainfekowane wirusem postkomunizmu i patologiami niektóre struktury społeczne, organizacje, media, grupy

establishmentu. Uznanie ich za uprawnionych do osądzania obecnej władzy, założenie, że można poprzez nie przekazywać swoje cele i argumenty, jest jakimś szaleństwem. Tylko ktoś, kto nie przeżył lat 2005–2015 (a i wcześniej) po patriotycznej stronie, może wpaść na taki pomysł. Dobra zmiana ma sens wyłącznie w bezpośredniej łączności z Polakami.

Chwilami przypomina to wręcz syndrom sztokholmski. Oto typowy dzień: rano ważny polityk PiS pędzi do wrogiego jego formacji studia telewizyjnego, podlizuje się, sypie „newsami”, a wieczorem ta sama stacja na podstawie tych właśnie wypowiedzi polityka spuszcza jemu i jego partii łomot. Następnego dnia więc... mamy to samo!

OSŁONIĆ REFORMY

Nie było żadnego, poza egoistycznymi pożądaniami, obiektywnego powodu, by demontować to, co dobrze działało. Tym bardziej że w zasobach dobrej zmiany są poważne rezerwy kadrowe, a elementarna dyscyplina, zdolność podporządkowania się decyzjom lidera nie została utracona. Zmiana Szydło na Morawieckiego była na to mocnym dowodem. Nowy szef rządu otrzymał ekstremalnie trudne zadanie: zamknięcie sporu z Unią Europejską, na dodatek w taki sposób, by obronić prawo Polski do reformy tego patologicznego obszaru. Wszystko wskazuje na to, że poradził sobie z tym zadaniem świetnie. Pamiętam jego pierwsze, styczniowe spotkanie z szefem Komisji Europejskiej Jeanem-Claudem Junckerem w Brukseli. Napięta atmosfera, dużo nieufności, próba zostawienia emocji za drzwiami i nawiązania merytorycznego dialogu. Kolejne spotkania już zupełnie inne, skupione na konkretnych sprawach z obszaru sądownictwa, wreszcie Biała Księga o reformie sądownictwa w Polsce. Szef rządu tak mówił o jej efektach w rozmowie z portalem wPolityce.pl: „Odegrała ogromną rolę. To opracowanie próbowano wyśmiewać, ale ono naprawdę dostarczyło naszym partnerom wiedzy, którą nie zawsze mieli, nie zawsze rozumieli, o co nam chodzi. Oczywiście nikt się nie przyzna, że czegoś nie wiedział,



Fot. Andrzej Wilk

ale najważniejsze, że widzimy efekty”. I ocenił, że obecnie szanse na porozumienie szacuje na 65–70 proc.

To był podstawowy cel zmiany prezesa Rady Ministrów: po okresie dwóch lat trudnych reform wewnętrznych, budujących napięcia także w relacjach z Unią Europejską, niestety często ślepą na patologie postkomunistyczne, osłonić je na zewnątrz. I ten cel jest osiągany pomimo bolesnego sporu wywołanego próbą penalizacji (w ustawie o IPN) kłamstw na temat roli Polski w II wojnie światowej, próbą zatrzymania fali manipulacji historią, przypisujących Polakom zbrodnie niemieckie. Popierałem ten postulat, ale mądrość wymaga czasami korekty kursu. Wpisanie w tę sprawę Stanów Zjednoczonych wymaga przemyślenia ustawy, a cel ustawy można osiągać za pośrednictwem innych środków. Choćby przez powołanie postulowanego przez Jacka Karnowskiego zewnętrznego Instytutu Pamięci Narodowej, który zajmowałby się systemową pracą nad obroną prawdy o Polsce w Unii, USA i gdzie tylko można.

CO DALEJ?

Politycy PO już witają się z gąską, licząc, że właściwie to posprzątane i weszli na drogę odzyskania władzy. Pomijając fakt, że dla Polski byłaby to ponura perspektywa, jest to wniosek dalece przedwczesny. Dolki emocjonalne i spadki sondażowe są nieuniknione. Ważne jednak, by dostrzec ich prawdziwą przyczynę i skorygować kurs. Na dziś

tę konieczną korektę widziałbym w pięciu wymiarach. Po pierwsze, zaprzestanie flirtów z zasobami obozu III RP. To się zawsze kończy katastrofą. Pięć razy pomogą, za szóstym, już uwiarygodnieni, razem wbiją rdzawy nóż w plecy. Po drugie, wszyscy uczestnicy obozu dobrej zmiany powinni przypomnieć sobie, że to jest koalicja. Myślenie o zdominowaniu wszystkich obszarów przez jeden ośrodek skończy się rozpadem. Po trzecie, premier Mateusz Morawiecki, choć przytłoczony dziesiątkami nowych obowiązków, powinien przypomnieć sobie język i sposób działania z czasów, gdy był wicepremierem, kiedy umiał przekonać Polaków, iż wie, jak pchnąć Polskę na ścieżkę dynamicznego rozwoju. To bezcenna umiejętność, szkoda, że dzisiaj nieco schowana.

Po czwarte, premier Jarosław Kaczyński powinien przywrócić dyscyplinę w szeregach, bo założenie, że wszyscy sami uszanują wzajemne pola wpływu i postawią wyżej nad osobisty interes wspólną sprawę, okazało się niestety nieco na wyrost. Po piąte, czas poważnie pomyśleć o dalszym pluralizowaniu rynku mediów, bo na dłuższą metę bezczynność w tym obszarze srogo się zemści. Dziś media niezależne są w kondycji dużo gorszej, niż były w roku 2016. Rynek reklamowy jest dla nich w dużej mierze zamknięty (domy mediowe są silnie zaangażowane politycznie po stronie III RP), nie ma nowych rozdań koncesyjnych, nie ma presji na różnorodność. No, ale to już temat na inny artykuł.

*Zemsta i represje wobec
każdego, kto popiera
rządu PiS, stały się oficjalnym
i jedynym programem PO*

Bereza Schetyny



Fot. Artur Szczepaniak/REPORTER

Zastraszanie obecnie rządzących, ale przede wszystkim szeregowych urzędników państwowych, pracowników spółek skarbu państwa czy budżetówki to obecnie najważniejsza strategia Platformy Obywatelskiej. Grzegorz Schetyna i inni działacze PO grożą im odwetem, a nawet czymś w rodzaju specjalnych sądów. W odstępie zaledwie dwóch dni, 25 i 27 marca 2018 r., przewodniczący Schetyna przypomniał swoje stare groźby: zemsty i rozliczeń. Oczywiście ubrane w obronę konstytucji i zasad prawa. 25 marca Schetyna napisał na Twitterze: „Nie odpuścimy tym, którzy złamali konstytucję, zrujnowali autorytet polskiego prawa, a sądownictwo upartyjnili. Dziś deklaruje: Platforma nie powtórzy błędu i postawi przed wymiarem sprawiedliwości tych, którzy łamali prawo. Muszą to wiedzieć”. 27 marca lider PO powtórzył: „Publicznie zapowiedziałem, że wszyscy, którzy łamią dziś w Polsce prawo, konstytucję, demokrację zostaną osądzeni. To nasza deklaracja”. Kumulacja gróźb nie jest przypadkowa,



STANISŁAW JANECKI

skoro w ostatnich tygodniach stały się one jedynym wyrazistym elementem programowym w Platformie.

POLSCY JAKOBINI

Groźby pod adresem rządzącej Zjednoczonej Prawicy i jej sympatyków Schetyna wypowiadał podczas prawie każdego publicznego wystąpienia od 2016 r., szczególnie na posiedzeniach Rady Krajowej PO oraz na wiecach i marszach. Na wiecu Komitetu Obrony Demokracji 16 lipca 2017 r. mówił: „Obiecuję jedno: że po wyborach ich rozliczymy, wszyscy razem”. 1 lipca 2017 r. straszył: „Odpowiecie za to wszystko, co dzisiaj robicie”.

Podczas tzw. Marszu Wolności 6 maja 2017 r. groził: „Chcę wyraźnie powiedzieć, że po zwycięskich wyborach ci wszyscy, którzy łamali prawo, odpowiedzą za to. Rozliczymy ich!”. 6 maja Schetynę wsparł szef klubu PO Sławomir Neumann: „Możemy solennie obiecać, że Polacy was rozliczą! Niszczenie TK, znieważanie polskich kobiet, niszczenie armii. Odpowiecie

najpóźniej po dniu wyborów! Polacy was oceniają, a niezależne sądy was osądzą. [...] Chcę powiedzieć urzędnikom, członkom PiS-u, nie wszyscy z was będą mieli tyle szczęścia co [Wacław] Berczyński [były przewodniczący Podkomisji ds. Ponownego Zbadania Wypadku Lotniczego pod Smoleńskiem]. Nie wszyscy zdołacie uciec". W latach 2016–2017 groźby i zapowiedzi zemsty brzmiały jak stałe zaklęcia opozycji, w 2018 r. nie tylko stały się programowe, ale nałożyły się na atmosferę skrajnej wrogości wobec rządzących i bardzo ostrych podziałów społecznych i politycznych, jeszcze wzmacnianych z zagranicy.

Przy wszystkich zastrzeżeniach co do trafności takiego porównania można mówić o ewolucji stanowiska PO przypominającej przekształcenia w obozie jakobinów podczas rewolucji francuskiej. Tam początkowo niegroźny Klub Bretoński (powstały w 1789 r.), przemianowany na szczytne Stowarzyszenie Przyjaciół Konstytucji, ewoluował w skrajnie radykalną dyktaturę. Najpierw tylko straszono rządzących żyrodystów (konserwatystów, przedstawicieli inteligencji i burżuazji, którzy początkowo byli prawym skrzydłem jakobinów), potem ich masowo aresztowano, a wreszcie brutalnie się z nimi rozprawiono, wielu po prostu pozbawiając głów. Jakobini działali w sytuacji zewnętrznego zagrożenia i im było ono większe, tym silniejszy był terror wewnętrzny. I znowu przy wszystkich zastrzeżeniach Platforma też kreuje obraz Polski zagrożonej, ale nie zewnętrzną agresją, lecz wykluczeniem ze wspólnoty europejskiej, co ma nas izolować i wystawiać na zewnętrzne niebezpieczeństwa. Kreuje się straszną, choć absolutnie kłamliwą wizję wychodzenia z Unii Europejskiej i wpadania w ramiona Rosji Władimira Putina. Konsekwencją takiego „ustawiania” obecnej władzy jest wywoływanie nienawiści do niej jako tej, która sprowadza na Polskę śmiertelne zagrożenie z zewnątrz. O to samo jakobini oskarżali żyrodystów, zanim się z nimi krwawo rozprawili.

KLIMAT BEREZY KARTUSKIEJ

Nawet jeśli specjalne sądy czy rodzaj Berezki Kartuskiej dla rządzącego Prawa i Sprawiedliwości są tylko mrzonką, to mają napiętnować ludzi władzy, urzędników, a nawet sympatyków. Mają ich paraliżować, zachęcać do jakiejś formy bojkotowania obowiązków, do donoszenia na kolegów, żeby PO miała na każdego odpowiednie dossier. Temu mają służyć listy proskrypcyjne dotyczące różnych środowisk, które już „oddolnie” powstają, a w największym stopniu dotyczą prawników, przede wszystkim sędziów (będzie jeszcze o tym mowa). Zapowiadają one specjalne traktowanie tych z obozu obecnej władzy, których PO uznaje za zagrażających praworządności, spokojowi społecznemu i bezpieczeństwu Polski.

Utworzone 12 lipca 1934 r. miejsce odosobnienia w Berezce Kartuskiej też początkowo miało tylko izolować „osoby

zagrażające bezpieczeństwu, spokojowi i porządkowi publicznemu”. A gdy już było, stało się najważniejszym ogniwem prześladowania politycznych przeciwników i zemsty na nich. Tym użyteczniejszym narzędziem, że do Berezki trafiało się na podstawie decyzji administracyjnej i bez prawa apelacji. I trafiali tam nie tylko politycy, lecz także osoby oskarżane o przestępstwa gospodarcze, a nawet pospolici przestępcy. To poszerzanie listy oskarżonych jest typowe dla tego rodzaju represyjnych przedsięwzięć. I przy wszystkich zastrzeżeniach z takim poszerzaniem mamy do czynienia w groźbach kierowanych przez PO pod adresem ludzi zjednoczonej prawicy.

Klimat Berezki Kartuskiej buduje od kilku lat idol i oficjalny patron PO – Lech Wałęsa. To on nawoływał do wyrzucania ludzi obecnej władzy przez okna, do ich represjonowania i izolowania. Także wywodzący się z PO prezydent Bronisław Komorowski zachęcał do „walenia dechą” politycznych przeciwników. W tym czasie najważniejsi politycy PO starali się kontrolować. Do czasu, gdyż już 2 kwietnia 2017 r. nie wytrzymał szef Klubu Parlamentarnego PO Sławomir Neumann i w programie Bogdana Rymanowskiego „Jeden na jeden” zaproponował rozwiązanie problemów z PiS „bejsbolem”. Wtedy

wydawało się, że Neumannowi tylko się to wyrwało w zdenerwowaniu. Wkrótce okazało się, że w PO tak o politycznych rywalach myśli się powszechnie. Wiosną 2017 r. wystarczyły trzy korzystne dla PO sondaże, żeby idea odwetu i zemsty przestała być skrywana.

LISTY PROSKRYPCYJNE

Po groźbach pod adresem politycznych przeciwników i ich sympatyków, jakie Grzegorz Schetyna wypowiadał, uzasadniając wniosek o wotum nieufności dla rządu Beaty Szydło (7 kwietnia 2017 r.), lider PO powtórzył je latem 2017 r. podczas Marszu Wolności czy wieców KOD. A w marcu 2018 r. nastąpiła kumulacja gróźb i zapowiedzi zemsty niejako instytucjonalnej, stąd skojarzenia z Berezką Kartuską i sądami specjalnymi. Takie groźby mają osłabiać morale i paraliżować, ale są niebezpieczne już teraz, gdy PO jest jeszcze w opozycji (i może będzie w niej długo). Zachęcają bowiem do samosądów czy przemocy. Przenosi się to na nienawiść do nieprawomyślnych dziennikarzy, szczególnie z TVP, co drastycznie ujawniło się już w nocy z 16 na 17 grudnia 2016 r., a jednym z najbardziej „pobudzonych” był wtedy wojewoda warszawski z PO w latach 2007–2015 Jacek Kozłowski. Ataki na dziennikarzy powtórzyły się niemal dokładnie rok później, gdy podczas demonstracji Obywateli RP reporterkę „W tyle wizji” Annę Machińską oraz towarzyszącą jej ekipę zaatakował Franciszek Jagielski z agencji ochrony Farmazon.

„Oddolnie” powstające listy proskrypcyjne dotyczą różnych środowisk, w największym stopniu prawników, przede wszystkim sędziów

Obecnie niektórzy działacze PO grożą dziennikarzom czymś w rodzaju weryfikacji na wzór tej ze stanu wojennego, czyli straszą wyrzuceniem z zawodu. I zapowiadają tworzenie list proskrypcyjnych. Najnowszym narzędziem walki z dziennikarzami jest oskarżanie ich o antysemityzm. Na wystawie muzeum Polin, którego „antysemickie” kampanie bardzo wspierają politycy PO, jako antysemita figurują dziennikarze Magdalena Ogórek, Rafał Ziemkiewicz i Cezary Krzysztofa.

Listy proskrypcyjne już powstają w środowisku sędziów, szczególnie w związku z kandydowaniem do Krajowej Rady Sądownictwa. A do działań represyjnych organizacje sędziowskie zachęcają politycy PO. W sierpniu 2017 r. Forum Współpracy Sędziów stwierdziło, że przyjmowanie stanowisk w sądach i KRS „z pewnością będzie odnotowane i może być w przyszłości poczytane jako współuczestnictwo w działaniach niezgodnych z obowiązującym porządkiem prawnym”.

Stowarzyszenie Sędziów Polskich Iustitia ogłosiło zamiar wyrzucenia ze swoich szeregów tych sędziów, którzy odważyli się kandydować do Krajowej Rady Sądownictwa. 1 marca 2018 r. zarząd SSP Iustitia stwierdził, że „każdy członek Stowarzyszenia winien powstrzymać się od działań sprzecznych z celami Stowarzyszenia, przestrzegać statutu i uchwał władz Stowarzyszenia. Zebranie Delegatów dwukrotnie [...] zwracało uwagę, że udział sędziów w niekonstytucyjnej procedurze powoływania członków Krajowej Rady Sądownictwa świadczy o braku poszanowania wartości i celów statutowych Stowarzyszenia, wśród których zasadniczą rolę odgrywa umacnianie niezależności sądów i niezawisłości sędziów”. W związku z udziałem członków stowarzyszenia w procedurze wyborczej do KRS zarząd złożył wniosek o wykluczenie z członkostwa sędziów: Dariusza Drajewicza z Warszawy, Marka Jaskulskiego z Poznania, Joanny Kołodziej-Michalowiec ze Słupska, Jędrzeja Kondka z Warszawy, Macieja Nawackiego z Olsztyna, Roberta Pelewicza z Tarnobrzega, Rafała Puchalskiego z Przemyśla.

Warto przypomnieć, że sędzia Marek Jaskulski to wiceprezes poznańskiej Iustitii, członek komisji rewizyjnej stowarzyszenia. Wcześniej z Iustitii wykluczono sędziego Łukasza Piebiaka, wiceministra sprawiedliwości. Działania represyjne wobec sędziów to zapowiedź nie tylko rozliczeń, lecz też gotowości do sformowania w przyszłości czegoś w rodzaju sądów specjalnych, które ostatecznie zweryfikują i rozliczą sędziów.

ZIMNA WOJNA DOMOWA

Zastraszanie różnych środowisk i osobistości, które nie walczą z rządem, odbywa się też za granicą i poprzez zagranicę. Politycy PO oraz związani z nimi naukowcy, ludzie kultury, dziennikarze czy celebryci piętnują i stygmatyzują każdego, kogo PO uzna za wroga. Naukowcom, ludziom kultury i wolnych zawodów czy dziennikarzom łączonym z obecną władzą (najczęściej na siłę) robi się opinie, jeśli nie faszystów, to przynajmniej sługusów. To już utrudnia kontakty międzynarodowe i normalną współpracę naukową czy wymianę kulturalną, blokuje wyjazdy na stypendia, dyskryminuje przy przyznawaniu grantów, powoduje wycofywanie zaproszeń na

wykłady i konferencje. Osoby tym dotknięte nie chcą o tym mówić publicznie, żeby nie rozszerzać represji i różnych form dyskryminacji.

Najnowszym przykładem robienia „gęby” różnym polskim środowiskom było szóste Globalne Forum Walki z Antysemityzmem w Jerozolimie, gdzie – wedle uczestników – najbardziej „obrabiali” Polaków uczestnicy z Polski, w tym znany działacz stowarzyszenia walczącego z polskim antysemityzmem i faszyzmem. To robienie „gęby” dotyczy także prawników, a najbardziej aktywni są na tym polu eksperci PO, prawnicze autorytety tej partii, m.in. sędziowie w stanie spoczynku Trybunału Konstytucyjnego czy profesorowie pracujący dla międzynarodowych trybunałów.

Jeśli nawet groźby i zapowiedzi zemsty nie są obecnie możliwe do zrealizowania, już mają negatywne skutki: rosną podziały w wielu środowiskach, ich przedstawiciele doświadczają dyskryminacji, szczególnie za granicą, otwarta wrogość zastąpiła w debatach niechęć czy obojętność. Próbuje się wywoływać konflikty, zachęcając do zemsty w przyszłości, a już obecnie do samosądów. Na razie perspektywa utworzenia Berez Kartuskiej nie wydaje się realna, ale takie pomysły często zaczynają być samosprawdzającą się przepowiednią. A nawet, gdyby nie zostały zrealizowane, wywołują bardzo negatywne skutki, przede wszystkim utrzymują stan swego rodzaju wojny domowej, na początku zimnej, ale w każdej chwili możliwej do przekształcenia w gorącą.

REKLAMA



Materiał promocyjny został sfinansowany ze środków finansowych pochodzących z 1% podatku dochodowego od osób fizycznych.

Rozporządzenie Ministra Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej z dnia 22.06.2016 r. (Dz. U. poz. 973)

45/03/18/F

Polowanie na Sienkiewicza

Z Henrykiem Sienkiewiczem spierali się Stanisław Brzozowski, Bolesław Prus i Witold Gombrowicz. Dziś miejsce debat zastępują likwidatorskie politgramoty. „Polityka” chce usuwać książki pisarza z listy szkolnych lektur



PIOTR ZAREMBA

Oto w tygodniku „Polityka” pojawiły się dwa teksty postulujące rezygnację z powieści Sienkiewicza jako szkolnych lektur. Joanna Podgórska poświęciła temu artykuł. Ludwik Stomma – felieton wymierzony przede wszystkim w „rasistowskie” „W pustyni i w puszczy”. Rzecz cała jest elementem wojny kulturowej antypisu z rządzącym obozem prawicy. Momentami obie strony zachowują się jak bohaterowie wojny na miny z „Ferdydurke”. Ale w tym przypadku stawka jest zbyt wysoka, aby stosować symetryzm.

PO CO PRZESZŁOŚĆ?

Pomysł rugowania Sienkiewicza to przykład podejścia współczesnych „postępowców” chcących zastępować debatę o różnych postawach, wątkach i wrażliwościach z przeszłości (także tych zrewidowanych potem przez historię) swoistą wsteczną cenzurą. Przeszłość ma być aplikowana następnym pokoleniom w niewielkich, przykrojonych ideologicznymi nożyczkami fragmentach. Bo zgorzsi, zdeprawuje, w najlepszym razie znudzi.

To ostatnie przebijają przez wywody Joanny Podgórskiej dotyczące w szczególności „Quo vadis”. Przywołuje świadków. Grzegorz Leszczyński, kierownik Zakładu Literatury Popularnej, Dziecięcej i Młodzieżowej na UW, oznajmia, że „nawet studenci polonistyki niechętnie czytają tę książkę”, a przecież „celem edukacji powinno być kształtowanie takiej postawy, która zaowocuje czytaniem książek”. Zarzutem szczegółowym jest trudne słownictwo „nijak się nie mające do kompetencji kulturowych dzisiejszych nastolatków”. Z kolei Anna Kowalczyk, nauczycielka z podwarszawskiej podstawówki, opowiada, że jej uczniowie pytani, co im się w tej książce spodoba, oznajmili, że nic „może poza inteligentnym i sarkastycznym Petroniuszem”. To archaiczna bajka, która ma się nijak do ich doświadczeń.

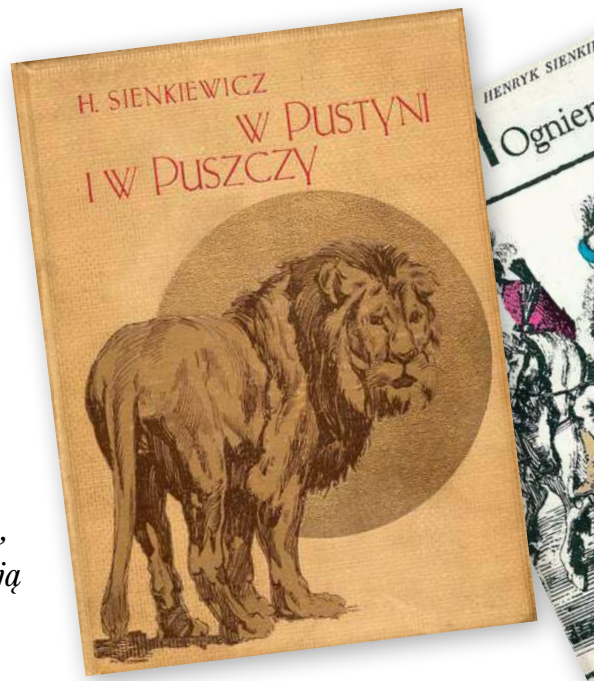
Przyjmując takie kryteria, można zdyskwalifikować całą dawniejszą literaturę. Jak się mają do doświadczeń nastolatka z XXI w. Gogol i Zola, Prus i nawet Żeromski? Pytam o to innego nauczyciela. Antoni Buchała to nie tylko wicedyrektor katolickiego liceum z Liбіży, lecz także członek zespołu, który układał nową listę lektur w MEN, decydując, że powieść o konfrontacji starożytnego Rzymu z chrześcijaństwem to lektura obowiązkowa w klasie VII lub VIII. Zarazem Buchała niedawno wystawił widowisko teatralne, w którym wykorzystał fragmenty z „Quo vadis”, „Ogniem i mieczem”, „Potopu”, „Pana Wołodyjowskiego”. Specjalnie na nie jechałem do miasteczka na pograniczu Ma-

łopolski i Śląska. Czy jego kilkudziesięciu uczniów grających w spektaklu musiało się aż tak bardzo zmuszać?

– Nie ma pojęcia „młodzież”. Syn znajomych, gimnazjalista, przeczytał niedawno „Quo vadis” i opowiadał, jaka to wspaniała książka – odpowiada wicedyrektor. A potem dodaje: – Każda z powieści Sienkiewicza jest w kanonie od dawna, mimo że nie wszystkie były obowiązkowe, to jednak wielu nauczycieli je wybierało do realizacji. A że nie wszystkim uczniom się podobają? Trudno, nie wszystko w szkole musi być proste. Szkoła jest też po to, aby młodzi ludzie uczyli się mierzyć z trudnościami. A wzbogacenie własnego słownictwa jest warunkiem kształcenia upodobań czytelniczych.

CZYŻBY ŻLI CHRZEŚCIJANIE?

Nietrudno zauważyć, że to starcie dwóch wręcz „filozofii edukacji”, ale chyba nie tylko, Podgórska wytacza wobec „Quo vadis” zarzuty dotyczące treści. Twierdząc, że książka kreśli czarno-biały obraz zdegenerowanego imperium z niosącą nadzieję nową wiarą, sama ten schemat odwraca, przedstawiając ówczesne chrześcijaństwo jako zagrożenie dla cywilizacji. Robi to słowami słynącego z antychrześcijańskiej obsesji prof. Aleksandra Krawczuka, później SLD-owskiego posła i ministra. Czy jednak sprawda, jak powszechnie ten punkt widzenia jest przyjmowany przez naukę? I czy – pomijając już spory historyków – nie widzi, jaki wkład wniosło uznające miłosierdzie chrześcijaństwo





w „zmianę postaci świata”, by użyć sformułowania Hanny Malewskiej.

Lęki tradycyjnych Rzymian wobec nowej religii uosabia w powieści plastycznie właśnie Petroniusz. Sienkiewicz go nie potępia, ba, rozumie. Ale jego własna intuicja wobec nowej wiary daleka jest od wszelkiej propagandy. Proszę, aby red. Podgórska zastanowiła się nad kierunkiem rozwoju świata. Nie tylko się nie zastanawia, lecz brnie w wątpliwe wywody historyczne. Neron to jej zdaniem ofiara przyczynienia, w istocie był władcą sympatycznym, współczującym gladiatorom. Wśród historyków trwa spór, czy rzymscy cesarze z pierwszej dynastii, julijsko-klaudyjskiej, nie padli ofiarą oszczerstw, ale przecież nie Sienkiewicza czy chrześcijan, a rzymskich historyków Tacyta i Swetoniusza. Tak się jednak składa, że wiele ich czynów utrwalonych przez popularnych historyków zostało popełnionych naprawdę, w przypadku Nerona łącznie z zabiciem matki. Można brnąć w oceny typu: zabijali „jedynie ludzi ze swego otoczenia”, ale klimat strachu na cesarskim dworze odmalowany w „Quo vadis” jest prawdziwy. Jeśli zaś z tego powodu wyrzucamy Sienkiewicza, to także Roberta Gravesa, którego cykl o Klaudiuszu kończy się przecież Neronem. On jest dokładnie w tym duchu.

Zarazem nie wydaje się też słuszne twierdzenie o schematyzmie postaci i sytuacji w „Quo vadis”. Przemiana Winicjusza czy Chilona odmalowana jest plastycznie, a lęk przed dobrocią pierwszych chrześcijan jest lękiem autorki ukształtowanej w dobie powszechnej ironii i dekonstrukcji.

Poza wszystkim wiara w to, że nie może być lekturą powieść złapana na jakiejś nieścisłości, oznaczałaby pozbycie się chyba całej literatury. Podgórska deprecjonuje „Krzyżaków”, bo podobno powieść wyolbrzymia ich okrucieństwa i jest obsesyjnie antyniemiecka, a „W pustyni i w puszczy”, bo traktuje z niechęcią muzułmanów, a protekcyjnie Murzynów. O Krzyżaków można spierać się do woli. Niewątpliwie natomiast Sienkiewicz przyjął jednostronnie brytyjski punkt widzenia, opisując ludzi Mahdiego w Sudanie.

Tylko co z tego? Czy odrzucimy „Wojnę i pokój” Tolstoja, bo opowiada dzieje wojen napoleońskich z jednostronnie rosyjskiego punktu widzenia, a „Germinal”, bo nie jest dowiedzione, aby wszyscy fabrykanci byli tak brutalni, jak ci opisani przez Zolę? Przecież to nonsens i zaprzeczenie istoty literatury.

Mówi Antoni Buchała: – „W pustyni i w puszczy” to powieść nie historyczna lub społeczno-obyczajowa, tylko przygodowa. Konteksty można łatwo objaśnić. Trudno sobie wyobrazić, aby w Anglii ktoś kontestował „Anię z Zielonego Wzgórza” lub powieści Dickensa, choć w nich też znalazłoby się trochę niepoprawności. Powieść przedstawia charaktery i postawy w trudnych sytuacjach: odwagę, dzielność (np. rozmowa Stasia z Mahdim), odpowiedzialność za młodszą towarzyszkę, umiejętność radzenia sobie w skrajnie niedogodnych okolicznościach, szlachetność. Bohaterowie arabscy prezentują całą gamę postaw, które uczniowie podstawówki powinni się uczyć odróżniać: przebiegłość Chamisa, okrucieństwo Gebhry, życzliwość Idrysa. I to kapitalna okazja, by wykazać, że oni też walczyli o wolność, uciekając się do drastycznych metod, jak porywanie zakładników.

REKOLEKCJE Z SIENKIEWICZA

Tak, to okazały dla nauczyciela, aby uczył kontekstów. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że publicystka z łatwością odsyłająca na śmietnik świetną literaturę kieruje się współczesnymi zapotrzebowaniami. Warto się wykazać obroną Niemców czy muzułmanów przed „uprzedzeniami”, kiedy staje się to tematem bieżącego starcia. Debata literacka to kostium.

Autorka jedynie zahacza o Trylogię, ale przecież pytanie, czy Sienkiewicz sprawiedliwie potraktował Kozaków w „Ogniem i mieczem”, powraca nieraz. Rozumny czytelnik zauważy, że raczej nie są w tych powieściach rozłożone schematycznie, a współczuciu wobec niektórych wrogów towarzyszy potraktowanie z dużym dystansem polskich wad. Winą Sienkiewicza nie jest lukrowanie, ale pokazanie tamtej epoki z całym jej okrucieństwem i dwuznacznością. Konwencja przygodowa tę debatę chwilami, zgoda, utrudnia, bo okrutni Kmicic czy Zagłoba są zarazem „naszymi bohaterami”. Ale znów – wszystko zależy od tego, kto będzie te książki objaśniał.

Posłuchajmy Antoniego Buchały: – Powieści Sienkiewicza stanowią ważny element kulturowego kodu wykształconego Polaka; upieram się, że pozwalają one przejrzeć się w lustrze eksponującym naszą urodę, ale też zobaczyć ogrom naszych błędów, głupoty i nikczemności. Sienkiewicz jest też istotną stroną polskiego dyskursu na temat powinności artysty, w którym z jednej strony stoi on z Mickiewiczem i Matejką, a z drugiej Słowacki, Żeromski, Wyspiański i Gombrowicz. Wyjęcie ważnego elementu tej konstrukcji może ją unieważnić lub spowodować, że stanie się niezrozumiała. Powieści Sienkiewicza to język jako istotny fragment owego kodu. Choćby powiedzenia typu: „Kończ, waść, wstydu oszczędź!”, „mały rycerz”, „obiecywać Niderlandy”, „filozofia Kalego”. To skarbnica, z której żał rezygnować, bo nie bardzo jest czym ją zastąpić. Stanisław Lem mówił, że robi sobie co dwa lata rekolekcje z Trylogii, żeby nie zapomnieć języka w gębie.

Ano właśnie: Lem kontra Podgórska ze Stomą. Ja już naprawdę wiem, kogo warto wybrać.

Przyszła do mnie starsza pani. Właściciel zreprywatyzowanej kamienicy żąda od niej 1,7 tys. zł czynszu, a ona ma tylko 1,6 tys. zł emerytury. Takich krzywdzonych na co dzień ludzi, rodzin są dziesiątki tysięcy, a będzie ich przybywać, jeżeli nadal będą oddawane domy z lokatorami



PIOTR IKONOWICZ



Nie oddawać Polski w naturze

W 1995 r. powiedziałem z trybuny sejmowej m.in.: „Projekt zaprezentowany przez grupę posłów z inicjatywy Polskiej Partii Socjalistycznej jest projektem nad wyraz skromnym i na swój sposób bardzo uczciwym, ponieważ nie mówimy w nim, że chcemy dokonać reprywatyzacji. My nie chcemy dokonać reprywatyzacji. Zgłaszamy projekt ustawy o wygaśnięciu roszczeń reprywatyzacyjnych i rekompensatach za utracone mienie.

Dlaczego tak stawiamy sprawę? Po pierwsze, dlatego że zawsze, kiedy się uchwała jakąś ustawę, trzeba sobie zadać pytanie nie tylko o to, kogo ta ustawa zaspokoi czy zadowoli, lecz również o to, kogo skrzywdzi. Jednocześnie trzeba sobie zadać pytanie, czy ludzie, którym potrącano z wynagrodzenia za pracę jakiś procent, np. na odbudowę Warszawy, mają się dzisiaj godzić, żeby te kamienice, odbudowane za pieniądze potrącone z ich pensji, przekazywano

w naturze byłym właścicielom. To jest bardzo wyrazisty przykład. Dostałem list od wyborcy, który pyta, czy to, co mu potrącono przez 40 lat z pensji, też mu zostanie zwrócone, bo o tym w projektach mówiących o reprywatyzacji w naturze mowy nie ma.

Oczywiście wypada się również zgodzić z tym, że w okresie nacjonalizacji, w okresie wielkich wywłaszczeń popełniono wiele uchybień prawnych, wręcz nieprawości, i należy na miarę naszych możliwości starać się przestrzegać zasady, żeby nie naprawiać jednych krzywd, wyrządzając nowe; żeby w celu zaspokojenia roszczeń stosunkowo jednak niewielkiej części polskiego społeczeństwa nie skrzywdzić milionów ludzi, przeznaczając na ten cel zbyt wielkie kwoty z budżetu.

Przyjęliśmy w projekcie ustawy, że będą wypłacane rekompensaty w formie bonów reprywatyzacyjnych dwóm, a właściwie trzem kategoriom osób: osobom, które wywłaszczono z po-

gwałceniem obowiązującego wówczas prawa; osobom, które wywłaszczono zgodnie z prawem, ale nie wypłacono im należnego w myśl ówczesnie obowiązującego prawa odszkodowania; oraz grupie osób, która była wywłaszczona w wyniku różnego rodzaju akcji czy też wypadków historii – jest to zapisane w art. 10; chodzi tu o mienie zabużańskie, mienie ludności autochtonicznej Warmii, Mazur, Pomorza, Wielkopolski, Górnego i Dolnego Śląska oraz mienie osób wysiedlonych w ramach akcji „Wisła”.

Jak państwo widzą, ten krąg osób jest bardzo szeroki. A ponieważ krąg osób jest szeroki i nie chcielibyśmy nikogo skrzywdzonego w świetle prawa pominąć, sumą, którą chcielibyśmy, aby budżet przeznaczył na te wypłaty w formie bonów reprywatyzacyjnych, jest stosunkowo skromna. Ale czasami słyszę i przyjmuję to ze zdziwieniem, że te 300 mln starych złotych czy 30 tys. nowych złotych to jest mało. Proszę

państwa, dla przeciętnego Polaka to jest majątek, to jest tyle, ile przypuszczalnie nigdy w życiu nie zarobi – w związku z czym trochę skromności przy ocenie tych liczb.

Chcielibyśmy również, aby bony reprivatyzacyjne były wypłacane osobom, które w dniu wejścia w życie ustawy posiadają obywatelstwo polskie”.

Przez większość kadencji dobrej zmiany twierdziłem, że lobby reprivatyzacyjne jest silniejsze od państwa polskiego i nigdy nie dopuści do uchwalenia ustawy zabraniającej oddawania mienia w naturze, oddawania kamienic z lokatorami. Twierdziłem też, że PiS jako ugrupowanie prawicowe nigdy nie uchwali takiej ustawy, bo jest zbyt przywiązane do „świętej własności prywatnej” i bardzo pragnie przywrócić międzywojenne stosunki własnościowe. Kandydatów na jasnie panów jest bez liku, nie widzę tylko tych, którzy chcieliby zostać fornalami.

Aż przysłała ta wielka chwila, kiedy młody człowiek, wiceminister sprawiedliwości, ogłosił projekt, który w swych głównych założeniach był zgodny z moim projektem, projektem PPS z 1995 r. Wprawdzie wysokość planowanych rekompensat była wyższa niż w naszym projekcie, ale podobnie odszkodowania miały być wypłacane tylko obywatelom polskim. Co ważne, w świetle doświadczeń ujawnionych przez komisję weryfikacyjną projekt Jakiego nie przewidywał odszkodowań dla handlarzy roszczeniami, którzy odkupili roszczenia od prawowitych spadkobierców.

Miliony Polaków mogły odetchnąć z ulgą. Widmo tego, że przyjdzie jasnie pan i zażąda horrendalnego czynszu, wydawało się przekreślone.

Pierwsze po ogłoszeniu projektu warknęły amerykańskie kancelarie prawne. Potem zaczęły się wizyty u ministra Jakiego pani ambasador Izraela, która miała naciskać na nieuchwalanie tej ustawy. Izrael należy do tych państw, z którymi Polska Ludowa nie zawarła umów indemnizacyjnych. Umowy takie mamy z wieloma państwami zachodnimi, w tym z USA. Ich sens polega na tym, że Polska wpłaciła wielomilionowe odszkodowania, co nakładało na państwo, które je przyjęło, zaspokajanie

roszczeń prywatnych wobec mienia pozostawionego w Polsce.

Wiem, że sprawa ewentualnego zwracania mienia obywateli polskich pochodzenia żydowskiego ich prawnym spadkobiercom w Izraelu daje asumpt do wielu antysemickich wypowiedzi i ekscesów. Dlatego dla równowagi przypomnę sytuację z Bielska-Białej, gdzie jakiś cwaniak, powołując się na spadkobiercę z Izraela, podjął próbę „odzyskania” kamienicy. Jeden z lokatorów domu zagrożonego reprivatyzacją udał się do Izraela i odszukał owego spadkobiercę. Gdy ten się dowiedział, że ktoś w jego imieniu „odzyskuje” w Polsce kamienicę, wpadł w szal, przyjechał do Polski i tak długo chodził po urzędach, prokuraturach i sądach, aż oszusta wsadzono do więzienia. Inna historia dotyczy pani Zofii, która była lekarzem w szpitalu na warszawskiej Woli. Pani doktor wywodzi się z bardzo bogatej żydowskiej rodziny i mogłaby rościć sobie prawo do dziesiątków kamienic w Łodzi. Ale ona jest lewicowa i wrażliwa społecznie. I tłumaczyła mi, że w służbie zdrowia są takie braki, że wyciąganie ręki po wspólną, publiczną własność byłoby niegodziwością.

Nie ma złych i dobrych narodów. Są źli i dobrzy ludzie. Większości przekrętów reprivatyzacyjnych dokonali rdzenni Polacy. Niektórzy z nich na szczęście już siedzą.

Ludzie z walizkami pieniędzy docierają wszędzie. Ci ludzie to lobby reprivatyzacyjne. Dotarli już – jak widzę – i do dobrej zmiany, skoro rząd ustami Jacka Sasina wycofuje się z ustawy reprivatyzacyjnej Jakiego. Nie twierdę, że doszło już do jakiegoś aktu korupcji. Nie, po prostu władza PiS zrobiła się bardzo mała i bardzo mało patriotyczna, kiedy tylko tupnął nogą wielki kapitał.

Uzasadniając zamrożenie, a może już i porzucenie ustawy Jakiego, Sasin wyjaśniał, że państwa nie stać na odszkodowania. Wolą więc pozwolić na to, żeby kolejne setki tysięcy polskich rodzin trafiło w ręce spadkobierców, którzy będą z nich darli skórę podrywkami czynszów, aby ich w końcu wyrzucić na ulicę. Bo taka jest dotychczasowa historia reprivatyzacji, która wylania się z prac komisji weryfikacyjnej. Państwa nie stać, samorządu nie stać na naprawia-

nie rzekomych, historycznych krzywd, a zwykłych lokatorów komunalnych kamienic ma być stać? To oni mają ponieść koszty niegdysiejszej nacjonalizacji? Bo jak na razie to wyłącznie lokatorzy płacą cenę reprivatyzacji. Chociaż są Bogu ducha winni. Ich jedyną „zbrodnią” była wiara, że władza publiczna, która zobowiązała im się wynajmować mieszkania w zamian za regulowany, skromny czynsz, dotrzyma słowa. Ale nie, władza ich oddaje właścicielom, spadkobiercom, którzy w odróżnieniu od lokatorów i ich rodzin nie kiwnęli palcem, aby te domy stały dziś i były zamieszkane. To właśnie lokatorzy komunalni i ich ojcowie, matki i dziadkowie dźwigali, zwłaszcza w Warszawie, te domy z ruin. Aż nagle ktoś, kto niczego szczególnego nie dokonał z racji tego, że miał dziadków, którzy przed wojną byli bogaci, kosztem tych skromnych ludzi ma się stać multimilionerem?

Zawsze można kwoty przeznaczone na odszkodowania zmniejszyć tak, aby państwo podołało tym zobowiązaniom.

Sasin tłumaczył też, że możemy trafić przed międzynarodowe trybunały, jeśli przestaniemy oddawać publiczną własność spadkobiercom przedwojennych właścicieli. To o tyle absurdalne, że Czesi przyjęli bardzo podobną ustawę, niczego nie oddają w naturze, wypłacają tylko skromne odszkodowania i żadne trybunały ich nie nękają. To bardzo dziwne, bo istnieją te wszystkie umowy indemnizacyjne. To bardzo dziwne, bo PiS dotychczas lekceważyło międzynarodowe instytucje, dokonując śmiałych reform wzmacniających władzę wykonawczą, a nagle przestraszyło się instytucji międzynarodowych, kiedy miało coś dobrego i ważnego zrobić dla obywateli naszego kraju, dla Polski.

Dobra zmiana znalazła się na zakręcie. Ustawa Jakiego odłożona na półkę, ustawa antylichwiarska stoi w miejscu, a reklamy lichwiarzy wciąż królują na antenie TVP, antypracownicze zmiany w Kodeksie pracy. Wszystko to pokazuje, że z nadejściem premiera z sektora bankowego zaczęły znowu rządzić pieniądze, a nie ludzie. A szkoda, bo już, już zaczęliśmy wreszcie wierzyć, że żyjemy we własnym domu. Tymczasem do tego domu, do Polski wciąż są jakieś roszczenia.

*Rozbarwione społeczeństwo
jest z pewnością szczęśliwsze
nawet wtedy, kiedy czasy są
trudne*



RYSZARD MAKOWSKI

W PRL opowiadanie dowcipów było swoistym kodem porozumiewawczym. Często rozmowę rozpoczynało się pytaniem: „A to słyszałeś?!”. Modny kawał rozchodził się z szybkością wirusa grypy w czasie epidemii. Po paru dniach jego sława bladła, ale docierał praktycznie do wszystkich. Chyba każdy pamiętający tamte czasy zna: „Słyszałeś? Gierkowa poszła do Muzeum Narodowego i wzięła Gierymskiego za Fala! Tak przy ludziach?”. Nie było to może szczególnie wyrafinowane, jednak w czasach, kiedy krążyły plotki o oświatowym życiu żony pierwszego sekretarza partii, która ponoć latała do Paryża do fryzjera, taka dykteryjka dawała poczucie satysfakcji. Mój ulubiony dowcip z tamtych czasów to stylizowane przemówienie Władysława Gomułki: „Gdybyśmy mieli mięso, zarzucilibyśmy świat kunsertami... ale nie mamy blachy”.

PLEJADA GWIAZD

Podstawowymi dostarczycielami wesołości byli jednak zawodowi satyrycy. Lata 70. to złoty okres polskiej rozrywki z tekstem i podtekstem. To wtedy królowali: Jan Pietrzak, Jonasz Kofta, Jan Tadeusz Stanisławski, Adam Kreczmar, Jacek Fedorowicz, Andrzej Rosiewicz, Maciej Zembaty, Jacek Kleyff, Andrzej Waligórski, Jan Kaczmarek, Wojciech Młynarski, Andrzej Zaorski, Maria Czubaszek, Edward Dziewoński, Stefan Friedman, Jacek Janczarski, Zenon Laskowik, Bohdan Smoleń, Kazimierz

Grześkowiak, Jerzy Dobrowolski, Stanisław Tym, Marcin Wolski, Tadeusz Ross, Tadeusz Chyła, Jeremi Przybora, Janusz Rewiński... Imponująca lista. Wspomagani często przez wybitnych aktorów bawili nas z nutką refleksji, ale przede wszystkim tworzyli niejednokrotnie perełki literackie. Prezentacje z niebywałą klasą. To była autentyczna arystokracja kabaretu. I do dziś te monologi, dialogi, skecze czy piosenki są

chętnie słuchane. Radiowa Trójka cały czas czerpie z archiwum i pod hasłem „Powtórka z rozrywki” nadaje produkcje pochodzące najczęściej z lat 70. Lata 80. – wiadomo, był to czarny czas dla polskiej kultury.

POPRAWNOŚĆ I STRACH

Wydawało się, że wraz z nastaniem wolności i upadkiem cenzury poziom



Co z tą satyrą?

Fot. Jacek Dominiak/REPORTER

twórczości oswobodzonej z wszelkich ograniczeń będzie szybował ponad poziomy. Wydawało się, że w centrach miast powstaną kabarety, a ludzie wieczorami będą mieli szansę doenergetyzować się świeżą porcją żartów. Że będzie to radosny i wesoły kraj. Niestety codzienna rzeczywistość III RP nie wywołuje bezgranicznej pogody ducha. A co najdziwniejsze, w zasadzie znikła szlachetna sztuka satyry. To znaczy nie ma pustki, bo przyroda do niej nie dopuszcza. Pojawiło się wiele przedsięwzięć typu kabaretowego i mają ona swoich czasem nawet licznych odbiorców. Zestaw chwytów rozbawiających jest jednak tak dostosowany, by skutecznie omijał intelekt, a nawet bez oporów sięgał po formy bardzo niewyszukane. Modne stały się tandetne przebieranki za babę, za policjanta, za księdza okraszone wulgaryzmami.

Najbardziej jednak erozyjnie na zestawy wesołkowate oddziałuje ostry podział polityczny, jaki się ukonstytuował po 1989 r. Tutaj nie ma żartów. A co najgorsze, zaowocowało to czymś groźniejszym niż cenzura. Oprócz poprawności światopoglądowej pojawiła się niebywała ostrożność zawiadujących mediami, co powoduje niedopuszczanie satyry ostrzem skierowanej przeciwko władzy, a nawet – ogólniej rzecz biorąc – kaście rządząco-opozycyjnej, do szerokiego odbiorcy. Pewne tematy są zwyczajnie zakazane.

Doskonałym przykładem jest historia parodii w „Rozmowach w toku”, będących atrakcyjnym finałem „Szymon Majewski Show” z marca 2011 r. Obok aktorów ucharakteryzowanych na Antoniego Macierewicza i Donalda Tuska pojawiła się postać imitująca artystycznie Szewacha Weissa. Wygłosiła w sumie zabawną kwestię: „My wysłemy do was zdrowe, soczyste, pyszne pomarańcze z Hajfy. A wy nam dacie stare zrujnowane kamienice. Jedna pomarańcza. Jedna kamienica”. Program Szymona Majewskiego, choć miał oglądalność i imponował precyzją w parodiowaniu znanych osób, zniknął z anteny. Podobny los spotkał w TVN tygodnik „Ale plama”. Mimo że widniał w zapowiedziach telewizyjnych, to w niedzielę 11 kwietnia 2004 r. nie został wyemitowany. Zostały za to domysły, co wtedy

takiego powiedział Janusz Rewiński i Krzysztof Piasecki, znani ze śmiałego dworowania z politycznych celebrytów.

Przez wiele, wiele lat TVN unikał jak ognia czegoś, co mogłoby być uznane za satyrę polityczną. W tym roku zdecydowano się na emisję programu okrzykniętej aurą lewackiej sławy i hołdującej zdecydowanie prolemingowskiej wizji świata grupy Pożar w Burdelu. Skończyło się to jednak katastrofą. Aż dziw, że nikt z – cokolwiek by mówić wytrawnych – tefalenowskich fachowców nie zauważył słabego poziomu tego lansowanego na kultowe przedsięwzięcia, zanim pojawiło się na wizji.

Wydarzeniem, które też niepochlebnie definiuje nasze czasy, jest występ Jana Pietrzaka na zeszłorocznym festiwalu w Opolu. Zajądłość, by nie dopuścić do występu legendy polskiego kabaretu, doprowadziła do zerwania tradycyjnego czerwcowego terminu festiwalu. A koncert wrześniowy był otoczony takim hejtem ze strony „Gazety Wyborczej” i taką satysfakcją, iż do końca w zimny, deszczowy wieczór doczekali na widowni nieliczni, że to aż zdumiewa. To był przecież tylko koncert. Widocznie pewne środowiska doprowadza do wściekłości używanie na scenie słowa „Polska”.

W STRONĘ INTERNETU

Przez lata oazą tzw. młodych kabaretów była telewizyjna Dwójka. Z pewnością wyróżniały się skecze Roberta Górskiego, sygnowane jako posiedzenie rządu. Niestety obecna TVP2 nie jest w stanie zaproponować żadnego formatu satyrycznego na poziomie. Podejmowane próby były niskiego lotu, co może dziwić, gdyż dyrektorem anteny był satyryk ze sporym dorobkiem.

Nie wypada mi nie wspomnieć o przedsięwzięciu własnym, „Studiu Yayo”. Choć liczba ocen nieprzychylnych była spora, program wdarł się jak tornado w naszą schematyczną estetykę rozrywkową i takie było jego założenie. Jednak oczywiście też nie zaspokoił zapotrzebowania na wysublimowaną artystycznie twórczość kabaretową.

W obecnych czasach można zaistnieć, zostając królem internetu. I wydawałoby się, że tutaj dla wszelkiej maści

zgrzywusów oraz amatorów i zawodowców otworzyło się nieograniczone pole do popisu. A jednak nie jest tak prosto. Przeglądając strony z kawałami, znaleźć naprawdę śmieszny i z fajną dozą abstrakcji wcale nie jest łatwo. Większość zamieszczonych w sieci filmików to nowsze czy starsze fragmenty programów telewizyjnych.

Na tym tle wyróżniającym się przedsięwzięciem jest „Ucho Prezesa”. Jak twierdzą autorzy, żadna z telewizji nie chciała programu szydzącego z prezesa PiS, więc zdecydowali się prezentować go na YouTube. Jednak od początku był to format profesjonalny, jeśli chodzi o stronę techniczną. Kręcił go wzięty reżyser reklamówek wraz ze swoją ekipą. Starannie dopilnowano scenografii i kastingu oraz charakterystyki aktorów odgrywających znane postaci. Założenie było proste: ostra jazda po pisowcach. A to niejednokrotnie determinowało niewybredną obcesowość scenek. Jednak pomimo milionów odsłon kolejnych odcinków nie udało się wpłynąć na miliony, które nadal chcą głosować na PiS.

* * *

Reasumując: satyra pogodna i przyjemna dla wszystkich nie ma się u nas najlepiej. Czy mamy szansę na zmianę sytuacji? Tutaj jest niezwykle ważna rola nadawców publicznych, zarówno radia, jak i telewizji. Może warto byłoby, choćby w radiowej Trójce, stworzyć słuchowisko na wzór „Ilustrowanego Tygodnika Satyrycznego” czy „Sześćdziesiątki”. Nielatwo dorównać tamtym tuzom, ale gdyby dano szansę nowym artystom, może by coś się z tego wyłoniło. A TVP można zaproponować taki eksperyment. W weekend niech będą programy „oglądalnościowe”, ale może w tygodniu znalazłoby się pasmo na satyrę skierowaną do odbiorcy trochę bardziej wymagającego. Dlaczego karać widza za to, że jest inteligentny i nie bawia go najprostsze, czasem zahaczające o prostactwo, skojarzenia?

A poza tym chyba czas skończyć z przestrzeganiem niezwykle skrupulatnie kanonem, że rozrywka w telewizji należy się wyłącznie w sobotę albo w niedzielę. Gdy ludzie pośmieją się we wtorek albo we czwartek, to też im to z pewnością nie zaszkodzi.

Zabijanie mamy i taty

Paradoksem jest to, że dziedzictwem lewicowej rewolucji seksualnej stało się dziś pozbawianie człowieka jego własnej płci



KONRAD KOŁODZIEJSKI

O tym, że płeć nie jest uwarunkowana biologicznie, ale stanowi kulturowy „zespół norm, zachowań i wartości”, wie każdy postępowy aktywista. Pojęcia kobiety i mężczyzny są dla niego nie tylko umowne, lecz również nie wyczerpują wszystkich możliwości, jakie może stworzyć ludzka fantazja.

Oczywiście brzmi to śmiesznie, ale tylko do czasu, gdy uzmysłowimy sobie, że ta absurdałna wizja „wielopłciowości” człowieka opuściła już sale seminaryjne zachodnich uczelni i powoli wdziera się do codziennego życia, do prawa, a nawet do religii.

Przykłady? Proszę bardzo. W Kanadzie od maja 2017 r. obowiązuje ustawa C-16, która włącza transseksualizm i inne formy „wyrażania seksualnego” do katalogu fundamentalnych praw człowieka. Każdy, kto ośmieli się twierdzić, że istnieją tylko dwie płcie, może zostać oskarżony o dyskryminację, nękanie i skazany nawet na karę więzienia. Idąc dalej tym tropem, docieramy do obowiązującej w prowincji Ontario ustawy 28, która zlikwidowała pojęcia matki i ojca, zastępując je „rodzicem” i „rodzicem rodzącym”. Może się bowiem okazać, że „rodzic rodzący” nie uważa się za matkę i kobietę. Zatem za kogo się uważa? Zaściankowy umysł

podsuwa jedną odpowiedź: za mężczyznę. Otóż niekoniecznie. Może się przecież uważać za kogokolwiek, płci jest – jak twierdzi dzisiejsza lewica – bez liku.

Dlatego już na początku lat 70. postępowi lingwiści zaczęli pracować nad modyfikacją języka, tak aby uwzględnić w nim nową ideologię. W angielskim płeć określa się za pomocą zaimków „he/him” oraz „she/her”. Ale skoro płci jest nieskończenie wiele, to proponuje się inne określenia, np. „ze/zer” albo „xe/xyr”. Takie „neutralne płciowo” zaimki stosowane są już na uniwersytecie w Tennessee, a brytyjska organizacja edukacyjna BSA zaleca nauczycielom, aby stosowali nowe określenia wobec uczniów „międzyplciowych”, by uniknąć ich dyskryminacji.

NA TĘCZOWEJ PLANECIE

Odkrywanie kolejnych przejawów nierówności jest dziś miarą postępu. Na tym tle Polska wlecze się w samym ogonie psychoseksualnej rewolucji. W czasie gdy świat – ten cywilizowany – przechodzi do etapu walki z cisseksualizmem, nasi aktywiści od praw mniejszości ciągle nie mogą wyjść z epoki homofobii. Tymczasem tęczęwi teoretycy w Ameryce dokopali się do nowych, nikomu dotąd nieznanых form dyskryminacji. Otóż okazuje się, że osoby cispłciowe dyskryminują osoby transpłciowe. Osoby cispłciowe to takie, które dzielą się na kobiety i mężczyzn (dokładniej rzecz ujmując: na cis-kobiety i cis-mężczyzn),



a transpłciowe w ogóle się na nic nie dzielą. I dlatego są dyskryminowane. Można być pewnym, że dzięki naszym aktywistom już wkrótce zetkniemy się z tym problemem w Polsce, dlatego nie będę go dalej omawiał.

Na razie w naszym szarym heteroseksualnym świecie dzielimy jeszcze ludzi wedle dwóch płci: kobiet i mężczyzn. Między kobietami a mężczyznami zachodzą różne interakcje, obie płcie róż-

W świecie równoległym tęczowych aktywistów jest zupełnie inaczej. Tu płci nie ma. Zamiast nich są orientacje psychoseksualne. Na tęczowej planecie żyje ich bodaj 10 i cały czas pojawiają się kolejne. Znany skrót LGBT pączkuje i – według najnowszych ustaleń – brzmi: LGBPTTQQIIAA+, co oznacza: Lesbians, Gays, Bisexuals, Pansexuals, Transgenders, Transsexuals, Queer, Questioning, Intersex, Intergender, Asexuals, Ally.

Plus na końcu tej literowej wyliczanki – jak można domniemywać – oznacza, że lista jest otwarta. Do rangi pełnoprawnych orientacji zostali już za to zaliczeni panseksualiści i aseksualiści. Ci pierwsi są – najkrócej rzecz ujmując – zainteresowani seksem ze wszystkim (choć na swoich portalach zapewniają, że odrzucają nekrofilie, zoofilię i pedofilię). Ci drudzy są jeszcze ciekawsi – oni po prostu w ogóle nie przejawiają zainteresowania seksem. A więc ich orientacja seksualna polega na braku orientacji.

Żeby było jasne, nawet na tęczowej planecie nie wszyscy jej mieszkańcy są jakoś tam szczególnie fantazyjnie zafascynowani erotycznie. Bo oto pojawili się demiseksualiści. Nie słyszeli państwo? To wyjaśnię. Demiseksualista to osoba, którą pociąga wyłącznie jeden, konkretny partner. A że wcześniej nikt takiego zachowania nie nazywał orientacją? Nie szkodzi, tęcowi teoretycy tak poszerzyli nam normy zachowań, że to, co dotąd mogło uchodzić za standard, jest już tylko jedną z dostępnych opcji.

GOŁO W OGRÓDKU

To namnożenie orientacji nie jest wyłącznie owocem wybujałej wyobraźni podstarzałych erotomanów, którzy spisują swoje fantazje w zaciszu akademickich gabinetów. To całkiem przemyślana strategia, której celem jest rozwodnienie, pokawałkowanie powszechnie

dotąd obowiązującej normy zachowań seksualnych tak, aby przeciętny człowiek dowiedział się, że to, co dotąd uważał za normę (żona, mąż, dzieci), jest tylko jedną z wielu możliwych opcji.

Jeśli mam od zawsze jedną, tę samą żonę i wciąż mi się ona podoba, to nie jestem po prostu zwykłym facetem, lecz demiseksualistą. Jeśli nie mam żony, bo żadna kobieta nie wpadła mi w oko, a faceci też mnie nie interesują, to jestem aseksualistą. Jeśli zaś spełniam się erotycznie, tarzając się przykładowo w trawie, to pewnie jestem panseksualistą. Wszystkie te zachowania są tak samo normalne i równoprawne. Trawa, kobieta, mężczyzna – co to w końcu za różnica, prawda? Ciekawe, czy ktoś z państwa na widok swojego sąsiada tarzającego się goło w ogródku uznałby jego zachowanie za w pełni normalne i darzyłby go niezmiennym szacunkiem i poważaniem?

Być może Magdalena Środa czy Sławomir Sierakowski nie mieliby żadnych problemów z tak rozerotyżowanym sąsiadem, ale to tylko dlatego, że oni są w awangardzie obyczajowych przemian. Państwo po prostu nie nadążają za postępem i już pewnie nigdy straconego dystansu nie nadrobią. Co innego państwa dzieci. Tu ciągle jest szansa.

OKULAROWY APARTHEID

Kilka lat temu, przy okazji ustawy legalizującej małżeństwa homoseksualne, przetoczyła się przez Francję debata na temat edukowania dzieci ze szkół podstawowych w „kwestiach gejowskich”. Pomysłodawcy zaznaczali, że dzieci wychowywane w związkach homoseksualnych są wyśmiewane, przezywane i dyskryminowane tak samo jak dzieci noszące okulary. Dlatego należy wprowadzić do programu nauczania wiedzę o orientacjach seksualnych, aby uświadomić maluchom to, co nieliczna garstka mądrych dorosłych już dawno odkryła – że mama i tata to tylko pojęcia umowne i równie dobrze można mieć dwie mamy lub dwóch ojców, bo jest to rzecz taka sama jak noszenie okularów.

No chyba nie do końca taka sama. Jakoś bowiem nie słyszałem dotąd, aby okularnicy (a sam w podstawówce byłem jednym z nich) uznali swoją wadę



nią się między sobą anatomicznie, biologicznie, kulturowo. Niektóre różnice kulturowe się zacierają, inne podlegają modyfikacjom.

wzroku za problem ideologiczny, którego rozwiązanie wymaga głębokich zmian cywilizacyjnych.

Tęczowi aktywiści próbują jednak wmówić francuskim dzieciom, że okularnik to w istocie to samo, co transwestyta. Poszukiwanie sojuszników wśród okularników, łysych i garbatych ma być najwyraźniej jedną z nowych strategii walki z homofobią. Okularnicy, grubasy, transeksualiści, biseksualiści, łączcie się – wszyscy jesteście tacy sami, pozbawieni jakichkolwiek ułomności. Tyle tylko, że trudno empirycznie uznać, iż okularnik jest w pełni sprawny. Ja sam, gdy zdejmę okulary, nie widzę wyraźnie szczegółów i nie będę się pchał bez nich za kierownicę samochodu tylko dlatego, że ideologicznie rzecz biorąc, jestem w pełni sprawny. Bo spowoduję wypadek. Jeśli więc dwóch ojców wychowujących dziecko ma być w pełni sprawną rodziną, to chyba tylko ideologicznie. Bo miłość do dziecka miłością, ale mama dziecka by się przydała. Tak jak niedowidzącemu okulary w samochodzie.

No chyba że jest się redaktorem Pacewiczem, który onegdaj nazywał „wielkim kłamstwem” tezę, iż gdyby wszyscy byli homoseksualistami, to w efekcie nie byłoby przyrostu naturalnego, argumentując przy tym, że „adopcja dzieci [przez homoseksualistów] jest rozwiązaniem pozytywnym demograficznie”. Zakładam więc, że kwestię rodzenia tych dzieci pozostawia on bocianom.

MA BYĆ, JAK MY CHCEMY

Wśród wielu Polaków (choć nie większości) dojrzeła myśl, że właściwie nie ma nic złego w przyznaniu gejom prawa do zawierania związków partnerskich; że być może pozwoliliby to osobom homoseksualnym w dyskretny i cywilizowany sposób rozwiązać problemy prawne, z którymi się borykają. Nie chodzi, rzecz jasna, o adopcję dzieci ani o zakładanie rodziny (w ideologicznym tego słowa znaczeniu). Chodzi np. o kwestie spadkowe i finansowe. Trudno bowiem odmówić dwojgu pełnoletnim osobom zawarcia umowy prawnej regulującej wzajemne relacje między nimi.

Ale aktywiści LGBT gardzą tą ofertą części społeczeństwa w ich kierunku. Reprezentujący „politykę queer” działacze z Wrocławia na pytanie dotyczące związków partnerskich dla gejów odpowiadają dosadnym: „Nie chcemy się żenić, chcemy się pie...yć”. I postulują w swoim manifestie „zniesienie małżeństw oraz innych rejestrowanych związków”. W ich opinii „małżeństwa jednopłciowe są nowoczesną formą realizacji konserwatywnego ideału”, a prawne uregulowanie związków homoseksualnych pogłębia przepaść między tymi, którzy żyją w tych związkach, a – dosłowny cytat – „zboczeńcami”, którzy mają gdzieś jałmużnę od

Odkrywanie nowych – niespotykanych dotąd w historii – przejawów dyskryminacji jest dziś miarą postępu. Na tym tle Polska wlece się w samą ogonie psychoseksualnej rewolucji

społeczeństwa i chcą się „pie...yć” bez żadnych ograniczeń.

„Mamy gdzieś, co myśli o nas większość społeczeństwa. Żyjemy w społeczeństwie, jesteśmy jego częścią i to społeczeństwo musi się z tym pogodzić. Nie będziemy siedzieć cicho i nikt nas nie zmusi do godzenia się na życie w warunkach, które nam nie odpowiadają” – piszą queerowi aktywiści.

Zaskakująca szczerość. Nie chodzi więc o kompromis, lecz o dyktat garstki „zboczeńców” (przepraszam, to tylko cytat) nad resztą społeczeństwa. Cóż, heteroseksualne w większości społeczeństwo jakoś sobie poradzi bez jednopłciowych związków. Gorzej z tymi, którzy skorzystaliby na takim rozwiązaniu. Ale jeśli ich aktywiści chcą się tylko „pie...yć”? No to niech się „pie...ą” i nie zwracają innym głowy.

ŻADNYCH NORM

Jakiś czas temu w Wielkiej Brytanii wybuchła dyskusja dotycząca propagowania homoseksualizmu w szkołach. Wszystko zaczęło się od protestów rodziców, głównie muzułmańskich imigrantów, którzy nie życzyli sobie, aby ich dzieci były instruowane w rozmaitych technikach seksualnych. Można powiedzieć, że ściągający na Wyspę muzułmanie biją niektórych miejscowych na głowę rozumem i zdrowym rozsądkiem, słusznie wychodząc z założenia, że pięcioletnim maluchom bardziej przyda się nauka pisania i czytania niż nakładania prezerwatywy.

Brytyjski rząd (dodajmy: konserwatywny) w końcu przychylił się do żądań rodziców, ale zaproponował w zamian całkiem szatańskie rozwiązanie. Otóż zakazano promocji nie tylko homoseksualizmu, lecz i jakiegokolwiek innego wzorca zachowań. Oznacza to, że w brytyjskiej szkole nie można propagować również klasycznego modelu rodziny, w której są mama, tata i dzieci.

Co w takim razie jest normą, którą powinni sobie przyswoić mali ludzie? Otóż normą jest brak normy. Mężczyzna, kobieta, trawa, okularnik, transwestyta, lesbijka – to wszystko jedno, drogie dzieci.

Jak można nazwać społeczeństwo, w którym nie ma norm zachowań? No jeśli nie ma norm, jest to społeczeństwo nienormalne. Żyjące w moralnej i etycznej próżni, narażone na konflikty i przemoc. Rezygnacja z norm – także w imię równouprawnienia – wcale nie prowadzi do równouprawnienia, lecz do chaosu, a w konsekwencji do wojny wszystkich ze wszystkimi. Warto mieć to na uwadze, zwłaszcza gdy się wychowuje w ten sposób dzieci.

Z normą heteroseksualną – a więc jedyną powszechnie obowiązującą – jest tak, że nie można jej zrelatywizować ani zastąpić żadną inną. Bo stoi ona w biologicznej i kulturowej sprzeczności z modelami narzucanymi przez środowiska homoseksualne i transpłciowe. Ten, kto ignoruje tę sprzeczność, świadomie dopuszcza się cywilizacyjnego gwałtu na większości społeczeństwa.

SIECI

Polacy, którzy zmienili świat

DODATEK EDUKACYJNY POŚWIĘCONY POLAKOM
- ODKRYWCOM, INNOWATOROM, WYNAŁAZCOM, Z KTÓRYCH MOŻEMY BYĆ DUMNI

ode. 2

Na krańcu świata

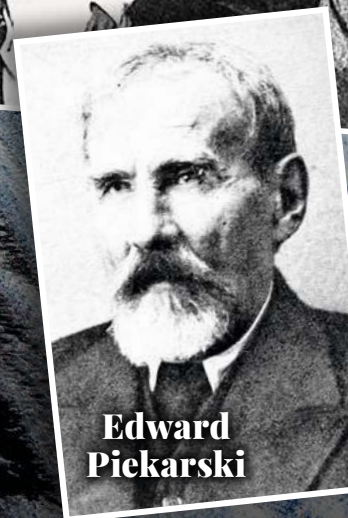
PARTNER DODATKU



Wacław
Sieroszewski



Bronisław
Piłsudski



Edward
Piekarski

Niewiarygodne korzyści z zesłania

Tak naprawdę nie wiadomo, ilu Polaków zesłano na Sybir w XIX w., ale jest to z pewnością liczba rzędu kilkuset tysięcy

Trzeba jednak pamiętać, że zsyłka zsyłce nierówna. Jedni musieli pokonać parę tysięcy kilometrów pieszo i w kajdanach, inni jechali pociągami i płynęli statkiem. Jedni pracowali w kopalniach i tartakach, inni nie byli zobowiązani robić zupełnie nic – musieli tam po prostu zamieszkać. Prawdę mówiąc, ta druga grupa była nieporównywalnie liczniejsza, ponieważ pomysł katorgi zupełnie się nie sprawdził. Na Syberii było zwyczajnie za mało pracy, jak na taką skalę wysłanych tam skazańców – system się zatkał.

Dla przykładu w roku 1867 niejaki płk Kupienkow, naczelnik Urzędu ds. Nadzoru Syberii Wschodniej, raportował do ministerstwa: „Wszyscy przestępcy, z wyjątkiem znajdujących się w kopalniach karyjskich, byli używani do pracy czasowo i niewielkimi grupami w tym jedynie celu, by w miarę możliwości wykonać nad nimi wyrok prawa, dla którego dokładne wykonanie w miejscach, gdzie znajdują się zesłańcy polityczni, z powodu braku prac katorżniczych, tzn. ciężkich robót, nie było możliwości. Mając nieproduktywny charakter, prace te dały skarbowi trzy tysiące rubli, wówczas gdy utrzymanie przestępców według budżetu wyniosło siedemdziesiąt jeden tysięcy rubli”.

Nic też dziwnego, że zesłańców najchętniej pozostawiano po prostu samym sobie gdzieś w jakuckiej guszy, gdzie sami musieli się zatroszczyć o swoje utrzymanie. A tu już wszystko zależało od charakteru. Jedni wegetowali w jurtach tubylców, inni uczyli się polować, łowić i uprawiać ziemię. I jedni, i drudzy usiłowali



Wojciech Lada

li robić jednak cokolwiek, by zabić nudę, bezczynność i tęsknotę.

Zazwyczaj zesłańcami byli ludzie inteligentni, którzy z powodu tego czy innego powstania musieli przerwać edukację. Kontynuowali ją więc na zesłaniu. Jan Czerski – 17-letni chłopak skazany za udział w powstaniu styczniowym na służbę w karnych batalionach w Omsku – w ciągu pięciu lat dokształcał się tak, że obala dotychczasowe teorie dotyczące struktury geologicznej

tego obszaru. 20-letni Edward Piekarski, nie mając początkowo żadnej wiedzy w tym kierunku, tworzy słownik jakucki – tak ważny, że car zwalnia go z kary. A dobiegająca wówczas pięćdziesiątki Ewa Felińska – dotąd zajmująca się wyłącznie wychowaniem kilkorga dzieci – notuje cytowane do dziś, arcyważne obserwacje etnograficzne dotyczące Ostiaków i Samojedów.

To tylko kilka z setek podobnych przykładów. Polscy zesłańcy i katorżnicy całkiem dosłownie odkryli Syberię. To oni ustalili prawdziwą wersję jej historii naturalnej, oni zbadali jej strukturę geologiczną, odkryli tysiące nowych gatunków fauny i flory, a także ustalili, jak różne gatunki dostosowują się do lokalnych, ekstremalnych warunków. Mało tego, Polacy ocalili od zapomnienia wiele lokalnych kultur plemiennych, które bez ich prac nie byłyby w stanie odtworzyć się po rozpadzie komunistycznej Rosji. Ajnowie, Gilacy, Buriaci, Jakuci – w dziejach tych wszystkich nacji Polacy odegrali kluczową rolę i tak też są tam postrzegani. Dla pierwszych bohaterem jest Bronisław Piłsudski, dla ostatnich – Wacław Sieroszewski i Edward Piekarski. Dwaj studenci i jeden ślusarz, którzy wpłynęli na los całych narodów.





fot. Biblioteka Naukowa PAU i PAN w Krakowie

Córki osadników
– uczennice
Piłsudskiego razem
z nim w ogrodzie stacji
meteorologicznej

Jak Piłsudski został królem

Ocalił od zupełnej zagłady cały naród, stosował pionierskie metody badań etnograficznych, a dla Japończyków znaczenie jego dzieł było tak wielkie, że dziś stawiają mu pomniki. Bronisław Piłsudski chciał zabić cara, a został królem... Ajnów

WOJCIECH LADA

13 marca 1887 r. Bronisław Piłsudski przebywał w swoim petersburskim mieszkaniu i nie robił nic, co byłoby warte odnotowania przez historię. A mimo to z pewnością był zdenerwowany. Kilka tygodni wcześniej to właś-

nie tu z kolegami redagował i drukował antycarską odezwę, tu również studiujący chemię znajomy, Józef Łukaszewicz, przygotowywał bombę, która właśnie tego dnia miała być ciśnięta w carską karetę. Bronisław czekał nerwowo cały dzień, ale nic się nie wydarzyło. Za oknem nie było słyhać żadnej eksplozji,

nikt też nie podnosił alarmu z powodu śmierci monarchy. Wszystko wskazywało na to, że Aleksander III żyje i ma się dobrze. Mimo tej ciszy następnego dnia z rana w drzwiach mieszkania Piłsudskiego stanęli agenci ochrony, w asyście uzbrojonych żandarmów. Tak zaczęła się jego droga na Syberię.



Szczepienie Gilaków
przeciwko ospie

ZABIĆ CARA

Starszy z braci Piłsudskich trafił na Sachalin za działalność terrorystyczną, choć tak po prawdzie nigdy nie wykazywał najmniejszych nawet skłonności do przemocy, nawet w słusznej sprawie. Ale w latach 80. XIX w. w Petersburgu, podobnie zresztą jak w Warszawie, nie można było być 20-latkami i nie spiskować. Obaj bracia Piłsudscy konspirowali zresztą już wcześniej, jako nastolatki. Założyli w Wilnie kółko samokształceniowe, w którym oni sami wraz z gronem kolegów poznawali historię Polski, czytali klasyków polskiej literatury i po prostu mówili po polsku, co zasadniczo bywało karalne. Co innego jednak czytać książki, a co innego rzucać bombę w cara.

Kiedy Bronisław wyjechał na studia do Petersburga, w mieście wciąż wrzało. Od kilku lat co prawda nie istniała już Narodna Wola – bodaj pierwsza na świecie organizacja otwarcie terrorystyczna, rozbita wówczas przez Ochronę – ale przeprowadzane przez nią zamachy były wśród młodzieży tak popularne, że co i rusz wyrastały grupki mniej lub bardziej otwarcie używające jej szyldu. „Idea carobójstwa, że tak powiem, unosiła się w powietrzu. Atmosfera była tak duszna, ucisk

Szóstą rocznicę zamachu na Aleksandra II grupka petersburskich studentów postanowiła uczcić kolejnym uderzeniem w cara. Nazwali się Frakcją Terrorystyczną Narodnej Woli, wydrukowali stosowne odezwy i przystąpili do działania. Do tej właśnie grupki należał Bronisław Piłsudski

reakcyjnej polityki Aleksandra III odczuwało się głęboko” – wspominał członek jednej z takich grup, Siergiej Nikonov. Narodna Wola stała się więc bardziej uniwersalną ideą walki z caratem niż realną strukturą organizacyjną. Także dla Polaków. To przecież właśnie Polak, Ignacy Hryniewiecki, w 1881 r. rzucił bombę pod nogi Aleksandra II, zabijając i jego, i siebie, a przy okazji naruszając spory kawałek Pałacu Zimowego.

Właśnie szóstą rocznicę tego zamachu grupka petersburskich studentów postanowiła uczcić kolejnym zamachem. Nazwali się Frakcją Terrorystyczną Narodnej Woli, wydrukowali stosowne odezwy i przystąpili do działania. Do tej właśnie grupki należał Bronisław Piłsudski i choć nie brał bezpośredniego udziału w akcji, uczestniczył aktywnie w jej części teoretycznej, a także udostępnił mieszkanie na laboratorium i drukarnię. W pewnym sensie udostępnił też swojego młodszego brata, Józefa, który wciąż jeszcze przebywał w Wilnie. Wysłany tam z Petersburga kurier, mający zdobyć materiały wybuchowe, przenocował u Józefa, był też przez niego oprowadzany po mieście i wprowadzany w meandry tamtejszej konspiracji.

13 marca 1887 r. car nie zginął. Na trop zamachowców ochrona trafiła zupełnym przypadkiem, podczas rutynowej kontroli. Agenci byli zdumieni, kiedy pod płaszczykami studentów znaleźli starannie przygotowane bomby – bardzo zabójcze zresztą, oprócz ładunku wybuchowego zaopatrzone w dziesiątki małych pojemników z cyjankiem potasu. Ale gdyby nawet udało im się cisnąć je w cara, Aleksander najpewniej i tak by przeżył. Zawiodła bowiem technologia. „Byłem wstrząśnięty! Gubiłem się w domysłach, jak mogło się



Sklep w wiosce Nowa Michajłowka i festyn

to stać” – skarżył się później Łukasiewicz, kiedy nierozpoznana przez policję bomba w formie książki, rzucona przez jednego z aresztowanych na podłogę posterunku, nie wybuchła. Carski wymiar sprawiedliwości zapewnił mu czas na domysły. Kolejnych 18 lat przyszło mu spędzić w twierdzy Szlisselburskiej.

Jest pewnym paradoksem, że ten nieudany zamach miał koniec końców bardzo znaczący wpływ na losy Rosji, Polski, a w pewnym sensie świata w ogóle. Stracenie biorącego w nim udział Aleksandra Uljanowa bardzo zradycalizowało postawę jego młodszego brata – Lenina, doprowadzając ostatecznie do powstania bolszewizmu. A pięcioletnie zesłanie na Syberię Józefa Piłsudskiego skryształowało jego poglądy i doprowadziło kilka lat później do kierownictwa Organizacji Bojowej Polskiej Partii Socjalistycznej, w końcu zaś – odzyskania przez Polskę niepodległości.

Co ciekawe, to odległe wydarzenie miało też znaczenie dla tajemniczego plemienia Ajnów, zamieszkującego Sachalin, Hokkaido oraz Wyspy Kurylskie. Tam bowiem właśnie zesłano na katorgę Bronisława Piłsudskiego, który został ich królem.

WYSPA KANIBALI

10 lipca 1887 r. statek wiozący przyszłego króla Ajnów zawinął do Singapuru. Piłsudski skorzystał z okazji i skreślił krótki list do ojca: „Drogi ojcze! Morze Czerwone, nas mieszkańców północy, oczywiście dobrze przegrzało, jednak bardziej niż wszystko inne dotyczył nas tworzący się w zamknięciu zaduch, którego zlikwidować nie mogła nawet nasilona

w tym czasie wentylacja. Opary z suszających się przemokniętych rzeczy, nasz pot, szybko wypełniały całe pomieszczenie, tworzyły zaduch i smród nie do wytrzymania. Każda słaba nawet fala na morzu doprowadzała wszystkich, poza nielicznymi wyjątkami, do stanu godnego litości, ale równocześnie wywołującego wstręt. Woda przedostająca się przez iluminatory, które nie zostały w porę zamknięte, zalała całą podłogę. Mimo to wszyscy leżeli na podłodze, tarzając się we własnych wymiocinach, odmawiając jedzenia i w chwilach rozdrażnienia pragnąc szybkiej śmierci”.

Bronisław z trudem zniósł cztero-miesięczną podróż statkiem na Sachalin. W listach do ojca nie ukrywał, że rejs był taką torturą, iż z niecierpliwością wyczekiwał już samej katorgi – byle tylko znaleźć się na lądzie. Do zepsutego jedzenia i nieznosnego odoru dochodziły

jeszcze nieustające kradzieże i bójki między więźniami – na Sybir zsyłano nie tylko ideowych konspiratorów, lecz również pospolitych przestępców.

Nie wiadomo, czego Bronisław się spodziewał po Sachalinie, ale wyspa również nie była oazą spokoju. W zasadzie w całości spełniała wówczas funkcję olbrzymiego, rosyjskiego więzienia, w którym – jak zanotował kilka lat później pisarz Wacław Sieroszewski – „złodziejstwa i nadużycia były normą, dręczycielstwo powszechnym nałogiem. Rozpusta i pijaństwo sakramentami. Partie aresztantów wysyłane na roboty leśne, okradane całkowicie z pożywienia przez urzędników, mordowały i zjadały swoich towarzyszy, aby mieć siły spełnić roboty i żyć”. Czy zawsze skłonny do przesady Sieroszewski i tu nagina nieco rzeczywistość?

Antoni Czechow, który odwiedził Sachalin jako reporter, w tym samym mniej więcej czasie, co przybył tu Piłsudski, nie wspomina nic o kanibalizmie, ale przecież miał świadomość, że carska cenzura takiej informacji po prostu by nie przepuściła. I tak okazała się dość liberalna, skoro nie wykreśliła fragmentów o powszechnym głodzie i zjadaniu łojowych świec przez katorżników pracujących w kopalniach. Ani o złodziejstwie, choć to akurat dotyczyło także samych więźniów: „Kradzież jest tu rzeczą zwykłą i przypomina raczej rzemiosło. Więźniowie rzucają się na wszystko, co jest źle chronione. Kradną w więzieniu, okradają się nawzajem, okradają osiedleńców, kradną w czasie pracy, w czasie wyładunku statku”



Wyprowadzenie niedźwiedzia na spacer

– zapisał, potwierdzając również nieprawdopodobne wręcz pijaństwo Sachalińczyków, choć to była akurat syberyjska norma.

Piłsudski pod tym względem miał wiele szczęścia. Teoretycznie miał odbywać katorgę w miejscowym tartaku, ale carski system penitencyjny nie potrzebował już rąk do pracy. Okazał się niewydolny – nikt po prostu nie przewidział takiej skali zsyłek. Jak odnotował autor „Wiśniowego sadu”: „Podaż majstrów znacznie przekracza zapotrzebowanie na ich pracę”. Młody skazaniec dość szybko został więc zwolniony z obowiązku wykonywania prac fizycznych i powierzono mu prowadzenie obserwacji meteorologicznych oraz porządkowanie zbiorów miejscowego muzeum. Z własnej inicjatywy urządził bibliotekę, a także udzielał lekcji – zarówno Rosjanom, jak i Ajnom – których pokochał tak bardzo, że wkrótce nawet ożenił się z Ajnuską i miał z nią dwójkę dzieci.

„Pociągało mnie z początku tylko dlatego, że było to jedyne na całej wyspie środowisko moralnie niezspane, odcinające się korzystnie od tła ponurego. Leczyłem ich, szczepiłem ospę. Uczylem ich czytać i pisać, gdyż szkół dla krajowców nie ma. Byłem ich tłumaczem i orędownikiem wobec władzy, a sam nauczyłem się mówić ich językiem, a raczej trzema językami. Zaufanie ich pozyskałem całkowicie i zostałem przyjęty na członka jednego rodu” – opowiadał później, a Sieroszewski dorzucał do tego dodatkowe informacje: „Wtajemniczono go w obrzędy, o jakich Europejczyk z trudem się dowiaduje po wielu latach pobytu wśród tubylców, dopuszczano na misteria zabronione cudzoziemcom, śpiewano pieśni i opowiadano historie najbardziej drażliwe, pozwalano fotografować amulety i bóstwa, sprzedawano lub darywano rzadkie przedmioty. Był jedynym na świecie znawcą języka gilackiego i orczońskiego, narodów, których lata są już policzone, oraz jednym z najlepszych, obok mistera Bachelora znawcą języka Ajnów”.

Tenże „mister Bachelor”, a właściwie John Batchelor, brytyjski misjonarz, z którym zetknął się i Sieroszewski, i Piłsudski, wspominał zabawny szczegół ze spotkania z tym ostatnim. „Spotkałem tego džentelmena w Sapporo kilka lat temu i jedynym językiem, w którym mogliśmy poprawnie rozmawiać, był ajnusi. On



Wędrówka rodziny Gilaków z aleksandrowskiego obwodu (od morza) do tymowskiego

Antoni Czechow o Sachalinie: „Kradzież jest tu rzeczą zwykłą i przypomina raczej rzemiosło.

Więźniowie rzucają się na wszystko, co jest źle chronione” – zapisał, potwierdzając również nieprawdopodobne wręcz pijaństwo Sachalińczyków

w dialekcie sachalińskim, ja w hokkaidzkim” – komentował z uśmiechem metody porozumiewania się dwóch Europejczyków w azjatyckiej dzicz.

OPIEKUN WŁOCHATEGO LUDU

Kim byli Ajnowie? Nikt tego do dziś nie ustalił. Z pewnością byli najbardziej owłosionym ludem w dziejach świata. Kiedy zetknął się z nimi Sieroszewski, nie mógł wyjść ze zdumienia: „W życiu swoim nie widziałem jeszcze tak obrośniętego osobnika, nie dorównywali mu nawet słynni włochacze, spotykani przeze mnie wśród kaukaskich Ormian. Broda zaczynała mu się tuż pod oczami; podwiązana brudną szmatką czupryna zwieszała się kosmykami na czoło; z uszu, z nozdrzy wyrastały całe krzaki twardego włosa, pojedyncze włosy sterczały z końca potężnego nosa, rzęsy dorastały rozmiarów brwi, a brwi podobne były do ogromnych strzępiastych wąsów. Ręce i nogi pokrywała sierść, a spod roz-

wartego na piersiach brzostowego kaftana wyglądały rudo siwe niedźwiedzie łaki”.

Skąd ta osobliwość? Tego również nie wiadomo. Byli w każdym razie jedynym ludem niemongoidalnym w tej części świata. Wyglądali trochę jak Aborygeni, chociaż Rosjanie dostrzegali w nich też podobieństwo do ich własnych chłopów, a – jak zauważył etnograf Alfred Majewicz – ich niektóre cechy anatomiczne występowały jedynie u dawno już wymarłych ludów jaskiniowych Europy. Zamętu dopełnia język, który jest izolatem – nie ma aktualnie żadnego odpowiednika na świecie, nie należy do żadnej znanej nam grupy ani rodziny językowej. W 1917 r. amerykański orientalista Berthold Laufer napisał wprost: „Język ajnusi jest obecnie językiem izolowanym, zaś języki jemu pokrewne, jeśli istniały, dawno wymarły”. I w ciągu kolejnych 100 lat zupełnie nic się w tej kwestii nie zmieniło.

Kiedy pojawił się na wyspie Piłsudski, wciśnięci między Rosję a Japonię, przez obie nacje szczerze pogardzani i dyskryminowani, Ajnowie powoli wchodzili w stan galopującej agonii. O ile w XVI w. było ich ok. 40 tys. i wciąż stanowili realne zagrożenie dla Japonii, o tyle w 1966 r. liczbę czystej krwi Ajnów szacowano na ok. 100. Nie wiadomo dokładnie, ilu było ich w czasie, gdy przebywał tam Piłsudski, prawdopodobnie ok. 1 tys., ale już wówczas ulegali oni bardzo intensywnej rუსyfikacji i japonizacji, także pod względem genetycznym, ztracając swoje wyjątkowe cechy, w tym owłosienie.

Piłsudski dobrze o tym wiedział i notował każdy szczegół kultury tego oryginalnego, bo od tysięcy lat właściwie izolowanego ludu, starając się zachować



jego język, wizję świata i obyczaje. Ale też pomagał im w bardziej praktyczny sposób, reprezentując ich w rosyjskich urzędach czy ucząc rolnictwa. „Piłsudski władał doskonale językiem ajnoskim i był bardzo wśród Ajnów popularny, gdyż ich wspierał, bronił i otaczał opieką. Tytułowano go nawet żartobliwie królem Ajnów” – zarzekał się później Sieroszewski.

Od 1891 r. regularnie publikował wyniki swoich badań w międzynarodowej prasie naukowej i z roku na rok z szarego katorżnika zamieniał się w najwybitniejszego ajnologa swoich czasów. Robił to przez 10 lat, dopóki śmierć cara w 1896 r. i związana z nią amnestia nie skróciła mu wyroku. Jak na ironię, carem tym był Aleksander III, co stworzyło sytuację nieco kuriozalną – śmierć człowieka, którego planował zabić, teraz uwolniła go od kary za te plany.

Zanim jednak opuścił Sachalin, „zebrał do 10000 wyrazów ajnoskich, 6000 gilackich, 2000 orocznońskich, dużo bajek, pieśni, legend, podań, obyczajów, moc fotografii i jedyną na świecie kolekcję 100 wałków fonograficznych, odtwarzających dźwięk i mowę tych ludów” – chwalił swojego kolegę Sieroszewski, zapominając, że oprócz rewolucyjnego wtedy fonografu Edisona rejestrującego dźwięk Piłsudski równie chętnie i sprawnie posługiwał się też taką nowinką techniczną jak kamera. Faktycznie jednak najciekawsza jest tu kwestia nagrań fonograficznych, dokonanych przez niego na specjalnych woskowych wałkach. „Wałki te długo tułały się po świecie, z Paryża do Wiednia, z Krakowa do Warszawy, nikt nie chciał ich nabyć, każdy chciał za darmo, a Piłsudski

cierpiał niedostatek i podarować ich nie mógł” – dodawał.

Ostatecznie zostały odnalezione w latach 30. XX w., na strychu domu, w którym mieszkał w Warszawie, i przekazane do archiwum Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Poznaniu. Mimo kilku prób odtworzenia i skopiowania mocno zniszczonych już wałków, podejmowanych w latach 60. i 70. XX w., udało się tego dokonać dopiero w połowie lat 80. I to nie Polakom, lecz Japończykom, którzy stworzyli w tym celu specjalną technologię. Była ona tak udana, że odtworzono materiał nawet z tych wałków, które zachowały się fragmentarycznie.

NIE DOŻYŁ NIEPODLEGŁOŚCI

W 1896 r. Piłsudski opuścił Ajnów, ale nie na zawsze. Wrócił w te strony, tym razem na Hokkaido, jeszcze raz w 1904 r. – nawiasem mówiąc, wspólnie z Sieroszewskim – by kontynuować badania. Wiązała się z tym zresztą zabawna historia. Sieroszewskiego lokalne władze nie chciały wpuścić na wyspę, myśląc, że nie jest on tym, za kogo się podaje, lecz... Józefem Piłsudskim, który przyjeżdża na Sachalin robić wraz z bratem rewolucję. Sytuację wkrótce wyjaśniono, ale obaj przyjaciele nie zabawili tu długo. Zbliżająca się wojna rosyjsko-japońska sprawiała, że widziano w nich potencjalnych rosyjskich szpiegów i wydalono z Hokkaido.

Piłsudski wrócił więc do Polski, ale nie mógł znaleźć tu sobie miejsca. Mieszkał w Krakowie, następnie w Zakopanem – zaangażował się nawet w pielegnowanie góralskiego folkloru. Ale prawda była

Sieroszewski o stosunku Ajnów do Bronisława Piłsudskiego: „Wtajemniczano go w obrzędy, o jakich Europejczyk z trudem się dowiaduje po wielu latach pobytu wśród tubylców, dopuszczano na misteria zabronione cudzoziemcom, śpiewano pieśni i opowiadano historie najbardziej drażliwe, pozwalano fotografować amulety i bóstwa, sprzedawano lub darowywano rzadkie przedmioty. Był jedynym na świecie znawcą języka gilackiego i orocznońskiego, narodów, których lata są już policzone, oraz jednym z najlepszych, obok mistera Bachelara znawcą języka Ajnów. [...] był bardzo wśród Ajnów popularny, gdyż ich wspierał, bronił i otaczał opieką. Tytułowano go nawet żartobliwie królem Ajnów”

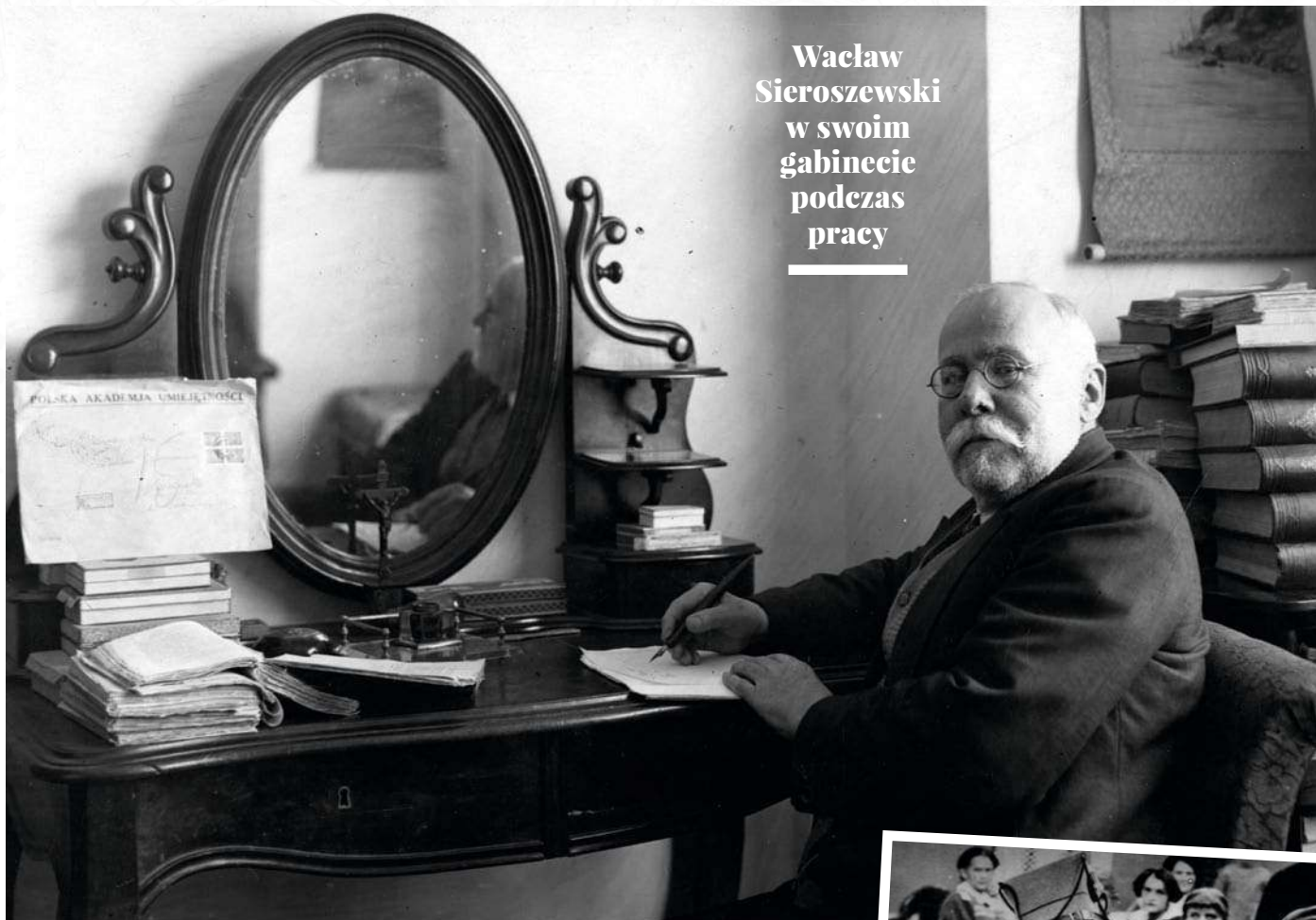
taka, że nie miał z czego żyć. Był uznanym w świecie etnografem, lecz brak dyplomu nie pozwalał mu podjąć pracy ani w rosyjskich, ani austriackich instytucjach naukowych. Nie bez znaczenia było także niepopularne w kręgach policyjnych nazwisko – był to wszak okres intensywniej działalności prowadzonej przez jego brata Organizacji Bojowej PPS. Zarabiał trochę na sporadycznych wykładach, publikacjach zagranicznych, po części sprzedawał też swoje sachalińskie zbiory. Wszystko to jednak za mało, by wieść spokojne życie. Powoli popadał w depresję, prawdopodobnie zaczynał też cierpieć na narkolepsję – w jego rodzinie istotnie zdarzały się dziedziczne schorzenia psychiczne.

W 1914 r. wyjechał do Szwajcarii, a trzy lata później do Paryża. Niewiele wiadomo o tym okresie jego życia. Wiele wskazuje na to, że jego dolegliwości zdrowotne bardzo się wtedy pogłębiły. Nie dożył wielkiego triumfu swojego brata i Polski jednocześnie. 17 maja 1918 r. – zaledwie pół roku przed odzyskaniem niepodległości – jego ciało wyłowiono z Sekwany. Najprawdopodobniej było to samobójstwo.



Pejzaż zimowy. Cerkiew, budujące się gimnazjum, muzeum, kaplica i poczta

Wacław
Sieroszewski
w swoim
gabiniecie
podczas
pracy

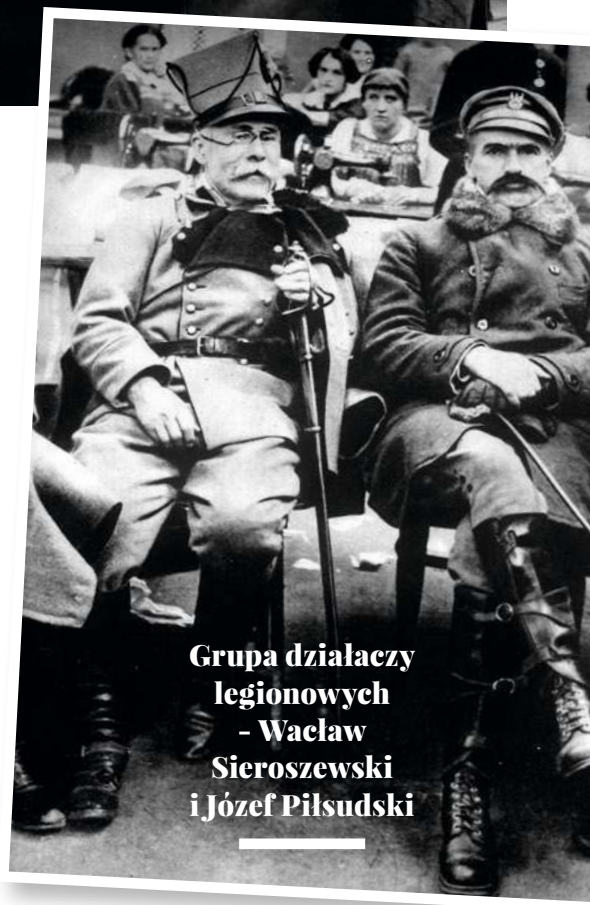


fol. NAC (2)

Zimą na kresach lasów

W Republice Sacha Wacław Sieroszewski jest bohaterem narodowym. A zważywszy na to, że jest to siódmy co do wielkości kraj na świecie, czyni go to jednym z najbardziej znanych Polaków

WOJCIECH LADA



Grupa działaczy
legionowych
- Wacław
Sieroszewski
i Józef Piłsudski

Sacha, czyli Jakucja, nie jest co prawda krajem w pełnym tego słowa znaczeniu, lecz jednostką Federacji Rosyjskiej, co nie zmienia faktu, że zajmuje jedną piątą powierzchni tego giganta i jest olbrzymią. Jest też miejscem bardzo słabo zaludnionym – co również ujemnie nieco popularności Sieroszewskiemu. Rzeczywiście jednak mało który Polak w dziejach zrobił tak wiele dla nieojczystego kraju co on. I jest to o tyle zaskakujące, że trafił tam, mając zaledwie 22 lata, a z zawodu będąc ślusarzem.

KRNĄBRNOŚCI I ZBYTKI

Sieroszewski urodził się w 1858 r. w mazowieckim majątku Wólka Kozłowska, ale nie zagrzeł tam długo miejsca. Po powstaniu styczniowym jego rodzina straciła ziemię, a on sam wychowywany był przez coraz dalszych krewnych. Być może właśnie powstanie, które miał szansę pamiętać, sprawiło, że jego niechęć do rosyjskiej administracji była wyjątkowo intensywna. „Byłem źle notowany wśród nauczycielstwa z powodu krnąbrności i zbytków”

– przyznał po latach, wspominając szkolne lata. Nie przeżył ich wiele – wyrzucono go ze szkoły za ukrycie w podłodze pozytywki grającej hymn Polski. Z braku pieniędzy poszedł więc na naukę do ślusarza, a z braku innej dostępnej w tym okresie konspiracji zaczął się udzielać w kółkach socjalistycznych – dokładnie tych samych, do których już wkrótce dołączy młodszy od niego Józef Piłsudski. Kiedy to jednak nastąpi, Sieroszewski będzie już od dawna na Syberii.

Był człowiekiem bardzo krewkiego charakteru. Aresztowany i osadzony w X Pawilonie Cytadeli, wziął udział w słynnym buncie więźniów, który wybuchł po bezpodstawnym zastrzeleniu 16-letniego więźnia, Józefa Bejta. Przy czym jego udział odbił się największym echem, Sieroszewski bowiem wyrwał ramę okienną i cisnął nią w komendanta więzienia, generała Ulrycha. W drodze na Syberię buntował się również w kilku innych więzieniach etapowych, a kiedy już dotarł do Irkucka,



natychmiast podjął dwie karkołomne próby ucieczki. Żadna z nich się nie powiodła i młody ślusarz został karnie zesłany na „kresy lasów, do miejscowości odległej o 100 km od rzeki, drogi i miasta” – jak głosił wyrok.

JAKUCKI CANALETTO

„Śmiertelna cisza. Od czasu do czasu rozlegają się w piwnicznych ciemnościach tej nocy biegunowej głuche łoskoty, podobne do armatnich strzałów – to jejczą pękające na rzekach i jeziorach lody, to stęka duszona mroziskiem pustynia. Cisza, ciemność, śmierć królują wszechwładnie nad struchlałą przyrodą. Nie widać nigdzie najmniejszych śladów życia, nie słychać nic, prócz zgrzytów zabójczego zimna” – opisywał później swoje doznania z głębokiej Jakucji.

Parokrotnie zmieniał miejsce zamieszkania, ale posmakował chyba wszystkiego, co można przeżyć na Syberii. Nocował w jakuckich jurtach, polował na wielkie drapieżniki i małe ryby, spał na śniegu, chodził po tajdze, jadł zgniałą rybę i pijał krew, nauczył się nawet kowalstwa. Dość szybko zrozumiał jednak, że aby nie zwariować, musi się zająć czymś konkretnym. I zajął się z niezwykłym skutkiem.

Po pierwsze, zaczął spisywać wszystko, co zobaczył w środowisku Jakutów – zwyczaje, żywienie, język, strukturę społeczną, wierzenia, budownictwo, legendy i mity. Wszystkie te obserwacje ukazały się w tomie „12 lat w kraju Jakutów” – wraz ze słownikiem Piekarskiego, najważniejszym dziełem etnograficznym, jakie kiedykolwiek stworzono o tym ludzie. Ważnym mniej więcej tak bardzo jak obrazy Canaletta dla odbudowy Warszawy. Po uzyskaniu au-

tonomii w ramach Federacji Rosyjskiej Jakuci właśnie na podstawie tych dwóch książek odbudowali swoją tożsamość narodową, tradycję, a nawet wierzenia.

Po drugie, zaczął pisać powieści i opowiadania, które wysyłane do kraju, wkrótce stały się nad Wisłą literacką sensacją, często zestawianą wówczas nawet z powieściami Stefana Żeromskiego, z którym zresztą blisko się przyjaźnił. Nikt chyba tak dobrze jak on nie oddał syberyjskiej rzeczywistości zesłańców, ich relacji z tubylcami, a także tych wzajemnych. Nikt też wcześniej z Europejczyków nie spojrzał w tak ludzki sposób na Jakutów. A zrobił to, pisząc zaostrzonym piórem maczanym w popiele z ogniska na strzępach starych gazet.

W MUNDURZE ULANA

Kiedy wrócił do kraju, miał 42 lata. To jednak nie stępiło jego temperamentu. Bywał parokrotnie aresztowany, brał udział w manifestacjach, na koniec zaś wyjechał do Galicji, gdzie wstąpił do Związku Strzeleckiego. Dobiegał sześćdziesiątki, gdy wybuchła I wojna światowa. Sieroszewski wziął w niej udział w szeregach I Pułku Ułanów Legionów Polskich.

Już wówczas był jednym z najbliższych przyjaciół Józefa Piłsudskiego, tym bliższym, że doskonale znał się również z jego bratem Bronisławem. W okresie międzywojennym pełnił wiele funkcji politycznych i społecznych, a zmarł tuż przed końcem II wojny światowej, w kwietniu 1945 r. Sporo dobrych cech przekazał w genach – jego syn, Władysław, był szefem konspiracyjnego Wojskowego Sądu Specjalnego Armii Krajowej w Warszawie.

Dobre skutki beczynności

**Edward
Piekarski**

Edward Piekarski nauczył Jakutów języka jakuckiego, a przy okazji ich własnej historii. Jego wkład w poznanie kultury archaicznych plemion Azji jest nieoceniony

WOJCIECH LADA

Feliks Kon został co prawda bolszewikiem, zanim jednak to nastąpiło, był po prostu młodym socjalistą niepodległościowcem, jakich wielu spiskowało po warszawskich mieszkaniach i suterenach w latach 80. XIX w. I jakich wielu zostało właśnie za tę konspirację zesłanych na Syberię. Kona też zesłano, sporo tam przeżył – jak choćby słynne swego czasu zbiorowe samobójstwo polskich skazańców w więzieniu w Karze – dużo też zobaczył i zrozumiał.

Pewnego dnia zanotował: „Przyszły historyk zesłania będzie musiał poświęcić wiele czasu, jeżeli zechce rozstrzygnąć problem, czym tłumaczy się fakt, że ze środowiska wygnańców politycznych wyszło tylu uczonych badaczy, pisarzy, publicystów. Wszak większość zesłańców jeszcze w latach 60. do 90. ubiegłego stulecia – to studenci, którzy nie ukończyli studiów, a nawet gimnazjaliści”. Według jego obserwacji odpowiedź na to pytanie brzmiała: nuda i beczynność, na jakie nieuchronnie skazywała ludzi długa i przytłaczająca jakucka zima. Jako przykład chętnie przytaczał swojego przyjaciela Edwarda Piekarskiego.



**Jakuci
w tradycyjnych
strojach
ludowych**

REWOLUCJONISTA W JURCIE

Nie znamy zbyt wielu szczegółów jego biografii. Wiemy, że był rówieśnikiem Wacława Sieroszewskiego (1858 r.) i został skazany podobnie jak on za udział w rewolucyjno-niepodległościowej konspiracji – można więc założyć, że bagaż jego wspomnień i doświadczeń był zbliżony. Także syberyjskich, bo on również musiał głuszy i utrzymywać się z tego, co daje tajga.

Obserwował Jakutów, a tym, co zainteresowało go szczególnie, był ich język. Co ciekawe, kiedy zaczynał prace nad

swoim słownikiem, nie miał żadnej wiedzy lingwistycznej – po prostu notował na znalezionych byle gdzie strzępkach papieru słowa, zwroty, powiedzenia, ale też podania, bajki i opowiadania, które wielokrotnie później konsultował z innymi skazańcami i samymi Jakutami. Nie wiadomo, czy myślał wówczas o publikacji, czy po prostu istotnie zabijał nudę – dość, że wraz z przybywaniem notatek wiedza o jego pracy sukcesywnie rozchodziła się po Jakucji.

Przełomem było zaproszenie Piekarskiego (Kona zresztą również) na ekspedycję organizowaną przez Syberyjski Oddział Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego. Po pierwsze – Piekarski poznał bliżej efekty badań specjalistów

innych dziedzin, co pozwoliło mu rozszerzyć słownik do tego stopnia, że stał się on w zasadzie encyklopedią. Po drugie zaś – badacze innych dziedzin, także ci wpływowi, poznali pracę Piekarskiego, co umożliwiło mu publikację.

SŁOWA NA WAGĘ WOLNOŚCI

Już pierwsze artykuły i fragmenty słownika okazały się taką rewelacją nawet w Petersburgu, że pod wpływem nacisków uczonych car cofnął Piekarskiemu karę i pozwoił na osiedlenie się w stolicy cesarstwa, dostarczając przy okazji stosownych środków do życia. Lingwista amator skorzystał z okazji.

Słownik już wówczas stał się jego obsesją, poświęcał mu każdą chwilę, a ten niewyobrażalnie się rozrastał. W końcu opublikował Piekarski w latach 1907-1930 aż trzynaście jego tomów, w zasadzie do dziś stanowiących podstawę wiedzy o języku Jakutów – również dla samych Jakutów, którzy przed Piekarskim językiem tym mówili, ale nigdy wcześniej go nie badali i nawet nie przypuszczali, jakie bogactwo treści się w nim kryje.

To na przykład, że Jakuci bynajmniej nie są plemieniem syberyjskim, lecz tureckim, a ich bytność

w mroźnych okolicach i doskonale do nich przystosowanie trwa od zaledwie... około tysiąca lat. Że wtedy właśnie przegonieni z Wielkiego Stepu przez Mongołów wędrowali coraz dalej na północ wzdłuż Leny, by ostatecznie, po kilku ciężkich wojnach z Tunguzami, osiąść w miejscu, gdzie siedzą do dziś.

Każde z tych wydarzeń odbijało się w nowych słowach – język zachował to, o czym zapomnieli sami Jakuci. Nic też dziwnego, że ten zapomniany niemal w Polsce badacz ma swój pomnik w Jakucku. A jego słownik oraz praca „Wypisy z narodowej literatury Jakutów” są wznawiane do dziś.

Sam Piekarski zmarł w 1934 r. Konkretnie przeżył go o siedem lat.

“Oddycham z energią



**Troska o czyste środowisko jest wpisana w nasze DNA.
Przesyłamy najwięcej zielonej energii w Polsce.**

Energa to: 46 elektrowni wodnych, 5 elektrowni wiatrowych, 2 elektrownie fotowoltaiczne. Dostarczamy ciepło systemowe, które zastępuje domowe piece. Osobom, które zamienią ogrzewanie na elektryczne, oferujemy tańszy prąd. Nasze ładowarki zasilają auta elektryczne. Nieustannie poszukujemy nowych sposobów, by oddychać czystym powietrzem.

www.energa.pl



Energa

SIECI

FILM / TEATR / MUZYKA / LITERATURA

K

ULTU

*W pięknej kreacji
błyszcząca
na jubileuszowej
20. gali Polskich Nagród
Filmowych Orły.
Magdalena Boczarska
odebrała statuetkę
dla najlepszej głównej
aktorki za rolę w filmie
„Sztuka kochania”*

**Wszystkie
role pisze
życie**





JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Od chwili, gdy inna mocna i wyrazista kobieta – Maria Sadowska – zaproponowała jej rolę charyzmatycznej „pani doktor od seksu”, dla Magdaleny Boczarskiej nastał czas wyjątkowo ważnych zmian. Zawodowych i prywatnych.

SZTUKA KOCHANIA

Ku zaskoczeniu wielu nie dostała za swoją kreację nagrody na festiwalu w Gdyni. Teraz tamten brak wypełniło środowisko filmowe. Ponad 600 członków Polskiej Akademii Filmowej wzięło udział w głosowaniu, przyznając jej zasłużoną statuetkę. Odebrała ją równo rok i dwa miesiące od premiery. W zupełnie nowych, życiowych okolicznościach.

Dziękując Akademii, stwierdziła że „Sztuka kochania” zaowocowała dla niej nie tylko skrzydlatą nagrodą, lecz i żywym dowodem miłości.

Od grudnia ubiegłego roku Boczar-ska jest mamą. I to mamą mimo zmęczenia radosną i spełnioną. Aktorka, przez pierwsze lata kariery kojarzona ze swobodą odsłaniania atutów pięknych bohaterek i odwagą przyjmowania ról, teraz spełnia się w najważniejszym życiowym zadaniu.

Poza nielicznymi wyjątkami, takimi jak chociażby gala Orłów (a chwilę wcześniej, gdy w telewizji śniadaniowej zapowiadała powrót na scenę Teatru Imka), macierzyństwem cieszy się poza kamerami i obiektywami. Pozostawiła sobie sporą przestrzeń na prywatność i odnajdywanie się, wraz z aktorem Mateuszem Banasiukiem, w roli świeżo upieczonych rodziców.

SZTUKA DZIAŁANIA

I tylko od czasu do czasu przypomina o sobie, wrzucając do sieci np. zdjęcie z treningu na basenie. Przy okazji prób

do spektaklu, do którego obsady wraca po macierzyńskiej przerwie, zdradziła też inne sposoby na odzyskanie dawnej formy. Otóż ćwiczy regularnie i często ma wtedy obok siebie synka. Wykonuje kolejne zadania np. z malutkim Heniem na ramieniu.

Po paru latach startowania w triathlonie, a potem regularnego uprawiania fitnessu, nie zrezygnowała z aktywności ani w czasie ciąży, ani po urodzeniu dziecka. Oczywiście dostosowując zadania do okoliczności i możliwości.

Sportowa aktywność pozwoliła aktorce zaprezentować się na scenie Teatru Polskiego (to tu po raz kolejny odbywała się gala Orłów) w kreacji znakomicie podkreślającej jej figurę. I tak, pięknie błyszcząc, mogła rozmawiać o zawodowych wyzwaniach.

SZTUKA GRANIA

„Największą nagrodą jest to, że blisko dwumilionowa widownia pokochała ten film; że porusza on nie tylko kobiety, lecz i mężczyzn; że jest wciąż żywy” – podkreślała, trzymając w dłoni skrzydlatą statuetkę. „Jako aktorzy dokonujemy często niełatwych wyborów i wyróżnienie otrzymane od środowiska utwierdza nas w przekonaniu, że droga, którą wybieramy, ma sens”.

Boczar-ska zapewnia, że Orzeł jest dla niej nagrodą symboliczną; zwieńczeniem wcześniejszych doświadczeń: „»Sztuka kochania« i Miśka Wisłocka są dla mnie niezmiernie ważnym przy-

stankiem w życiu. To najpiękniejsze wyzwanie aktorskie. Myślę też, że bardzo zaprzyjaźniłam się z tą rolą. I z Michaliną. Obie we mnie zostaną”.

Przy okazji gali chętnie odwoływała się do wcześniejszej kilka lat roli w „Różyczce”. Film w 2010 r. przyniósł jej w Gdyni nagrodę dla najlepszej aktorki pierwszoplanowej. Reżyser Jan Kidawa-Błoński sięgając po atuty aktorki, jej zmysłowość, uwierzył również w dramatyczny talent Boczar-skiej.

Bo choć ta krakowianka z urodzenia i wykształcenia (absolwentka PWST) już na studiach zdobywała teatralne laury (w 2001 r. za rolę Kobiety w „Rajskim ogródku” na Festiwalu Szkół Teatralnych w Łodzi), to na znaczące ekranowe role musiała trochę poczekać.

W zawodowe życie wchodziła z nagrodą za sceniczny debiut (był rok 2003, gdy zagrała tytułową „Kurkę wodną” Witkacego w Teatrze Nowym w Łodzi). Po kolejnych dwóch latach w duecie z Jarosławem Gajewskim spektaklem „Merlin. Inna historia” zdobyła nagrodę na 45. Kaliskich Spotkaniach Teatralnych. Potwierdziła tym samym słusność zaproponowanego jej angażu w warszawskim Teatrze Narodowym. Przed zdolną młodą aktorką otworzył drzwi Teatr TV, ale upomniały się też seriale, gdzie była kolejną ładną twarzą.

Ważna filmowa nagroda przyszła po trzydziestce. „Kocham »Różyczkę« za dylematy, uczuciowe rozdarcie bohaterki między dwoma mężczyznami. Za miłość podporządkowaną namięt-



Z Andrzejem Sewerynem na planie filmu „Różyczka”

Jako Michalina Wisłocka w „Sztuce kochania” (po prawej), poniżej kadr z filmu „W ukryciu”



ności i moralne wahania rodzące się wraz z nową relacją” – mówiła nam w wywiadzie.

SZTUKA NARRACJI

Równolegle z „Różyczką” powstawał „Idealny facet dla mojej dziewczyny”. Tu zagrała rolę skrajnie inną. Za to specjalnie dla niej napisaną. „Chociaż bardzo lubię ten film, to wrażliwość była zupełnie inna i odrębna narracja filmowa” – komentowała aktorka, która w paru wcześniejszych produkcjach udowodniła, iż ciało jest dla niej narzędziem pracy i nie boi się go pokazywać.

Czerpali z tej swobody bycia na ekranie reżyserzy komercyjnych produkcji: Andrzej Saramonowicz i Tomasz Konecki, prowadząc Boczarą od epizodu w „Testosteronie”, przez małą rolę w filmie „Lejdis”, po znacznie bardziej eksponowane: w „Idealnym facecie dla mojej dziewczyny” (gdzie delikatna blondynka okazywała się doświadczoną w Iraku instruktorką krav magi, do tego biseksualistką) i „Jak się pozbyć cellulitu”.

Równocześnie aktorka przekonująco wcielała się np. w więźniarkę Pawiaka w serialowym „Czasie honoru” czy nieradzącą z obowiązkami matkę w kinowym „Baby blues” Katarzyny Rosłaniec. Jan Kidawa-Błoński propono-

wał jej udział w kameralnym dramacie „W ukryciu”, w którym jej bohaterka zatracala się w obsesyjnym uczuciu do ukrywanej Żydówki.

Pięć lat temu w serialu „Lekarze” seksowne ubiory zamieniła na mundur doświadczonej podczas misji w Afganistanie lekarki. Potem, w kolejnych sezonach „Drugiej szansy”, różowymi futerkami dopełniała wizerunku niedojrzałej emocjonalnie gwiazdki i celebrytki Sary Daymer. W tym samym czasie na potrzeby kina budowała postać Michaliny Wisłockiej.

„Długo powtarzałam, że największą aktorską przygodą w moim życiu była »Różyczka«” – mówiła nam w wywiadzie. „Teraz na pierwsze miejsce wysunęła się historia Michaliny. Bohaterka »Różyczki« stała się zakładniczką systemu, jego ofiarą. W »Sztuce kochania« absolutnie nie grałam ofiary. Tylko kobietę, która wytycza szlaki, rozdaje karty, jest jak lodolamacz. Poza tym wcielanie się w postać, która ma swój pierwowzór, to wyjątkowe aktorskie doświadczenie”.

SZTUKA W KOSTIUMIE

Propozycja roli była dla niej zaskoczeniem. „Moja fizyczność i styl są tak różne od oryginału, że trzeba było dużej otwartości i odwagi, by zobaczyć we

mnie Michalinę Wisłocką” – komentuje aktorka.

Równocześnie zauważa, że służy jej historyczne tło. „Lubię kostium” – mówi. „Mam czasami wrażenie, że urodziłam się nie w tych czasach, co trzeba. Kostium mi służy. Wiem, jak go nosić. Chwilami myślę, że w filmach kostiumowych odnajduję się znacznie lepiej niż w tych, w których akcja dzieje się współcześnie. Piękne w naszym zawodzie jest m.in. to, że możemy się przenosić w czasie”.

W początek lat 60. ub.w., chociaż tylko na chwilę, trafiła też dzięki właśnie powstającej w Warszawie międzynarodowej produkcji „Zimna gra” („The Coldest Game”). Miejszem akcji jest Pałac Kultury, w którym – u czasie kryzysu kubańskiego i pod czujną obserwacją służb amerykańskich oraz sowieckich – odbywa się światowa rozgrywka szachowa. Reżyseruje Łukasz Kośmicki, w obsadzie obok Billa Pullmana znalazł się m.in. grający dyrektora PKiN Robert Więckiewicz. Za zdjęcia odpowiada Paweł Edelman, za scenografię Allan Starski.

Boczarą swoją obecność na planie nazywa symbolicznym, gościnnym występowaniem. Producentem „Zimnej gry” jest Watchout Studio, które ma na koncie takie kinowe sukcesy jak film „Bogowie” i „Sztuka kochania”, w której specjalnym guest star był Tomasz Kot. Teraz, jak mówi aktorka, z kolei jej zaproponowano podobny udział w „The Coldest Game”. Z przyjemnością tego spróbowała.

Na dobre do pracy chce wrócić od września. Mają już umówione produkcje. Jakie na razie nie zdradza. „Teraz mam ochotę się skupić na synku i nacieszyć się siedzeniem w domu” – deklaruje. 

Jowialscy się kochają

Wystawienie „Pana Jowialskiego” jako widowiska telewizyjnego na Międzynarodowy Dzień Teatru to świetne trafienie. Nie każda sztuka Aleksandra Fredry podnieca mnie jednakowo, niektóre są konwencjonalne i blade. Tej nie trzeba podpieierać deklaracjami o ciągłości tradycji. Broni się kapitalnym poczuciem humoru.

Weźmy scenę z sułtańskimi przebierankami, które familia Jowialskich, napuszczona przez intryganta Janusza, funduje nieznanemu, czyli Ludmirowi. Nie dość, że hrabia autor wykazuje się erudycją literacką („Życie snem”), to pięć ciąg gagów niczym współczesny kabaretowy skecz. A wizerunki odrealnionych postaci zaludniających dworek Jowialskich? Każda oddaje się swoim obsesjom, nie bardzo widząc zza nich świat. Godne to egzystencjalnego dramatu, ale staje się przedmiotem niezwykle śmiesznej zabawy.

Na końcu Fredro łagodzi wszelkie drapieżności. Ale przecież wszystko mogłoby się potoczyć inaczej, i nie byłoby tak ciepło. Jak rasowy komediopisarz autor delektuje się ludzką głupotą. Szambelan, syn Jowialskiego, próbujący wymyśleć przysłowie o patykach czy zwrócić na siebie uwagę otoczenia to postać, którą mógłby napisać Gogol, a może Mroźek.

Artur Żmijewski wykonał zadanie nałożone nań przez Teatr Telewizji, czerpiący garściami z klasyki, pokazujący, że jest się na co oglądać w przeszłość. Odrobinię włożył spektakl w cudzysłów, pokazując na początku studio, operując nieco stylizowanymi dekoracjami czy jazzową muzyką Włodka Pawlika. I prowadząc aktorów miejscami drogą nieprzeszarżowanej groteski, którą można zresztą odnaleźć w tekście.

A zarazem to wciąż sztuka kostiumowa, nieprzenoszona sztucznie we współczesność, bawiąca pewną staroświeckością form i konwenansów. Gdzieś tam tylko wytrawny aktor postawił na dodatkowe smaczki. Nie myśleliśmy o starych Jo-

wialskich jako parze wciąż się kochającej, także fizycznie. Ginęło to nam za powłoką zdzienniających staruszków. Tymczasem Żmijewski zapewnia, że to sztuka o różnych formach miłości. Może dlatego zauważymy też mocno tragicomiczną naturę postaci Szambelanowej, było nie było matki, która straciła kiedyś dziecko.

Wymaga to wszystko koronkowego aktorstwa i dostajemy gwiazdy. Adam Ferency i Anna Dymna grają wciąż chutliwych Jowialskich, jakby byli nimi zawsze. Tomasz Kot buduje postać niedorzecznego Szambelana środkami ze współczesnej komedii. Danuta Stenka jest Szambelanową raz zabawną, raz serio. Mateusz Rusin prowadzi Janusza z cienką ironią, nie pastwiąc się nad nim nadmiernie. Młodzi wykorzystują szansę, żeby też śmieszyć. Fabian Kocięcki jest całkiem wyrazistym Ludmirem (sekwencje z przebierankami i jemu dają parę chwil błazeństwa), Joanna Kuberska egzaltowaną panną, a Krzysztof Szczepaniak – ogromnie śmiesznym Wiktoorem. To zresztą młody aktor o szczególnej predylekcji do komedii.



W moich oczach poprzeczka była ustawiona wysoko. Pamiętam sławnego „Pana Jowialskiego” Olgi Lipińskiej z 1976 r. Mroźewski, Ludwiżanka, Krafftówna, Pawlik, Pokora, Englert – oni wszyscy grali może nawet bardziej brawurowo, z większą gamą komediowych min. To zaś jest „Jowialski” przesłonięty jakby mgiełką melancholii, co podkreśla jeszcze udział wychodzącego z choroby Krzysztofa

Globisza jako lokaja. Fredro pozbawiony złudzeń, po przejściach? Jeśli na tym ma polegać odczytanie klasyki na nowo przez każde pokolenie, to jestem za.

Piotr Zaremba

PIĄTEK 13 KWIETNIA | 18:45 | TORWAR | WARSZAWA

DUMNI Z WAMI

RAJEWSKI · CELIŃSKI · JENEL · BISZCZAK · KASPERSKI

MIĘDZYNARODOWY MECZ K1
POLSKA vs ROSJA

DSF KICKBOXING
CHALLENGE **14**

BILETY NA WWW.DSF14.COM



RED IS BAD™

W najnowszym dramacie Yasminy Rezy i spektaklu Grzegorza Wiśniewskiego wszyscy gasną albo być może w ogóle już ich nie ma. Samotność skurczyła ich do rozmiarów żalosnych figurek

Ostatnia prosta

Nie dowierzałem, gdy niektórzy tę sztukę kwitowali wzruszeniem ramion; że to tylko przypis, gadanina utkana ze znanych reguł psychologii. Nie dowierzałem, bo francuska dramatopisarka wciąga w rozpędzający się dialog jak ostatnio rzadko kto z piszących dla sceny. Najlepszym na to dowodem „Bóg mordu”, który przez ponad dekadę przewędrował przez tuziny nie tylko europejskich teatrów, a sześć lat temu doczekał się, skądinąd świetnej, adaptacji filmowej Romana Polańskiego. Co uderzające, dramat ten wystawiano najróżniej: jako gorzką komedię, ale z nastawieniem na zgryw z urojen współczesnego mieszczaństwa, w sam raz nawet na sceny farsowe, i jako psychodramę. Reza jest dla sceny zbawieniem, podsuwa nieoczekiwane tropy, kusi, zresztą często reżyserom się udaje.

Z kolei jej nowy dramat „Bella figura” niesie z sobą coś jeszcze. Nielatwo rozstrzygnąć, czy potyczka piątki dziwacznych postaci rozgrywa się w planie realnym, czy to już majak, przebliski świadomości jak chwilę przed pobudką albo zaraz przed zaśnięciem. Albo i narkotykowy zwid, bo przecież jedna z postaci, Andrea, jako technik farmaceutka co rusz proponuje wszystkim lek na chandrę. Jest w tym także absurd – pocucie, że życie zawisło na włosku, może być złagodzone tylko przez absurd. Reza się nami bawi, tym razem jej świat utknął między życiem a śmiercią, w nieoczekiwanym punkcie, w przydrożnej restauracji z ogródkiem i sadzawką, w której kumkają zaby. Druga ważna bohaterka tej opowieści, Yvonne, stwierdza zresztą, że blaknące się dusze budzą strach... Gdzie zatem jesteśmy? Do samego spotkania tej piątki dochodzi również w absurdalny sposób. Jakby coś zmusiło ich do spędzenia wieczora razem, jakby ich drogi w tej samej chwili skrzyżowały i spotkały się na zagubionej autostradzie.

Skojarzenia z filmem Lyncha są jak najbardziej uprawnione. Grzegorz Wiśniewski w swym gdańskim przedstawieniu wykoślawia całą sytuację, każe ponurej grupce, karykaturyzować się, hiperbolizować swoją mentalność. Przerysowuje też pocucie humoru autorki; tam, gdzie Reza sugeruje, tam Wiśniewski mówi sporo więcej. Ivonne, starzejąca się pani z bogatą przeszłością, na scenie staje się gwiazdką estrady, której czas dawno minął. Jej występ w świetle reflektorów, zupełnie poza tekstem, gdy właściwie wycharcze z siebie szlagier „I Put A Spell On You”, budzi



PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI

zażenowanie, lecz i przerażenie. Poza wszystkim podziw, bo Katarzyna Figura tą rolą udowadnia, że na scenie powinna się pojawiać znacznie częściej. W jakim sensie Wiśniewski wymyślił Yvonne w kontraście do Figury: oto gasnąca celebrytka grana przez aktorkę, której teatr właśnie teraz mógłby zaoferować więcej.

Wspomniałem o atmosferze z „Zagubionej autostrady”, ale też kilka rozstrzygnięć aż rzuca się w oczy, przywołując tamten film. U Rezy Yvonne stanowi przestrożę dla Andrei przed niewykorzystanym życiem. U Wiśniewskiego zaś Yvonne jest już lustrzanym odbiciem Andrei, choć uchwyconym na innym etapie życia. Jedną przegląda się w drugiej. Yvonne upokarzana przez syna i synową, którzy na siłę chcą jej wyprawić huczne urodziny, budzi u Andrei współczucie, ale też fascynację. Yvonne z kolei chciałaby powrócić do czasów, gdy mogła o sobie decydować. Śmiały niż Reza reżyser przybliżył też do siebie Borisa i Erica (dobre role odpowiednio Michała Jarosa i Jakuba Nosiadka). Ten drugi zdaje się kimś, kto lepiej wacha czas, i dziś może pouczać fajtlapów takich jak Boris. Nie zmienia to faktu, że to wszystko kwestia ślepego trafu; mogłoby się stać odwrotnie. Jest jeszcze Françoise Katarzyny Dalek: zblazowana, ulepiona ze schematów, jako żona Erica gotowa, by rzucić kolejny frazes. Człowiek bez właściwości. Przypomniała mi Dalek swoją poprzednią znakomitą rolę u Wiśniewskiego jako Honey w „Kto się boi Virginii Woolf?” Albeego. Wówczas budziła empatię. Teraz irytuje: w jej obojętności skrywa się okrucieństwo.

Jednak najważniejsza jest rola Agaty Bykowskiej. Gra Andreę, przenosząc jej intymność także na swoją fizyczność. Skomplikowane zadanie wymaga ryzyka, łatwo przecież przeszarżować. Bykowska intryguje, nie objaśnia nam wszystkiego; być może jej słaba i naiwna Andrea wie o życiu coś, czego nie wiedzą ci niby z wyższych sfer.

Finał również należy do Andrei. Widzimy jej postać w zbliżeniu; spogląda na siebie, odbyła podróż w głąb siebie tylko po to, by się pozbyć złudzeń. Takie małe prywatne odyseje są tematem najlepszych przedstawień Grzegorza Wiśniewskiego. Podobnie było w kieleckiej „Harper” Stephensa. Tytułowa bohaterka tamtego wybitnego spektaklu spokojnie mogłaby wypowiedzieć słowa, które u Rezy wypowiada Andrea: „Człowiek wyrusza ze swoim majdanem na podbój świata. Wyobraża sobie, że armia posuwa się do przodu, tymczasem gaśnie na miejscu”.

Yasmina Reza
„Bella figura”
reż. Grzegorz Wiśniewski
Teatr Wybrzeże (Duża scena)
premiera: 1 marca 2018

„Pasażerka” – opera o Auschwitz
na scenach i na DVD

Przechować pamięć

Fot. Wojciech Grzedziński

Wspierana przez Instytut Adama Mickiewicza uralska inscenizacja „Pasażerki” Mieczysława Wajnerberga kandyduje do Złotej Maski – najważniejszej rosyjskiej nagrody teatralnej. Dzieło istotne dla podtrzymania pamięci o prawdzie zagłady w niemieckim obozie w Auschwitz jest teraz dostępne także w formie rejestracji DVD.

Mieczysław Wajnerberg (1919–1996) jest postacią trzech kultur: polskiej, żydowskiej i rosyjskiej. Urodził się w Warszawie w rodzinie żydowskich artystów. Uczył się w klasie fortepianu Józefa Turczyńskiego w stołecznym konserwatorium. Upatrywano w nim kandydata do polskiej reprezentacji na konkurs chopinowski. Te plany zniweczył wybuch wojny. Wajnerberg uciekł do ZSRR. W 1941 r. w Mińsku ukończył studia kompozytorskie. Dzięki pomocy Dymitra Szostakowicza w 1943 r. osiedlił się z rodziną w Moskwie. Pisał muzykę dla teatru, radia, cyrku, filmu. Obraz „Lecą żurawie” z jego muzyką w 1958 r. zdobył Złotą Palmę w Cannes. Jego dorobek w muzyce poważnej obejmuje m.in. 26 symfonii, 17 kwartetów smyczkowych, siedem oper i dzieła wokально-instrumentalne do wierszy m.in. polskich poetów: Mickiewicza, Staffa, Tuwima.

Jednym z często podejmowanych przezeń motywów były wojna, okrucieństwa, jakie zgotował ludziom wiek XX. Podtyktował mu to tragiczny los bliskich: rodzice i siostra zginęli w niemieckim obozie w Trawninkach. W 1968 r. napisał operę „Pasażerka” do libretta Aleksandra Miedwiediewa, opartego na autobiograficznej prozie polskiej pisarki Zofii Posmysz, byłej więźniarki Auschwitz i Ravensbrück. Produkcję już w trakcie prób wycofano na rozkaz Kremla. Temat odpowiedzialności za hitlerowskie zbrodnie w obozach zagłady okazał się ryzykowny w Kraju Rad, w którym jeszcze długo po wojnie istniały gulagi.

Opera „Pasażerka” blisko 40 lat przeleżała na półce. Dopiero w 2006 r. doczekała się wykonania koncertowego w Moskwie. W 2010 r. brytyjski reżyser David Pountney pierwszy na świecie wystawił wersję sceniczną. Premiera odbyła się na festi-



ADAM CIEŚIELSKI

walu muzycznym w austriackiej Bregencji, zaraz też dzieło pokazano w Teatrze Wielkim w Warszawie, potem m.in. w English National Opera w Londynie i Opera Real w Madrycie. Była to kooperacja, wspierana przez Instytut Adama Mickiewicza. Ta instytucja wspomogła również pierwszą rosyjską inscenizację opery Wajnerberga Teatru Opery i Baletu w Jekaterynburgu w 2016 r. Twórcom

spektaklu z amerykańskim reżyserem Thaddeusem Strassbergerem umożliwiono zwiedzenie obozu Auschwitz, a także spotkanie z Zofią Posmysz w Warszawie. W Jekaterynburgu zaś wyświetlono nagrodzony w Cannes i na innych festiwalach film „Pasażerka” Andrzeja Munka z 1963 r.

W uralskim mieście dzieło Wajnerberga pokazywano 19 razy i nadal jest ono w stałym repertuarze. W połowie marca już po raz drugi można je było oglądać w Moskwie na gościnnych deskach Teatru Bolszoi. Realizacja jest bowiem aż w czterech kategoriach nominowana do Złotej Maski, prestiżowej rosyjskiej nagrody teatralnej. Przedstawienie obserwowałem wśród kompletu publiczności, która wybrała trudną tematycznie operę, zamiast śledzić przebieg odbywających się tego samego dnia wyborów prezydenckich. Śledzimy losy Lisy, byłej esesmanki (w tej roli Nadieżda Babincewa), która na transatlantyku do Brazylii dostrzega swoją dawną więźniarkę, hardą Polkę Martę (Natalia Karłowa), której nie zdołała złamać. Niemka obawia się konfrontacji i wspomnień, ale wyrzutów sumienia nie odczuwa.

Zapis niosącego ważny, wciąż aktualny, przekaz spektaklu o sprawcach i ofiarach niemieckich obozów śmierci staraniem jekaterynburskiego teatru i IAM właśnie ukazał się na DVD. Nagranie wydane przez firmę Dux jest dostępne nie tylko w Rosji i Polsce, lecz trafia również do sklepów muzycznych na całym świecie.

Mieczysław Wajnerberg, „Pasażerka”,
pokaz w Teatrze Bolszoi w Moskwie:
18 marca 2018 r., koprodukcja spektaklu:
Instytut Adama Mickiewicza

„The Passenger”,
DVD, wyd. Dux,
partner wydania: Instytut
Adama Mickiewicza

Czytanie jako sp

Szamanka

Wojciech *Stanisławski*

Lekcja awangardy jest do odrobienia dla każdego, kto nie chce złożyć broni w toczonych dziś wojnach kulturowych



Dla wielu polskich czytelników pierwszym, owocnym skutkiem tej lektury będzie zmiana perspektywy. Bo nie ma się co oszukiwać, przez lata była Leonor Fini drugoplanową bohaterką wielkiej opowieści o polskiej emigracji powojennej. Partnerka Kota Jeleńskiego – a jak Jeleński, to wiadomo, krąg „Kultury”, Gombrowicz, i rysunki Czapkiego, i nawet 1. Dywizja Pancerna gen. Maczka, i młody „Kot” w wieżyczce czołgu, jak w wierszu Zagajewskiego. Paryski adres Jeleńskiego i Fini, „rue de la Vrillière”, pobrzękuje szklano w dwóch tuzinach szkiców, epitafiów i wspomnień, aż wyda się bez mała kolejnym punktem na mapie „polskiego Paryża”, gdzieś między ośrodkiem pallotynów na rue Surcouf a księgarnią polską przy Boulevard Saint-Germain.

Lektura „Gattory” pozwoli w lekki, ożywczy sposób zmienić tę perspektywę, jakby ktoś odwrócił nam przyciśniętą zbyt mocno do oczu lornetkę, każąc spojrzeć w szkła z drugiego ich końca. Leonor Fini, z triesteńskiej matki i ojca Argentyńczyka, malarka, designerka, wizjonerka jest częścią innej, wielkiej opowieści, snutej między Rzymem, Paryżem

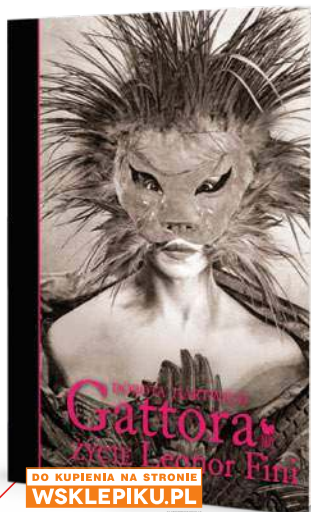
a Nowym Jorkiem, opowieści, której bieg wyznaczają takie nazwiska jak podręcznikowi i zbanalizowani Dali, Picasso, Giorgio di Chirico, Max Ernst, ale obok nich, na równych prawach, nieznany w Polsce, a jeden z najbliższych Fini André Pieyre de Mandiargues czy Elsa Schiaparelli, lecz i setki innych: indeks nazwisk puchnie, aż chciałoby się powiedzieć: „Na bukwu B: Balthus, Breton...”

Zbuntowana, wielkooka Fini na dobre trafiła do świata europejskiej awangardy w wieku dwudziestu czterech lat, by stać się tam gwiazdą pierwszej wielkości, dzieląc uniesienia, fascynacje, skandale i histerie z największymi, przypisywana przez historyków sztuki do czołówki surrealistów, choć sama dystansowała się do jakiejkolwiek formacji. Długowieczna, wiecznie młoda, była na pierwszej linii przez kolejne pół wieku, pozostawiając za sobą kolejne izmy, niepokojąca i ptasia. Młodszy piętnaście lat Kot Jeleński, odkrywca Gombrowicza, erudyta ze splątanym rodowodem i tożsamością, pasował do niej doskonale; ale Dywizja Pancerna Maczka? Leonor mogła zerknąć raz i drugi z rozbawieniem na zdjęcie młodego Konstantego w battle dresie, skojarzyć, że sama spędziła ten czas między Arcachon, Bordeaux, Monte Carlo a Rzymem, ale wpisywanie jej w krąg muz „Kultury” byłoby równie daremne jak pocieszne. Na szczęście poradzą sobie bez tego i Giedroyc, i Gattora.

Opowieść o Fini nie jest, by ująć to oględnie, łatwa ani oczywista dla czytelników o bardziej tradycyjnych przywiązaniach. Tyle że to opowieść sprzed stu bez mała lat, więc odległa jak freski pompejańskie, i korowody kochanków, kochanek, trój- i wielokątów, piór, peruk i plumaży bawia, nie gorszą. Owszem, daje do myślenia, jak anachroniczni bywają dzisiejsi postępowcy: wszelkie te „transgresje”, „fascynacje cielesnością” i „poszukiwania odmienności”, które uczennice „prof. Misi” wdrukowały legionowi dzisiejszych kuratorów, krytyczek i „aktywistów miejskich”, praktykowano, z ileż większym rozmachem, przed wiekiem: wtedy rzeczywiście wymagały odwagi. Późniejsze sto lat skandale wydają się jak rozwodnione w homeopatycznych dawkach: pyszny opis prokurowanych przez Leonor przebrań („Beaton w szarościach i błękitach, kostium jakby w nieładzie, uszyty

z poszarpanej tkaniny, z doczepioną słomą [...] na głowie, ramionach i przy nogach siedzą sztuczne czarne kruki”) oszczędza wielu zdumień dzisiejszymi pokazami mody.

A inna rzecz, że lekcja awangardy jest do odrobienia dla każdego, kto nie chce złożyć broni w toczonych współcześnie wojnach kulturowych. Dzisiejsze nowalijki trwożące niejednego nie biorą się znikąd: będzie ich więcej, jest na nie sezon; Dionizos nadchodzi, jak pisał Miłosz w wierszu na stulecie prapremiery „Święta wiosny”. Dość przyrzyć się głośnym/groźnym filmom ostatnich sezonów, od „Pokotu” Agnieszki Holland, przez „Wieżę. Jasny dzień” Jagody Szcel, aż po kolejne dzieła Małgorzaty Szumowskiej: lektura opowieści o maskach i histeriach Leonor więcej powie nam o ich genezie niż ploteczki o dotacjach PISF. Tymczasem an-



Dorota Hartwich, „Gattora. Życie Leonor Fini”, wyd. Iskry, 2018

tologie surrealistów przekładanych przez Ważyka poniewierają się gdzieś na zaplecach warszawskich antykwariatów.

Mam nadzieję, że „Gattora” długo nie podzieli ich losu. Iskry mają szczęśliwą rękę do biografii, ale nawet w ich dorobku „Życie Leonor Fini” jest pozycją wyjątkową. Czekam na kolejne książki pióra Doroty Hartwich: do jej manieri pisarskiej trzeba się przyzwyczaić, budowanie z setek wspomnień, relacji, fragmentów listów ubitej z tych strzępków jak filc, pisanej w praesens opowieści łączącej naśladowanie monologu wewnętrznego malarki z wszechwiedzą narratora chwilami przypominało mi szarże stylistyczne autorki „Jaśniepanicza”, ale żywot Fini – pierwszy chyba tak obszerne nie tylko w Polsce, lecz i na świecie – dzięki temu został odtworzony wdzięcznie i wiernie.

Zegar metafizyczny

Tango śmierci” to odważny tytuł, przywodzi na myśl już to powieści grozy sprzed wieku, już to prozę milicyjną Zygmunta Zeydlera-Zborowskiego, a po lekturze pierwszych kilku rozdziałów trudno się uwolnić od podejrzenia, że trafiliśmy na jeszcze jedną rzewną opowieść o przedwojennym Lwowie.

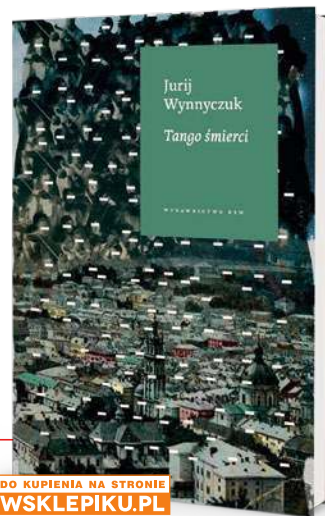
Nostalgia lwowska jest bowiem wyraźnie cieplejsza w tonie od tęsknoty za Wilnem czy Pińskiem i książka Jurija Wynnyczuka stwarza wiele możliwości, by się w niej plawić: sielanka dzieciństwa pobrzmiwa „Zegarem słonecznym” Parandowskiego, świetny fragment o zapachach miasta (pampuchy, papryka, smalec gęsi, fiołki i konfitury z róży), odgłosach miasta (turkot wozów, dzwonki tramwajów, szcęk fiaków, trzask okien) i plemionach miasta (handelesowie, Huculi, druciarze-Łemkowie, Żydówki-preclarki, „wāsaci chłopię z Korczewa na Podlasiu obwieszani cebulą”, piaskarze, ptasznicy i Bojkowie z jabłkami) jest jak z niezrównanego eseju Józefa Wittlina „Mój Lwów”.

Takich powieści powstało już tyle, że można mówić o „jagiellońskim kiczu”: lepszy taki kicz niż wzajemne urąga-

nia, ale opowieść o czterech chłopcach pólśierotach dorastających w latach międzywojnia, synach Ukraińca, Polaka, Niemca i Żyda, którzy zginęli za wolną Ukrainę w walce z bolszewicką konnicą Kotowskiego, z początku wydaje się bardziej budująca niż frapująca. Ot, jeszcze jedno literackie świadectwo tęsknoty za Rzeczpospolitą Wielu Narodów; dobrze, że wychodzą one nie tylko spod polskiej ręki.

Na szczęście jednak prostolinijna okazuje się tylko pierwsza warstwa powieści. Wynnyczuk zwodzi nas aż miło, z początku prowadzi borgesowskimi ścieżkami, przedwojenne Ossolineum zmienia się w Bibliotekę Babel, współczesne poszukiwanie XVI-wiecznego rękopisu okazuje się zaś trochę z Eco, trochę z Wiktora Pielewina, a trochę z Milorada Pavicia, podczas gdy na trzecim planie rumiany i romansowy Lwów szykuje się na katastrofę, na podwójne oblężenie we wrześniu 1939 r. i wkroczenie do miasta plemienia Bandarlogów w szarych szynelach, jak zechciał określić Sowietów wielki obywatel Lwowa Hugo Steinhaus.

Wszystkie te ścieżki czasu perfekcyjnie się zbiegną i zderzą w ostatnich



Jurij Wynnyczuk, „Tango śmierci”, przekład: Bohdan Zadura, Kolegium Europy Wschodniej, 2018

rozdziałach, „Tango śmierci” zostało skomponowane z klasą, nawet jeśli pod koniec odrobinę przyspiesza. Można je czytać jako świadectwo żywej na współczesnej Ukrainie potrzeby poznania i przyswojenia całej wielowiekowej przeszłości, nieograniczonej do wąsko wypręparowanych „kozackich” czy „banderowskich” wycinków. Można jednak również sięgnąć po nie z nadzieją na to, co oferują wszystkie naprawdę dobre powieści świata, czyli na historię o tęsknocie i miłości.



Telewizja/VOD

Upadek legendy



Ten skandal wstrząsnął amerykańskim sportem. A nawet czymś więcej. Futbol to dla

Amerykanów przecież świecka religia. Joe Paterno, nazywany pieśzcotliwie JoePa, był trenerem i kierownikiem akademickiej drużyny Penn State przez ponad 60 lat. Miał swój pomnik przed stadionem i był powszechnie uznawany za jednego z trenerów wszech czasów.

Wszystko legło w gruzach w 2011 r., gdy okazało się, że jego asystent Jerry Sandursky przez ponad 15 lat molestował seksualnie nieletnich członków klubu. Został skazany na 60 lat pozbawienia wolności, czyli w jego przypadku dożywocie. Jak wynikało z artykułów młodziutkiej dziennikarki Sary Ganim z „The Patriot News” (dostała za swoje reportaże Pulitzera), jednym z tych, którego zaniechania pozwalały ukryć przypadki molestowania, był JoePa.

Al Pacino stał się na stare lata specjalistą od portretowania mrocznych postaci w filmach HBO, gdzie tworzy dziś swoje najwybitniejsze role. Upadek Paterna widzimy w jego własnym domu. W konfrontacji z rodziną, która jest dla niego wsparciem. Prawnym i osobistym. Oni również muszą zadać sobie pytania: czy Joe wiedział o molestowaniu nieletnich? Czy sam siebie przekonał, że zrobił wszystko, by zrzu-

cić z siebie winę? Paterno wiedział o postępowaniu Sandursky'ego. Przekazał informacje dyrektorowi sportowemu uczelni. Tam ona utknęła. Formalnie dopełnił procedur. A moralnie?

Zamknął oczy na krzywdę dzieci, choć jego własne pociechy przez lata również bawiły się z oskarżonym o pedofilię trenerem. Pacino bardzo subtelnie pokazuje emocjonalne tornado, jakie przechodzi we wnętrzu Joe. W ciągu kilku dni mierzy się z upadkiem własnej legendy, ale też narastającym wstydem przed rodziną. Fanami. Światem. Zakłopotanie, wstyd, gniew, zwątpienie – ten gigant ekranu bez słów, samym gestem i grymasem, potrafi uzewnętrznić uczucia targające upadającym na oczach świata trenerem.

Jego świat w ciągu kilku dni rozsypał się jak domek z kart. Ukochana drużyna i uczelnia, którym poświęcił ponad pół wieku życia, zostały ukarane przez NCAA – sportowy związek akademicki. Ostatecznie usunięto nawet pomnik Paterna sprzed stadionu. JoePa zmarł na raka zaledwie trzy miesiące po wybuchu seksafery. Futbol był rzeczywistością całym jego życiem. Ostatecznie poświęcił dla niego własną duszę.

„PATERNO” REŻ. BARRY LEVINSON, FILM JEST DOSTĘPNY HBO I HBO GO

DVD

Chrześcijańska komedia romantyczna



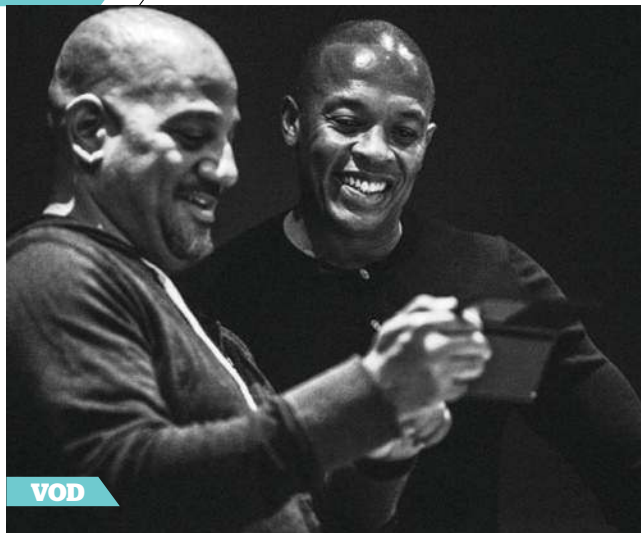
Czy czekanie z seksem do ślubu może w dzisiejszych czasach uchodzić za coś normalnego? Czy zbytne pielęgnowanie moralnego radykalizmu nie pcha w objęcia poczucia wyższości? W pełni autorska produkcja Rika Swartzweldera jak na film z gatunku „christian movie” przystało, subtelnie odpowiada na te pytania.

Czystość, skromność, wierność – tymi cechami charakteryzuje się Clay. Po porzuceniu hedonistyczno-imprezowego życia ze studenckich kampusów stara się ułożyć sobie życie na prowincji. Poznaje tam Amber (Elizabeth Ann Roberts). Oboje mają zranione dusze. Oboje zbudowali wokół siebie mur odgradzający ich od świata. Czy zderzenie chrześci-



jańskiego radykalizmu Claya i zagubienia Amber może się przerodzić w miłość? Swartzwelder walentynkowe serduszka wypełnia moralnymi rozważaniami o cielesności, duchowości i granicach szukania odkupienia. Pokrzepiająca protestancka popkulturowa katecheza.

„OLD FASHIONED” REŻ. RIK SWARTZWELDER, DYSTR. KONDRAT MEDIA



Ikony popkultury

Czteroodcinkowy serial „The Defiant Ones” to nie tylko gratka dla fanów najważniejszego hip-hopowego producenta ostatniego ćwierćwiecza Andre’a Younga znanego jako Dr. Dre oraz stojącego za sukcesami takich gigantów jak U2, Tom Petty, Stevie Nicks czy Bruce Springsteen Jimmy’ego Iovine’a. Ten serial to również kawał historii pop-

kultury oraz opowieść o amerykańskim śnie. Ziszczeniu mitu „od pucybuta do milionera”. W tym wypadku miliardera.

W 2017 r. Dr. Dre stał się pierwszym hip-hopowym miliarderem dzięki interesom z Apple’em. Za – uwaga! – 3,2 mld dol. kupił jego firmę Beats, która zajmuje się produkcją drogich i podobno najlepszych na świecie słuchawek. Współtwórcą założonej w 2008 r. marki jest właśnie Iovine. Wychowany w nowojorskiej Hell’s Kitchen szturmował w latach 70. do muzycznego przemysłu u boku samego Johna Lennona.

Jak połączyły się losy Younga, który przeszedł drogę od dzieciaka z getta w kalifornijskim Compton do producenta stojącego za karierami m.in. Eminema, Snoop Dogga, 50 Centa i legendarnego w świecie rocka Iovine’a? Dre wyrósł z gangsta rapu, którego jest ojcem chrzestnym. Wraz z inną legendą tego gatunku, Ice’em Cube’em, założył N.W.A., który przemiełował całą scenę amerykańskiego rapu. Young to perfekcionista i piekielnie zdolny muzyk, który od lat 80. zdumiewał pomysłowością eksploatacji eklektyzmu czarnej muzyki.

Nie jest to dokument wyłącznie z „gadającymi głowami” śmietanki show-biznesu. Twórcy serialu dotarli do nieznanych archiwalnych nagrań z pracy Iovine’a i Dr. Dre. Pozwalają wejść za kulisy pracy z największymi artystami zarówno rapu, jak i rocka. Oglądamy też początki rapu z Zachodniego Wybrzeża. Z bliska, oczami ikon tego gatunku. Siłą produkcji jest również szczerść obu muzyków. Opowiadają o cenie za sukces zawodowy w prywatnym życiu. Dre mówi o śmierci bliskich mu osób, alkoholizmie i przemoc.

Pomysłowo zmontowany „The Defiant Ones” przeprowadza nas przez cztery dekady rozwoju muzyki, od płyty winylowych aż po dyktaturę MP3 i internetu. Fascynująca podróż.

„THE DEFIANT ONES” JEST DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

Ten film rozsadza głowę

Długo czekałem, by jeden z najbardziej wstrząsających filmów, jakie widziałem w życiu, trafił ponownie do dystrybucji w Polsce. „Ładunek 200” zmarłego przedwcześnie Aleksieja Bałabanowa długo po seansie rozsadzał mi głowę. Nikt tak dosłownie, bezkompromisowo i radykalnie nie pokazał zgnilizny rozkładającego się w latach 80. Związku Radzieckiego. To rozkład społeczny, moralny. Rozkład ludzki. Aktorzy, dla których Bałabanow napisał role, odrzucili scenariusz.

Film z 2007 r. wywołał w Rosji gigantyczne kontrowersje. A przecież ta historia wydarzyła się naprawdę w po-



nurej mieścinie Leninsk w 1984 r. „Ładunek 200” to wojskowy termin transportu ciał żołnierzy poległych na froncie. U Bałabanowa, który służył w Afganistanie, tymi zwłokami jest cały przedpierestrojkowy komunistyczny „raj”. Cuchnący, rozkładający się, piekielny.

Zresztą wątek religijny w tej do bólu realistycznej wizji jest niezwykle ważny. To znamienne, że najciekawsze filmowe religijne traktaty przychodzą dziś z naszej wschodniej granicy.

„ŁADUNEK 200”
JEST DOSTĘPNY NA SHOWMAXIE

Tożsamość Europy a imigracja muzułmańska

Tekst wystąpienia na konferencji „Christianitas a przyszłość Europy”, Kraków, 16 marca 2018 r.



BRONISŁAW WILDSTEIN

I Sam akt wyróżnienia przybyszy pod względem religijno-kulturowym i naznaczanie ich poprzez wskazywanie ich takiego właśnie rodowodu budzić powinien – i budzi – nie tylko wątpliwości, lecz i sprzeciw. To przecież stygmatyzowanie określonej grupy przybyszy, co prowadzić może do ich wykluczenia z harmonijnej, wielokulturowej wspólnoty, w jaką przekształca się, a w każdym razie przekształcić się powinien, nasz świat. A jeśli tak się nie dzieje, to wyłącznie z winy tych, którzy naznaczają, a więc i wykluczają, dzielą i odrzucają. Uwięzieni w swoich przednowoczesnych kłatkach myślenia nie potrafią zrozumieć, że różnice religii i kultur nie muszą zakłócać harmonij-

nego bytowania ich przedstawicieli, i to oni są jedyną przeszkodą w spełnieniu się wielokulturowej utopii nowej cywilizacji.

Podejście takie, co widać na pierwszym rzut oka, oznacza dość lekceważący stosunek do kulturowo-religijnych odmienności, a więc cywilizacji jako takiej. Skoro różnice między jej formami tak łatwo uzgodnić, wynika z tego, że są one w gruncie rzeczy powierzchowne i mało znaczące. A ponieważ kultura funkcjonuje wyłącznie w swoich partykularnych wariantach – co nie znaczy, że nie mogą się one ze sobą porozumieć i przenikać – podejście owo zakłada, że znaczy ona niewiele więcej niż kuchnia, kostium czy towarzyska konwencja. Ewentualne napięcia, które ich zróżnicowanie może powodować, muszą być – zgodnie z referowanymi założeniami – wyłącznie efektem braku tolerancji i otwartości, czyli złej woli. Przecież różne ubiory, sposoby podawania posiłków czy gesty powitania doskonale mogą współegzystować. W przeszłości, owszem, cywilizacyjne odmienności bywały źródłem wrogości oraz krwawych konfliktów, ale wynikało to z niedojrzałości uwikłanych w nie ludzi i przypominało straszną wojnę krain Li-

Z perspektywy dominującej dziś na Zachodzie, a zwłaszcza w Europie, liberalno-lewicowej ideologii imigracja muzułmańska nie powinna stanowić żadnego problemu

liputów i Blefusu o to, z którego końca należy rozbijać ugotowane jajko. Wraz z postępowaniem nauczyliśmy się, że to sprawy nieważne i łatwe do pogodzenia.

Wprawdzie nawet wyznawcy dominującej ideologii mogą się zgodzić, że przybycie wywodzącej się z odmiennej cywilizacji dużej grupy imigrantów prowokuje czasowe problemy, ale są przekonani, że rozwiązanie ich jest wyłącznie efektem dobrania odpowiednich metod inżynierii społecznej. Należy wykazać się dobrą wolą w podejściu do przybyszy, oferować im rozbudowaną opiekę społeczną, hojne zasiłki oraz, przede wszystkim, wspomaganie psychologiczne i psychoterapeutyczne. Drugą stroną tych zabiegów powinna być intensywna kampania wymierzona w postawy nietolerancyjne i ksenofobiczne, czyli tych, którzy wskazują zagrożenia wiążące się z prowokowanymi w ten sposób cywilizacyjnymi antagonizmami.

Jeśli po latach okazuje się, że wysiłki te nie przyniosły nie tylko oczekiwanych efektów, lecz często wydają się przeciwnie skuteczne, to z perspektywy swoich ideologicznych wyznawców oznacza tylko, że zastosowane zostały w zbyt małym zakresie i należy je wzmocnić i rozbudować. Przynoszą





Fot. Wojtek Lisak/EuroNews

odwrotne wyniki? Widocznie niedostatecznie je stosowano. I, przede wszystkim, nie położono właściwego nacisku na walkę z ksenofobią, nietolerancją czy wręcz rasizmem, za który uznawane jest np. wskazywanie znaczenia kulturowych różnic. Innymi słowy, wina zawsze leżeć będzie po stronie Europejczyków. A odpowiedzią na to będzie cenzura – naturalnie wyłącznie wobec niewłaściwych, ze strony ustalających normy, wypowiedzi – i restrykcje prawne w stosunku do tych, którzy uznawaliby, że polityka otwartych bram wobec obcych kulturowo imigrantów kreować może nieobliczalne w skutkach konsekwencje.

II

Lewicowo-liberalna ideologia ma wiele mniej lub bardziej świętych ksiąg, ale łatwo ją z nich wyluskać. Można to także zrobić, analizując kulturę masową, która stała się jej wehikulem, a także przyglądając się praktyce politycznej UE i głównych jej krajów. Stosunek do muzułmańskiej imigracji jest doskonałym jej wyrazem.

Właściwe dla zachodniej kultury podmiotowe traktowanie osoby ludz-

kiej zostaje w nowej ideologii hiperbolizowane i przekształca się w paradoks, gdyż prowadzi do uznania jednostki ludzkiej za wręcz samoistną monadę, która wprawdzie występuje w kulturowym przyrodziewku, ale nie niesie to dla niej żadnej istotowej konsekwencji. Zgodnie z tym założeniem przyjmowanie dowolnie wielkich, cywilizacyjnie odmiennych grup imigrantów nie musi prowadzić do żadnych poważniejszych, a w każdym razie trwalszych napięć. Jeśli pojawiają się one, to wyłącznie jako łatwe do przewyciężenia atawizmy. Przecięż przybysze, bez względu na to z jakiej kultury, muszą odkryć wyższość proponowanego im nowoczesnego modelu, w którym jako wolne i niezwiązane niczym poza kontraktowymi zasadami otwartości i tolerancji indywidua będą mogły się dowolnie samorealizować. Nowa ideologia oferuje im emancypację z wszelkich dotychczasowych struktur, co w założeniu jej propagatorów oznaczać ma doskonałą wolność. Przewyciężone w ten sposób kultury mają funkcjonować wyłącznie jako rodzaj folkloru.

Ponieważ najsilniejsza w Europie jest jej własna chrześcijańska tradycja, masowa imigracja innej religii

ułatwić może naszemu kontynentowi wyzwolenie się ze swojej tradycyjnej formy, która, w myśl panującej doktryny emancypacji, traktowana jest jako ograniczenie. Stąd ostrze ataku dominującej ideologii wymierzone jest w nią właśnie. Nie sposób nie zobaczyć w tej postawie również resentymentu, który przejawia się w rodzaju ojkofofii, nienawiści do tego, co swoje. Pierwszym krokiem emancypacji ma być wyzwolenie się z własnej tradycji. Można odnieść wrażenie, że w dominującej dziś w Europie narracji największym nieszczęściem, jakie przydarzyło się ludzkości, była stworzona przez nią cywilizacja, źródło kolonializmu, faszyzmu, nacjonalizmu i innych dręczących świat plag, od których nowa ideologia otwartości i tolerancji ma go wyzwolić. To, że ideologia ta jest dziedzicem europejskiej kultury – prawym czy nieprawym: to zostawmy na inne rozważania – nie prowokuje rzeczników nowego wspaniałego świata do refleksji. Inna sprawa, że w ogóle niewiele rzeczy ich do tego skłania.

Dlatego stosunek europejskiego establishmentu do chrześcijaństwa, a zwłaszcza katolicyzmu, jest zdecydowanie gorszy niż do innych religii, które trafiają na nasz kontynent. Formalnie są one chronione zgodnie z oficjalną doktryną jako słabsze, gdyż mniejszościowe. W rzeczywistości jednak są faworyzowane jako instrument służący rozbiciu tradycyjnego europejskiego porządku. Resentymentalna ojkofofia nie pozwala dostrzegać samobójczego charakteru tych działań. W dalszej perspektywie bowiem islam stanie się – już tak się dzieje – doktryną szczególnie wrogą europejskiemu lewicowemu status quo.

III

Muzułmańska imigracja stała się testem na prawdziwość dominującej w Europie ideologii. Można przyjąć, że zdążyła już sfalsyfikować ją ze szczętem. W różnych krajach stosowano odmienne metody radzenia sobie z nią, choć wszystkie one mieściły się w doktrynalnym kanonie. Zawsze zawodziły. Postawę europejskiego establishmentu zmieniło to w małym stopniu. Pamiętającym życie

w komunistycznym systemie musi narzucać się tu analogia ze stosunkiem jego elit do kolejnych aktów jego kompromitacji. Odpowiedzią było domaganie się więcej tego samego.

Podobieństwo to odsłania głębszy mechanizm. Ideologia to zwarty system wyjaśnienia wszelkich zjawisk społecznych, uznanie ich politycznego rodowodu i w konsekwencji przyjęcie, że istnieje jeden model uporządkowania ich w doskonałym kształcie, który zapewni możliwą do osiągnięcia pełnię rodzaju ludzkiego. Tak rozumiana ideologia zawsze uzasadnia władzę swoich rzeczników. Musi zakładać, że niedoskonałość ludzka jest efektem błędów istniejących dotąd cywilizacji. W innym przypadku musiałaby pogodzić się z fundamentalną ułomnością rodzaju ludzkiego i zrezygnować ze swojej podstawowej, utopijnej dominaty.

Jeśli jednak defekty człowieka są wynikiem błędów cywilizacji, która go dotychczas determinowała, to wyzwolenie muszą zapewnić mu ci, którym udało się już z niej wyemancypować. Czy będzie to ideologia komunistyczna, nazistowska, czy liberalna, zawsze do czynienia mamy z tym samym fenomenem. Zawsze jest ona legitymacją władzy jej kapłanów, którzy w przeciwieństwie do swoich religijnych odpowiedników nie mają już nad sobą Boga. Nic dziwnego, że to oni do ostatka bronić będą uzasadniającego ich władzę kreda. Inna sprawa, że również oni w najmniejszym stopniu ponoszą konsekwencje błędów swojej doktryny. W gospodarce niedoboru ich potrzeby zaspokojone były w specjalnych sklepach. W dzisiejszej Europie to nie oni mają kłopoty z imigrantami. Ich świat jest w dużej mierze wydzielony. Żyją w osobnych, dobrze strzeżonych osiedlach, przemieszczają się w chronionej przestrzeni, jadają w drogich, niedostępnych imigrantom restauracjach. Nie mają z nimi kontaktu, więc w przeciwieństwie do zwykłych obywateli dużo bardziej stać ich na tolerancję. Ich kulturowe środowisko pozostaje stosunkowo nietknięte. Aż do momentu, kiedy się zawali wraz z całą obecną Europą.

IV

Blisko pół wieku eksperymentu otwarcia na muzułmańską imigrację jest chyba najbardziej uderzającym dowodem klęski liberalnej ideologii. Przybysze w swojej masie nie chcą się asymilować. Odmawiają przyjęcia nie tylko dominującej kultury, lecz również tradycyjnych form europejskiej tożsamości. Inna sprawa, że atakowana i w odwrócenie nie wydaje się atrakcyjną propozycją dla przybyszy. Można tłumaczyć to – i taka interpretacja obowiązuje – że przyczyny owej porażki są ekonomiczno-społeczne, a główna odpowiedzialność spoczywa na rasizmie i ksenofobii. Gdyby jednak wbrew faktom przyjąć takie uzasadnienia, winna dawać do myślenia trwałość owych po-

Imigracja stała się testem na prawdziwość dominującej w Europie ideologii. Można przyjąć, że zdążyła już sfalsyfikować ją ze szczętem

staw funkcjonujących wbrew twardej tresurze, która aplikowana jest mieszkańcom naszego kontynentu. Okazuje się, że istota ludzka, do której odwołuje się ideologia liberalna, nie chce zaistnieć ani pośród przybyszy, ani mieszkańców Europy. Realny człowiek nie jest abstrakcyjnym, indywidualnym bytem, ale określa go zbiorowa, kulturowa forma. Może się on jej wyrzec i zstąpić ją inną, ale to trudne, wręcz dramatyczne przedsięwzięcie. Cywilizacja, do której przybysze mieliby się asymilować, musi być atrakcyjna, a więc i silna.

Niczym takim nie jest współczesna Europa. Stała się ona miejscem eksperymentu, który polega na rozmontowaniu jej tradycyjnej tożsamości, aby zastąpić ją swoim przeciwieństwem, jakim jest lewicowo-liberalna doktryna. Ta z kolei ufundowana została wyłącz-

nie na negacji, tzn. na zakwestionowaniu tradycyjnych, a więc znanych nam, porządków. Zamiast nich oferuje utopię uwolnionej od wszystkiego jednostki, która staje się skazanym wyłącznie na hedonizm niezakorzeniony w niczym bytem. Wprawdzie ideologia ta posługuje się tradycyjnymi pojęciami etycznymi, ale zostały one wydrążone z treści i odwrócone przeciwko swojemu elementarnemu znaczeniu. Zjawisko to obserwować możemy w czystej postaci przy okazji debaty o muzułmańskiej imigracji.

Jej liberalno-lewicowi obrońcy posługują się językiem moralnym. Pomoc potrzebującym miałaby być naszym elementarnym obowiązkiem. Tyle że jeśli mówimy o rzeczywistości społecznej, podstawową cnotą, która umożliwia właściwe do niej podejście, jest roztropność. To odwołując się do niej, widzimy, że pomoc realnie potrzebującym trzeba stosować tam, gdzie jest ona najbardziej niezbędna i efektywna, czyli w miejscu ich zamieszkania. Nie należy przyjmować mas zwykle młodych mężczyzn, przedsiębiorczych i silniejszych niż pozostali z ich narodu, ale pomagać tym w rzeczywiste tragicznych warunkach, na miejscu klęski. Co więcej, pomoc taka jest wielokrotnie skuteczniejsza i mogłaby uratować życie oraz uczynić je znośniejszym naprawdę wielu ludziom.

Rzeczywiście Europa jest bogatsza, bezpieczniejsza i ciągle wygodniejsza do życia niż ogromna większość świata. Jeśli ogłosi swoją otwartość i gotowość przyjęcia wszystkich, to wkrótce nie tylko nie będzie bogatsza ani bezpieczniejsza, ale w ogóle jej już nie będzie. Duże masy imigracji muzułmańskiej, które nie chcą się asymilować, coraz bardziej otwarcie domagają się przyjęcia ich porządku cywilizacyjnego, który jest radykalnie odmienny od tradycji naszego kontynentu.

Większość Europejczyków w sposób naturalny chce zachowania swojej tożsamości. Czy nie wolno im bronić swojego kulturalnego środowiska? Czy opętana resentymentem mniejszościowa elita ma prawo zniszczyć cywilizację, na której pasożytuje? 



Fot. Andrzej Świączyński

Holokaust: w poszukiwaniu prawdy

Z prof. **Janem Rydlem**, znawcą stosunków polsko-niemieckich i konfliktów zbrojnych w XX w.,
rozmawia Piotr Ślabeł

Trwa bardzo gorąca dyskusja na temat współdziału Polaków w Holokaucie. Panie profesorze, czy są jakieś niemieckie świadectwa historyczne na ten temat?

Jan Rydel: Szczerze mówiąc, w ogóle nieznane mi są niemieckie dokumenty, które mówią o pomocy Polaków Niemcom w czasie „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”. Nie wykluczam, że coś na ten temat mogło się pojawić w jakimś lokalnym kontekście, ale w znanych mi, przeglądowych dokumentach niemieckiego wywiadu wojskowego na temat polskiego pod-

ziemia i, szerzej, sytuacji w okupowanej Polsce – dwa z nich powstały w roku 1944 i jeden w 1945 – nie ma mowy o polskim antysemityzmie jako o czymś, co zostało wykorzystane lub mogło zostać wykorzystane przez Niemców.

Ciekawy jest zwłaszcza ten ostatni dokument, który określam jako raport Gehlena. Chodzi o gen. Reinharda Gehlena, bardzo doświadczonego oficera wywiadu, świetnie zorientowanego w sprawach frontu wschodniego i jego zaplecza. Otóż nie ma w tym raporcie wskazówek,

aby kwestia stosunku do Żydów łączyła Niemców i Polaków. To tym ciekawsze, że niemieccy autorzy dostrzegali zjawisko antysemityzmu i interesowali się stosunkiem Polaków do Żydów.

Oficerowie wywiadu niemieckiego skrzętnie odnotowują zatem stosunek poszczególnych polskich ugrupowań i osób do Żydów. Interesują się tym, kto jest pochodzenia żydowskiego, kto jest Żydem w rządzie londyńskim, kto w Komitecie lubelskim, a mimo to nie dostrzegają zjawiska współpracy na polu antysemityzmu.

A właśnie kwestia pozyskania współpracy Polaków, znalezienia jakichś płaszczyzn porozumienia z nimi, bardzo ich zajmowała. Wyliczają, ile razy podejmowali kampanie dla pozyskania sympatii Polaków. Miały one miejsce w 1941 r. w związku z atakiem na ZSRS, potem po odkryciu masowych grobów w Katyniu, a także po klęsce powstania warszawskiego, za którą – po części nie bez racji – winili bezwzględny Stalina. Wszystkie te wysiłki spełzyły na niczym. Polacy byli zbyt „zaślepieni”, jak pisali, wobec władz niemieckich.

Skoro jednak strona niemiecka tak pilnie poszukiwała jakiejś płaszczyzny współpracy z Polakami, to dlaczego nie wykorzystała do tego celu antysemityzmu, jeśli był on – jak teraz zewsząd słyszymy – rzekomo powszechny i zaciekle, a nawet morderczy?

Pewne światło na tę kwestię rzuca fragment raportu Gehlena. To część rozdziału opisującego sytuację przed wybuchem wojny, dotyczącą mniejszości narodowych: „Mniejszości w przedwojennym państwie polskim stanowiły około jednej trzeciej ogółu mieszkańców państwa. Zasadniczo we wszystkich warstwach społeczeństwa polskiego istniała tendencja do asymilowania mniejszości. Tylko wobec Żydów panowała ze strony szerokich kręgów społeczeństwa oraz bloku prawicowo-radykalnego pewna niechęć”.

I teraz najciekawsze: „Jednak w żadnym wypadku nie przybrała ona tak oczywistego i ostrego charakteru jak w niemieckich ustawach żydowskich. Żydzi mieli duże wpływy zarówno w polskim narodzie, jak i w strukturach państwa, Piłsudski nie podzielał żadnych tendencji antysemickich – miał żonę Żydówkę”.

Tak zatem Niemcy oceniają stosunek społeczeństwa polskiego do Żydów: była niechęć, ale daleko jej było do radykalizmu postaw Niemców, jaki odzwierciedlało ustawodawstwo III Rzeszy. To ciekawa sugestia. Prawdę mówiąc – a jestem dość wychulony na te kwestie – nigdy nie słyszałem, aby istniały jakieś niemieckie dokumenty mówiące o tym, że w spra-

wach żydowskich panowała symbioza między Niemcami a Polakami.

Tu trzeba poczynić poważne zastrzeżenie: w badaniach historycznych wnioskowanie na podstawie tego, że źródła o czymś milczą, uchodzi za dość ryzykowne, gdyż milczenie źródła może mieć więcej przyczyn niż tylko nieistnienie zjawiska, które nas interesuje.

Trzeba też zrobić jeszcze jedno ważne zastrzeżenie. To, co tu mówię, nie oznacza naturalnie, że informacje o szmalcownictwie i morderstwach, jakie Polacy popełniali na Żydach, są nieprawdziwe. To, co tu powiedziałem, oznacza tylko (i aż) tyle, że niemieckie władze okupacyjne wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie uznały antyżydowskich postaw, obecnych w społeczeństwie polskim, za wystarczająco rozpowszechnione, intensywne i reprezentatywne, aby budować na nich polsko-niemieckie porozumienie, i to mimo że przynajmniej w ciągu ostatnich dwóch lat wojny takiego porozumienia rzeczywiście poszukiwały. Jak wiemy, w okupowanej Polsce nie było żadnych wyższych administracyjnych, społecznych ani parapolitycznych struktur uznających zwalczanie Żydów u boku Niemców za swój cel. Takie struktury istniały w wielu okupowanych krajach, łącznie z Francją, a także w sojusznicznych krajach Rzeszy, ale nie w Polsce.

A może zachowały się dokumenty lub relacje mówiące o pomocy Polaków okazywanej Żydom?

Jest poszlaka, o której tylko słyszałem, pochodząca od niemieckiego historyka Christiana Gerlacha – dzisiaj profesora historii w katedrze badań nad Holocaustem w Bazylei. Opowiadał kiedyś, że badał akta niemieckich sądów specjalnych w rejonie Lwowa. Był to rodzaj sądów doraźnych, przeznaczonych do sądenia aktów uznanych za wrogie wobec polityki władz okupacyjnych. Gerlach oglądał dokumentację postępowań osób oskarżonych o udzielanie pomocy Żydom. Czytał sentencję wyroku, w której sędzia mówił, że jeżeli nie zwalczymy tej pomocy, jakiej Polacy i Ukraińcy udzielają Żydom, to całe zadanie uczy-

nienia Distriktu Galizien wolnym od Żydów (Judenfrei) będzie zagrożone. Czyli obserwowano tam takie natężenie pomocy Żydom, które subiektywnie uznawano za groźne dla całej misji wyniszczenia narodu żydowskiego.

To jest ciekawa przesłanka świadcząca o tym, że nasze badania nad Holocaustem, nad relacjami polsko-żydowskimi od czasu II wojny światowej są mocno zaniedbane. Słyszałem głosy w czasie toczącego się obecnie polsko-izraelskiego sporu, że trzeba pilnie stworzyć polskie struktury, które będą gruntownie badać te kwestie. Minister edukacji Izraela Naftali Bennett w swojej szeroko nagłośnionej wypowiedzi rzucił liczbę 200 tys. Żydów zamordowanych rzekomo przez Polaków. Inny żydowski historyk współpracujący z Yad Vashem mówi, że skłania się do liczby 50 tys. Żydów wydanych przez Polaków Niemcom.

Problem, a może nawet i dramat, polega na tym, że my nie potrafimy przedstawić innych naukowo uzasadnionych danych ani poważnych szacunków. Nikt w tej chwili nie potrafi powiedzieć, ilu Żydów zamordowali Polacy – bo z pewnością Polacy zamordowali pewną liczbę Żydów. Polacy zamordowali też pewną liczbę Polaków w czasie II wojny światowej – w takich czy innych sytuacjach.

Zamordowali czy wydali?

Oczywiście tutaj trzeba byłoby wprowadzić rozróżnienie, ile osób sami Polacy zamordowali, a ile wydali władzom niemieckim.

W sensie prawnym to nie jest taka błaha sprawa. Proszę sobie wyobrazić, że woźny uniwersytetu w Monachium, który wydał gestapo młodych opozycjonistów z Białej Róży, którzy dostrzegali i piętnowali bezecność reżimu nazistowskiego, był po wojnie z tego powodu sądzony przez sąd zachodnoniemiecki, ale został oczywiście uniewinniony, ponieważ wykonywał ówczesnie obowiązujące prawo, gdyż działalność antyrządowa była z mocy prawa ścigana.

Naturalnie nie radzę naśladować w Polsce skandalicznej hipokryzji niemieckiego sądownictwa, chociaż nie można wykluczyć, że i w okupowanej

Polsce były jednostki, które w ten sposób rozumowały, ale przecież ogół społeczeństwa nie traktował władz okupacyjnych jako źródła prawa ani autorytetu.

Niemniej wszelkie badania nad czynami Polaków, zabójstwami czy innymi formami działań antyżydowskich w czasie II wojny światowej wymagałyby na pewno starannego uwzględnienia różnicy postaw i metod działania. Istnieje – co pragnę powtórzyć – ogromne zapotrzebowanie na poważne, kompleksowe polskie badania nad tą tematyką.

Czy istnieją dokumenty, które mogłyby ułatwić te badania?

Są okolice, gdzie dokumentacja jest nieźle zachowana. Dowodzą tego odpowiednie badania prof. Dariusza Libionki, prof. Jana Grabowskiego, odnoszące się do określonych powiatów. Ostatnio w „Tygodniku Powszechnym” ukazał się obszerny wywiad z prof. Dariuszem Libionką, dotyczący sytuacji w powiecie miechowskim. Obraz wyłaniający się z tego tekstu jest ogólnie bardzo przygnębiający, ale też nie znalazłem w tym artykule niezbędnego oszacowania liczby ofiar, które Polacy wydali lub zamordowali. O ile wiem, nie jest również podana liczba Żydów mieszkających w powiecie miechowskim przed wojną ani liczba ocalałych. Wiem, że to brzmi dość bezdusznie, ale uważam, że dopiero zestawienie tych szacunków pozwoliłoby nam mówić o skali winy Niemców i o stopniu współuczestnictwa Polaków w tragedii polskich Żydów. Naturalnie badania takie powinno się przeprowadzić dla całości terenów okupowanej Polski.

Jest zasadnicza różnica w prawodawstwie III Rzeszy dotyczącym Polski i Europy Zachodniej. U nas za pomoc Żydom groziła kara śmierci, a na Zachodzie nie. Z czego to wynikało?

W krajach Europy Zachodniej, w okupowanej Danii czy w Norwegii, nie było kary śmierci. Szczepnie mówiąc, nie potrafię precyzyjnie wyjaśnić, dlaczego reguły i praktyka postępowania władz okupacyjnych na tym polu były

w Polsce i na wschód od Polski nieporównanie bardziej surowe niż w Europie Zachodniej. Być może skala stosunków demograficznych w Polsce i na byłych ziemiach Rzeczypospolitej wpływała na tę „stanowczość” Niemców. Jak wiadomo, w Polsce było przed wojną nieco ponad 3 mln Żydów. I to był największy procent udziału ludności żydowskiej w ogóle ludności danego państwa w Europie. Zakładam, że Niemcy, nie mając żadnych skrupułów wobec Polaków – do Auschwitz trafiało się np. za nielegalne zabicie świni – zupełnie życia Polaków nie cenili, a zapewne chcieli ich po prostu zastraszyc, bo skala problemu była tu nieporównywalnie większa niż w innych okolicach. O ile wiem, potwierdzonych jest prawie 400 przypadków wyroków śmierci za ukrywanie Żydów.

Wydaje mi się jednak, że tak jak w przypadku Ulmów istniała rozpowszechniona praktyka niewydawania żadnych wyroków, tylko dokonywania egzekucji na miejscu. Ludzi schwytych na gorącym uczynku natychmiast mordowano. Skala pomocy Żydom i jej konsekwencje – zamordowanie tych, którzy pomagali – były na pewno dużo większe niż to, co teraz nam wiadomo.

Ingrid Lomfors kieruje w Szwecji państwową instytucją odpowiedzialną m.in. za upowszechnianie wiedzy o Holokauście. Szwedzka badaczka stawia następującą tezę: „Polska była centrum Holokaustu. [...] Cała cywilizacja polsko-żydowska, choć miała korzenie aż w średniowieczu, upadła. Sprawcami byli głównie niemieccy naziści, ale Holokaust byłby niemożliwy bez aktywnego uczestnictwa lub biernej zgody ludności lokalnej”. Czy zgadza się pan profesor z tą opinią?

Funkcjonuje znany mit mówiący o tym, że obozy zagłady ulokowano w Polsce, ponieważ Niemcy spodziewali się zyczliwego nastawienia w otoczeniu tych obozów do akcji wymordowania Żydów. Otóż wspomniany już Christian Gerlach znalazł dokumenty planistyczne SS z 1941 r. i korespondencję z innymi instytu-



Fot. Adam Gaj/REPORTER

Jan Rydel, profesor, historyk, kierownik Katedry Studiów Europejskich w Instytucie Politologii Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, przewodniczący Komitetu Sterującego Europejskiej Sieci Pamięć i Solidarność

cjami Rzeszy, dotyczącą powstania wielkiego obozu zagłady w rejonie Mohylewa na Białorusi. Pisał o tym w „Holocaust and Genocide Studies” z 1997 r. To był pierwotny plan SS dotyczący lokalizacji centrum Zagłady. SS szukały na ten cel miejsca leżącego daleko na wschodzie, na pustkowiach, gdzie nie będzie świadków zbrodni.

Okazało się, że Wehrmacht energicznie sprzeciwił się planom SS, gdyż stwierdził, iż sieć transportowa jest na tych terenach za słabo rozbudowana i za mało wydajna, aby obciążać ją jeszcze transportami Żydów z całej Europy. Przepustowość sieci musi być oddana wyłącznie na potrzeby Wehrmachtu, który walczy z Armią Czerwoną. Decyzja o usytuowaniu obozów zagłady na terenach na zachód od Bugu (Bełżec, Treblinka, Sobibór, w pewnej części Majdanek) była zatem swego rodzaju kompromisem pomiędzy oczekiwaniami SS (zapewnienie maksimum skrytości zbrodni) a Wehrmachtu (zaspokojenie potrzeb transportowych), niemającym nic wspólnego z takim czy innym nastawieniem ludności polskiej.

Unia więźniów politycznych

W historii często jest tak, że nie dostrzegamy dziejowej doniosłości zdarzeń wokół nas. W piątek 23 marca Pablo Llarena Conde, sędzia Najwyższego Trybunału Hiszpanii, oskarżył 13 demokratycznych przywódców Katalonii o „antypaństwową rebelię”, za co grozi im kara do 30 lat więzienia

Jednocześnie Llarena nakazał powtórne aresztowanie najpoważniejszego kandydata na nowego premiera Katalonii – Jordiiego Turulla oraz czwórki jego współpracowników, odrzucając możliwość przyjęcia kaucji za ich uwolnienie na czas procesu. „Antypaństwowa rebelia – to zgodnie z prawem Hiszpanii – powstanie przeciw porządkowi konstytucyjnemu z użyciem przemocy”. Zatem nawet mocno promadryccy analitycy zauważają, że oskarżenia Llarena są bezpodstawne wobec polityków, którzy z wielką starannością dbali o to, aby nawoływać do pokoju i nieużywania siły nawet wtedy, gdy hiszpańska policja przypuściła szturm na lokale wyborcze w Barcelonie, bijąc ludzi stojących w kolejkach do urn.

Llarena wydał także europejski nakaz aresztowania tych spośród katalońskich liderów, którym udało się parę miesięcy temu zbiec za granicę, uprzedzając aresztowanie. Dwa dni po wydaniu tego nakazu niemiecka policja zatrzymała na autostradzie pod Hamburgiem Carlesa Puigdemonta – demokratycznie wybranego dwa lata temu premiera regionalnego rządu Katalonii. Puigdemont wracał samochodem z Finlandii do Belgii, gdzie ostatnio przebywał na uchodźstwie, gdyż po tym, jak w Madrycie wydano za nim europejski nakaz aresztowania, postanowił uniknąć lotu samolotem. Najprawdopodobniej popełnił błąd, gdyż władze fińskie nie były wcale skłonne do natychmiastowego wykonania nakazu Llarena i zwróciły się do Madrytu o dodatkową argumentację. Samochód Puigdemonta (jak się teraz okazuje) był śledzony przez hiszpańskie służby specjalne, a formalistyczni Niemcy okazali się wyjątkowo skłonni do pomocy hiszpańskim agentom. Kanclerz Merkel nie od dziś traktuje zresztą hiszpań-



JAN ROKITA

skiego premiera Rajoya jako bliskiego sojusznika z „chadeckiej rodziny politycznej” i panicznie boi się utraty przezeń władzy w Madrycie.

W chwili, gdy piszę tę analizę, przywódca Katalonii oczekuje w niemieckim więzieniu na decyzję tamtejszego sądu co do jego ekstradycji do Hiszpanii.

Bez wątpienia Llarena przeszedł już do historii wymiaru sprawiedliwości jako pierwszy sędzia unijnego kraju, który przeciwników politycznych aktualnej władzy postanowił posadzić na wiele lat do więzienia. Na naszych oczach dzieje się to, co w Unii Europejskiej, od chwili jej powstania, wydawało się niepodobieństwem. Zapewne w każdym kraju znajdują się sędziowie, którzy na zlecenie władzy są zdolni do więzienia i skazywania jej politycznych przeciwników na wieloletnie wyroki. Tyle tylko, że dotąd wielu Europejczykom (nie kryję, że także mnie) zdawało się, iż oskarżenie pokojowo działających przeciwników politycznych rządu o „antypaństwową rebelię” oraz ich uwięzienie, nawet bez możliwości wyjścia za kaucją, to tylko jakaś ponura mrzonka, przynajmniej tak długo, jak istnieją UE i deklarowane przez nią standardy praw obywatelskich. Tymczasem powrót „realnej polityki” w Europie, razem z jej odwiecznymi brutalnymi regułami walki politycznej, jest szybszy, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać. Legła w gruzach wizja unijnego Kryształowego Pałacu (wedle słynnego określenia filozofa Petera Sloterdijka), w którym – niezależnie od tego, co działałoby się w świecie zewnętrznym – tutaj wolność zawsze będzie gwarantowana, a prawo nigdy nie stanie się narzędziem politycznej represji. A Polakowi z mojego pokolenia postać sędziego Llarena przywołuje sławnego niegdyś

sędziego Zieniuka, który w połowie lat 80. pod podobnymi zarzutami skazywał na więzienie Władysława Frasyniuka, Adama Michnika i Bogdana Lisa, za co w wolnej Polsce został wydalony z zawodu.

STARE METODY

Niewątpliwym paradoksem jest to, że demokratyczne władze Hiszpanii kopiują wobec swych katalońskich oponentów metody znane dobrze z dziejów reżimów autorytarnych. Podobnie jak w polskim stanie wojennym, gdy spośród przywódców „Solidarności” wyselekcjonowano siedmioosobową grupę liderów do całkowitej izolacji i pokazowego procesu, tak w Hiszpanii o różne przestępstwa oskarża się (jak dotąd) prawie 30 polityków katalońskich, ale 13 spośród nich, mających największą charyzmę i poparcie Katalończyków, wyodrębniono do specjalnego procesu o rebelię z użyciem przemocy. Wobec oczywistego fałszu tak postawionego zarzutu można się tylko domyslać, jak poprowadzony zostanie przez władze ten proces.

Co więcej, wzorem dobrze znanych procesów politycznych w różnych krajach, do oskarżeń czysto politycznych sędzia Llarena na wszelki wypadek „doczepia” także oskarżenia kryminalne dotyczące defraudacji przez katalońskich polityków olbrzymich sum publicznych pieniędzy. Ale najwyraźniej władze nie mają nawet poszlak ich prawdziwej korupcji, więc jako „malwersacje” chcą potraktować... koszty ubiegłorocznego referendum zarządzanego przez kataloński parlament. Gdyby więc w toku procesu nie udało się podtrzymać zarzutu o rebelię i przemoc, zawsze będzie można skazać przeciwników za malwersacje. A poza tym Llarena może już teraz skutecznie zrujnować nie tylko życie polityków katalońskich, lecz także ich rodzin, nakazując im zapłatę kwoty 2,1 mln euro, tytułem kosztów procesu i zadośćuczynienia za „malwersacje”, czyli koszty referendum.

ZAMĘT W BARCELONIE I MADRYCIE

Osadzenie przywódcy Katalonii w niemieckim więzieniu i ogłoszone oskarżenie tamtejszych polityków o rebelię wywołało nową falę zamętu politycznego nie tylko w Barcelonie, lecz również w Madrycie. W Katalonii tysiące ludzi wyszło w proteście na ulice, a w toku zamieszek i walk z policją tylko w jeden dzień, w piątek 23 marca, rannych było ponad 100 osób. Od grudniowych wyborów regionalnych, zarządzonych przez Madryt po przymusowym rozwiązaniu gabinetu Puigdemonta i jego ucieczce z kraju, w Barcelonie trwa polityczny pat, a kolejne próby utworzenia jakiegokolwiek nowej władzy wykonawczej kończą się fiaskiem. Teraz, po nowych aresztowaniach i zapowiedziach procesów politycznych, sprawy mogą tylko ulec zaostrzeniu. Z niemieckiego więzienia przywódca kataloński oświadczył za pośrednictwem swego adwokata, że „nie zamierza się poddać”, a Katalończykom przypomniał, iż „mają oni prawo do wyrażania swej woli niepodległości i republiki”.

Ale kataloński chaos zaczyna oddziaływać coraz silniej na pozycję głównego stratega polityki represji – premiera Ma-

riano Rajoya. Kierowana przezeń prawicowa Partia Ludowa (należąca wraz z niemiecką CDU, węgierskim Fideszem i polską PO do „rodziny” EPP) nie ma większości parlamentarnej w Kortezach, a uwikłany w afery korupcyjne rząd Rajoya trzyma się na sojuszu z mniejszością baskijską. Tyle tylko, że Baskowie odmawiają uchwalenia tegorocznego budżetu państwa, jeśli Rajoy nie rozwiąże pokojowo kryzysu katalońskiego. Dlatego coraz częściej można przeczytać opinie, że Rajoyowi sytuacja zaczyna się wymykać spod kontroli.

Wpływowy portal Politico donosi, że w kuluarach madyryckich Korteżów jeden z czołowych ministrów Rajoya otwarcie mówi, że zamiast aresztować teraz Jordiego Turulla, trzeba było uznać go za nowego premiera Katalonii, co pozwoliłoby choć na częściowe odblokowanie sytuacji. A szanowany był hiszpański premier i lider socjalistów, 76-letni Felipe González, publicznie mówi, że „politycy nie powinni się skrywać za decyzjami sądów, gdyż wygląda to tak, jakby w Hiszpanii prawdziwą władzę sprawowali sędziowie”. Wielkim pytaniem pozostaje więc to, czy zarządzana przez Rajoya polityka represji wobec pokojowo działających oponentów politycznych może się utrzymać dłużej w państwie demokratycznym.

NIEMIECKA NADGORLIWOŚĆ

Niezależnie od tego, co w końcu stanie się z pogrążonymi w kryzysie politycznym Hiszpanią i Katalonią, z polskiej perspektywy kluczową kwestią jest zrozumienie zmian, jakie zachodzą wewnątrz Unii Europejskiej. Zdumiewający jest ton niektórych polskich mediów, nieukrywających (jak np. cały cykl tekstów redaktora Jędrzeja Bieleckiego na łamach „Rzeczpospolitej”) swej satysfakcji z powodu represji wobec Katalończyków, a nawet posuwających się do łajania ludzi prześladowanych za pokojową i demokratyczną działalność polityczną. W poważnych gazetach w Europie Zachodniej tego rodzaju postawa nie byłaby możliwa, a analizy katalońskiego węzła gordyjskiego są tam daleko bardziej zrównoważone.

Co prawda w Europie coraz częściej można słyszeć głosy wątpliwości wobec represyjnej strategii Rajoya, ale najsilniejsze są one w kręgu partii „antysystemowych”, sprzeciwiających się generalnie dzisiejszemu unijnemu „głównemu nurtowi”. Puigdemont mógł liczyć na ochronę w Belgii, gdzie ministrem ds. azylu i migracji jest Theo Francken, działacz flamandzkiej partii narodowej N-VA, ale już rządzone przez chadecko-socjalistyczną koalicję Niemcy okazały nadgorliwość w ściganiu przywódcy Katalonii.

Rzecz w tym, że wszelkie nowe ruchy polityczne, które próbują przeobrazić dzisiejszy kształt Europy, budzą strach w licznych europejskich gabinetach rządowych. I to tym większy, im bardziej (tak jak Katalończycy) odwołują się do poczucia patriotyzmu, odrębności i tożsamości narodowej. Chyba niczym innym, jak tylko tym strachem, można tłumaczyć stosunkowo szerokie przyzwolenie w Unii na to, aby Europa stała się kontynentem więźniów politycznych. Bez względu na wszystkie traktaty i deklaracje oraz zawarte w nich gwarancje praw...

Potrzeba narodu

Podpułkownik żandarmerii Arnaud Beltrame oddał życie, ratując zakładniczkę z rąk islamskiego terrorysty. We Francji wybuchł spór o to, co popchnęło go do tej ofiary: wiara w wartości republiki czy wiara w Boga?



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Był jednym z pierwszych żandarmów, którzy dotarli przed południem 23 marca na teren supermarketu Super U w Trèbes na południu Francji, gdzie pochodzący z Maroka 26-letni Redouane Lakdim zdążył już zabić dwóch zakładników – pracownika sklepu Christiana Medvès i klienta Hervégo Sosna – pod głośnymi okrzykami „Allahu Akbar!”. Większości osób obecnych w sklepie, gdy wtargnął do niego uzbrojony po zęby islamski radykał, udało się uciec przez tylne drzwi. Ci, którym się to nie udało, znaleźli schronienie w chłodni, gdzie tłoczyli się przerażeni. Terrorysta w obawie, że policja podejmie próbę wzięcia sklepu szturmem, trzymał nóż przy szyi kasjerki, używając kobiety jako żywej tarczy.

44-letni Arnaud Beltrame, podpułkownik żandarmerii departamentu Aude, podjął wówczas decyzję, która okazała się dla niego brzemienna w skutki. Zaproponował coraz bardziej nerwowemu Lakdimowi, by wymienił kasjerkę na niego. Według kolegów

Beltrame’a była to decyzja przemyślana. „Był szkolony w walce wręcz, wysportowany, silny. Uważał, że uda mu się obezwładnić napastnika” – relacjonował w rozmowie z dziennikiem „Le Figaro” dowódca oddziału żandarmerii w Issoudun Stéphane Madillac. Lakdim zgodził się na takie rozwiązanie, ale Beltrame’owi nie udało się go obezwładnić. Przez ponad trzy godziny Marokańczyk trzymał nóż przy szyi żandarma, recytował wersety z Koranu, fantazjował na temat „krzyżaków w Syrii” i domagał się uwolnienia z więzienia Salaha Abdeslama, jednego ze sprawców zamachów terrorystycznych w Paryżu w 2015 r. Oddział antyterrorystyczny żandarmerii (GIGN) w Tuluzie usiłował negocjować z Lakdimem, kontaktując się z nim przez telefon komórkowy Beltrame’a. Bezskutecznie.

O 14.25 dano więc sygnał do szturmu. Zaraz potem było słychać trzy głośnie eksplozje. Terrorysta zginął od kul antyterrorystów. Dla Beltrame’a pomoc przyszła za późno. Zmarł w nocy w szpitalu w pobliskim Carcassonne. Terrorysta otworzył do niego ogień i poderżnął mu gardło, przecinając krtań i tchawicę.

DULCE ET DECORUM EST PRO PATRIA MORI

Arnaud Beltrame zmarł i odrodził się jako bohater. We Francji zagrożonej terroryzmem, borykającej się z integracją muzułmanów, gdzie stan wyjątkowy jest na stałe wpisany do prawodawstwa,

a tożsamość narodowa coraz bardziej się rozmywa. Jak pisze redaktor naczelny dziennika „Libération” Laurent Joffrin, Beltrame symbolizuje francuską „potrzebę narodu”. „Tej Francji, która wierzy w niebo, i tej, która w niebo nie wierzy” – twierdzi Joffrin.

Bez wątpienia Beltrame był zaangażowanym żołnierzem i policjantem. Były wojskowy Olivier Anfray wspomina na łamach gazety „Le Nouvel Observateur” wspólną służbę z żandarmem w 35. pułku artylerii spadochronowej w Tarbes, w latach 1996–1997. Według Anfray’ego Beltrame przekonywał go wówczas, że „oddanie życia dla innych jest czasami konieczne i uzasadnione”. „Podobał mu się napis na budynku akademii wojskowej w brytyjskim Sandhurst: »Dulce et decorum est pro patria mori«: »Słodko i zaszczytnie jest umrzeć za ojczyznę«” – zaznacza były wojskowy. Beltrame, żonaty i bezdzietny, służył „niebiesko-biało-czerwonej” przez 22 lata. Według jego matki „ojczyzna była dla niego ważniejsza od rodziny”. W 2005 r. trafił do Iraku, gdzie chronił ze swoim oddziałem francuską placówkę dyplomatyczną. Dopiero w grudniu uczestniczył w symulacji ataku terrorystycznego na centrum handlowe w Carcassonne. Rzeczywistość okazała się o wiele bardziej okrutna i nieprzewidywalna od ćwiczenia. „Poprzez swój heroiczny gest, świadomy zagrożenia, wypełnił do końca swój obowiązek jako żołnierz i policjant. Jego ofiara





przypomina nam o ogromnej wartości naszego zaangażowania, każdego dnia, w celu ochrony obywateli” – napisał szef żandarmerii narodowej gen. Richard Lizurey w liście do swoich podwładnych.

KATOLIK I WOLNOMULARZ

Francja pożegnała płk. Beltrame’a w minioną środę, z wielką pompą. Prezydent Emmanuel Macron podczas uroczystości powiedział: „Odszedł on jako bohater, pokazując swoją wyjątkową odwagę i bezinteresowność”. Podkreślił także, że tragicznie zmarły „zasłużył sobie na podziw i szacunek całego narodu”. I choć cały naród go bez wątpienia podziwia, wybuchł spór o to, co popchnęło Beltrame’a do heroizmu. Miłość do ojczyzny? Chęć obrony wartości republikańskich? A może wiara w Boga? Brat żandarma Damien opisał go na Facebooku jako „przekonanego patriotę”. Przejmujące świadectwo o zabitym podpułkowniku złożył na Facebooku jednak również ojciec Jean-Baptiste, kanonik opactwa Lagrasse, który 9 czerwca miał udzielić ślubu kościelnego Arnaudowi i jego żonie Marielle. Z opowieści duchownego, który udzielił mu na łożu śmierci ostatniego namaszczenia i odpuszczenia grzechów, wyłania się obraz 44-letniego oficera jako głęboko wierzącego człowieka kierującego się w życiu motywacją religijną.

Nie zawsze tak było. Jeszcze 10 lat temu żandarm, który wychował się w całkowicie zlaicyzowanej rodzinie,

był wolnomularzem. W 2008 r. został członkiem Wielkiej Łoży Francji. Kilka lat temu jednak przeżył nawrócenie. Według jego żony po nawróceniu odkrył chrześcijańskie korzenie Francji. Pociągał go zwłaszcza ideał rycerski, któremu starał się być wierny. „Jego gest był gestem chrześcijanina” – przekonuje wdowa. Od wolnomularzy Beltrame się – dodała – zdystansował. Ci widzą w nim jednak wciąż jednego ze swoich. Wielki mistrz Wielkiej Łoży Francji Philippe Charuel powiedział w wywiadzie dla tygodnika „L’Express”, że żandarm „regularnie uczestniczył w spotkaniach łoży”. „Jeszcze miesiąc przed swoją śmiercią był u nas i brał udział w ceremonii” – utrzymuje Charuel.

ZJEDNOCZYĆ FRANCJĘ

Do sporu o bohatera narodowego włączyli się też politycy i publicyści. Redaktor naczelny „Libération” Laurent Joffrin oskarżył polityków prawicy o „zawłaszczenie Beltrame’a”. Według niego żandarm wierzył nie tylko w Boga, lecz także w wartości republikańskie, które leżały u podstaw jego służby w policji. „Mówiąc, że jego gest wynikał z jego tożsamości katolickiej, sugeruje się, iż tylko ona daje sens egzystencji obywateli w czasach, gdy nie ma już ideałów, panuje indywidualizm i wszystko jest na sprzedaż. A republika francuska jest dekadencją ziemią bez Boga. To przypomina retorykę islamistów. To jest nie do przyjęcia” – pisze Joffrin. Może Beltrame nie był – jego zdaniem – bohaterem wielokulturowości, ale należy użyć jego przykładu do tego, by „zjednoczyć Francję, głęboko dziś podzieloną”.

Może dlatego francuskie władze postanowiły tak surowo ukarać polityka skrajnie lewicowego ruchu La France Insoumise. Stéphane Poussier cieszył się na Twitterze ze śmierci żandarma: „Za każdym razem, gdy któryś ginie, ach, ta radość. A w tym przypadku to podpułkownik. Jeden wyborca Macrona mniej” – napisał. Już następnego dnia został aresztowany i w ekspresowym tempie skazany na sześć miesięcy więzienia, w tym dwa w zawieszeniu, oraz utratę praw obywatelskich na siedem lat. Szef LFI, były trockista Jean-Luc Mélenchon, wykluczył go

także z partii za „apologię terroryzmu”. Nie zmieniło to niczego w coraz wyraźniej rysującym się podziale na lewicę i prawicę. Z racji minuty ciszy dla Beltrame’a w parlamencie wstali wszyscy deputowani. Po przemówieniu premiera Édouarda Philippe’a klaskała jednak tylko lewa strona sali. Posłowie prawicowych partii, Les Républicains i Frontu Narodowego (w tym Marine Le Pen), pozostali niemi i nie wstali z siedzeń.

ZEROWE RYZYKO

Prawica zarzuca Macronowi i jego rządowi „naiwność” wobec zagrożenia terrorystycznego. Uruchomiony 23 lutego z wielką pompą program walki z radykalizacją (już czwarty z rzędu) da jej zdaniem podobny rezultat jak poprzednie, czyli żaden. W lipcu 2017 r. francuskie władze musiały zamknąć centrum deradykalizacji w Pontourny, po tym jak część jego pensjonariuszy, po już odbytych kursach i terapiach, wyjechała walczyć u boku Państwa Islamskiego w Iraku i Syrii. Lider Les Républicains Laurent Wauquiez zażądał od Macrona, by „skończył z tym naiwnym nastawieniem” i zaostriżył stan wyjątkowy oraz zaczął wydalać z Francji osoby podejrzane o terroryzm, znajdujące się na tzw. liście S francuskich służb specjalnych.

Na tej liście figurował również Redouane Lakdim. Jakiś czas temu służby przestały go jednak obserwować, bo „nie był on aktywny”. I tak ograniczone środki finansowe i personalne zostały rzucone na inny odcinek. „Nie ma większej pogardy dla ofiar niż brak gotowości do zmian” – zaznaczyła Marine Le Pen. A były premier Manuel Valls zaproponował, by po prostu „zakazać salafizmu”. Taką możliwość premier Édouard Philippe stanowczo odrzucił. „Ci, którzy wierzą, że można obiecać Francuzom zerowe ryzyko [...], biorą na siebie ciężką odpowiedzialność, gdyż tej obietnicy nie będą w stanie spełnić” – podkreślił. Tak płk Arnaud Beltrame, który wierzył i w Boga, i w swoją misję jako żandarm, miał zjednoczyć kraj, stał się przyczyną do podkreślenia podziałów. Politycznych i ideologicznych. W tej wielokulturowej Francji, która na każdym kroku coraz bardziej zgrzyta.

Trzeba wypracować kompromis

Poprzednie rządy nie robiły nic, żeby rozwiązać problem zarówno smogu, jak i wycinki

Z Henrykiem Kowalczykiem,
ministrem środowiska,
rozmawia Ewa Wesołowska

Jak pan się czuje jako szef Ministerstwa Środowiska? To nowa rola w pana politycznej karierze.

Henryk Kowalczyk: Nie czuję się szczególnie obco. Robię to, co robiłem do tej pory, tyle że w nowej dziedzinie. Zapoznaję się z zagadnieniami, a także problemami, które trzeba rozwiązać.

Ma pan do ugaszenia kilka pożarów: wyrok Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości za smog, zażegnanie sporu o wycinkę Puszczy Białowieskiej, zmiany w prawie łowieckim, zatrzymanie afrykańskiego pomoru świń. Odnoszę wrażenie, że poglądy poprzedniego ministra budziły duże kontrowersje, resort narobił sobie wrogów.

Nie przesadzajmy z tymi wrogami. Z każdym można się porozumieć, wypracować kompromis.

Co pan myśli o ekologach?

Doceniam to, że troszczą się o przyrodę. Nie akceptuję jednak niektórych stosowanych przez ekologów metod.

Tego, że przykuwają się do drzew?

To jest w ogóle nie do przyjęcia. Poza tym część z nich uważa, że puszcę można chronić tylko metodami biernymi, czyli nic nie robić i patrzeć na to, co się stanie. Lecz są też poglądy innych naukowców, wychodzących z założenia, że jed-



nak metody gospodarki leśnej także są metodami ochronnymi i należy je stosować. Takie skrajne postawy wywołują spory. Na szczęście są środowiska, którym zależy na wysłuchaniu argumentów wszystkich stron, wypracowaniu kompromisu, a nie tylko na wzajemnym atakowaniu się, obwinianiu, obstawaniu przy swoim za wszelką cenę.

To jak to jest z tym kornikiem? Niszczy puszcę czy nie?

Niszczy. Dotychczas gradacja kornika zainfekowała 60–70 proc. świerków w puszczy. Niedługo wszystkie zostaną zainfekowane. Już dziś całe kwartały stoją suche i martwe. Smutny to widok.

Czy ktoś z Komisji Europejskiej był w Puszczy Białowieskiej?

Byli przedstawiciele, ale nie wiem, czy mają rzetelne informacje.

A jaka jest prawda?

Prawda jest taka, że Puszcza Białowieska jest pięknym i starym lasem, ale bez pomocy człowieka sobie nie poradzi.

To dlaczego przerwaliście wycinkę chorych drzew?

Polska jako kraj członkowski UE ma swoje zobowiązania. Postanowienie TSUE jest jednoznaczne i mówi, że nie można na terenie Puszczy Białowieskiej usuwać drzew, poza wyjątkami gdy zagrożone jest bezpieczeństwo publiczne. Dzisiejsza sytuacja to w dużej mierze brak działań ze strony naszych poprzedników.

Co to znaczy?

W 2012 r. pod presją różnych środowisk ograniczono limit rocznej wycinki z 300 tys. m³ do kilkudziesięciu. Wtedy nastąpiła gradacja kornika. Minister Jan Szyszko zwiększył limity do 180 tys. m³, co i tak było liczbą mniejszą niż przed 2012 r. Niestety nie udało się do końca zahamować procesu niszczenia puszczy.

To co teraz będzie?

Realizujemy postanowienie TSUE i czekamy na ostateczny wyrok. Planu-

jemy stworzenie szerokiego zespołu, w którym znajdą się przedstawiciele różnych środowisk. Jego celem jest opracowanie długofalowego planu ochrony Puszczy Białowieskiej.

Przecież kornik nie jest typowo polską przypadłością. Atakuje też w Niemczech, Czechach, na Słowacji. Jak inne kraje radzą sobie ze szkodnikiem?

Wycinają. Na przykład w Niemczech kornik zniszczył Las Bawarski, czyli jeden z najstarszych parków narodowych naszych zachodnich sąsiadów. Część drzew wycięto, część kikutów pozostawiono. Dopiero niedawno Las Bawarski zaczął się odradzać. To samo było w lasach Szumawy na południu Czech. W tej chwili trwa z ekologami dyskusja o tym, czy sprzątać umarłe drzewa, czy nie.

A kiedy pan po raz pierwszy usłyszał o smogu?

Kilka lat temu.

Wcześniej go nie było?

Był. Tylko poprzednie rządy nie robiły nic, żeby ten problem rozwiązać. Nie nagłaśniały tej sprawy, słowo „smog” nie istniało. Proszę zauważyć, że zaczęło się mówić o katastrofalnej jakości powietrza w Polsce dopiero po 2015 r., czyli wtedy, gdy PiS przejęło władzę. A wyrok Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości dotyczy lat 2007–2015, czyli czasów, gdy rządziły Platforma Obywatelska i Polskie Stronnictwo Ludowe.

Ale PiS przez dwa lata też nie rozwiązało problemu.

Zaczęliśmy prowadzić działania na rzecz poprawy jakości powietrza w Polsce niemal od początku naszych rządów. Tylko żeby zobaczyć efekty, potrzeba czasu i bardzo kosztownych działań. Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej podpisał wiele umów z samorządami, instytucjami, spółkami. Z programu „Infrastruktura i Środowisko” przeznaczymy ponad 10 mld zł na ograniczenie emisji, w tym na rozbudowę infrastruktury ciepłowniczej. Kolejna rzecz to Fundusz Niskoemisyjnego

Transportu, który utworzyliśmy. Pieniądze z niego zostaną przeznaczone na inicjatywy wspierające produkcję elektrycznych samochodów oraz transportu opartego na paliwach alternatywnych.

Fundusz ma być finansowany m.in. z nowej opłaty paliwowej, którą rząd chce wprowadzić. Opozycja już krzyczy, że spowoduje ona podwyżki cen benzyny i oleju napędowego, że nakręci inflację.

Zakładamy, że opłata wyniesie 80 zł na 1000 litrów, czyli ok. 10 gr na litrze. Nie powinno to spowodować drastycznych podwyżek. PO niewiele zrobiła, by poprawić jakość powietrza w Polsce. Musimy wykonać tytaniczną pracę, aby nadrobić stracony czas przez naszych poprzedników i dać Polakom możliwość oddychania czystym powietrzem.

Bo inaczej nie dość, że będziemy chorować, to jeszcze zapłacimy ok. 4 mld zł kary?

Dokładnie tak.

Z analiz ekspertów wynika, że 50 proc. zanieczyszczeń emitują domy jednorodzinne. Trwa bardzo kosztowna wymiana pieców, ale jej efekty na razie są mierne. W Krakowie wymieniono kilkanaście tysięcy tzw. kopciuchów, a smog nadal jest.

Dlatego system wsparcia gospodarstw jednorodzinnych będzie zmodyfikowany. Przede wszystkim pieniądze trafią do mniej zamożnych właścicieli domów. Będą też środki na termomodernizację, żeby zużycie energii w gospodarstwach domowych było mniejsze, co jednocześnie obniży rachunki.

Kilka ministerstw jest zaangażowanych w tworzenie programu antysmogowego, m.in. resort energii, przedsiębiorczości i technologii, resort finansów. Powstaje np. projekt podatkowej ulgi termoizolacyjnej, umożliwiającej odpisanie kosztów docieplenia domów czy wymiany okien od podatku. Liczymy na to, że będą z niej korzystać zamożniejsi. W przypadku mniej zamożnych koszty termoizolacji wezmą na siebie samorządy. Do końca

marca powinny się zakończyć prace nad projektem, który będzie podstawą do uruchomienia 180 mln zł z Funduszu Termomodernizacji.

Pojawiają się opinie, że finansując wymianę pieców, rząd wspiera lobby producentów tych urządzeń.

Każdą pomoc można nazwać wspieraniem jakiegoś lobby. Ta pomoc jest jednak niezbędna. Poza tym „wymiana pieców” to hasło, uproszczenie. Chodzi nam o to, żeby ludzie przechodzili z ogrzewania tradycyjnego na gazowe, elektryczne, bardziej ekologiczne, czyli np. inwestowali w pompy ciepła.

A jak to się ma do polskiej polityki energetycznej opartej na węglu? Nie ma tu sprzeczności? Nie spadnie popyt na węgiel? Nie trzeba będzie znowu zamykać kopalń?

Nie. Jeśli ktoś zamieni piec węglowy albo przyłączy się do sieci, to i tak będzie odbiorcą energii z węgla. Tylko paliwo to będzie spalane w innych warunkach. Nowoczesne urządzenia odpylające montowane w zakładach energetycznych umożliwiają spalanie nawet niskiej jakości węgla bez szkody dla środowiska. Tak więc branża górnicza na pewno na rozpoczętych zmianach nie straci. Miał sprzedać do elektrociepłowni, a lepszy węgiel trafi do prywatnych odbiorców.

Są ludzie, których stać tylko na miał węglowy.

Będziemy prowadzić działania, aby zapewnić odpowiednie wsparcie osobom najbardziej potrzebującym.

Ile będzie kosztowała rewolucja energetyczna w Polsce?

Sam program skierowany do domów jednorodzinnych szacujemy na 35 mld zł.

Kiedy zobaczymy, a właściwie poczekujemy, efekty?

Myślę, że już w przyszłym sezonie grzewczym będzie lepiej, chociażby dlatego, że wejdzie w życie rozporządzenie eliminujące z handlu węgiel

niskiej jakości. Ponadto wszystkie składy będzie kontrolowała Inspekcja Handlowa. Jestem przekonany, że stan powietrza będzie stopniowo ulegał poprawie, oczywiście pod warunkiem że rozpoczęty przez nas program będzie kontynuowany.

A co z wprowadzeniem bardziej restrykcyjnych norm emisyjnych dla samochodów? Podobno przygotowywany jest zakaz rejestrowania nowych aut, które trują spalinami. Czy to oznacza, że z naszych ulic znikną diesle?

Prawda jest taka, że Puszcza Białowieska jest pięknym i starym lasem, ale bez pomocy człowieka sobie nie poradzi

Nie należy tego traktować jako zakazu, ale faktycznie rozważane jest bardziej rygorystyczne badanie jakości emisji spalin z samochodów. Tyle że takie regulacje na pewno nie zostaną wprowadzone jutro czy pojutrze. Uproszczeniem jest też stwierdzenie, że będzie to się sprowadzało do eliminacji diesli. Są odpowiednie katalizatory, filtry, które właściciele aut powinni stosować. Nie może być tak, że ktoś likwiduje katalizator, bo chce, żeby jego auto zużywało mniej paliwa.

A co z polowaniami w Polsce? Mamy silne lobby myśliwych, które do tej pory pozostawało poza większą kontrolą państwa.

Przede wszystkim nowa ustawa łowiecka, którą przyjął Sejm, zwiększa uprawnienia kontrolne Ministerstwa Środowiska nad Polskim Związkiem Łowieckim. Ponadto we władzach związku będzie obowiązywał zakaz zasiadania byłych funkcjonariuszy komunistycznego aparatu bezpieczeństwa. W przypadku szeregowych myśliwych zmiany nie będą znaczące.

Inny będzie natomiast system odszkodowań dla rolników za szkody spowodowane przez zwierzęta. Do tej pory to myśliwi szacowali i wypłacali odszkodowania. Teraz wprowadzamy trójdecyzyjność: w komisji będzie myśliwy, rolnik i przedstawiciel samorządu. Kwoty odszkodowań będą bardziej realne.

Nowa ustawa nie wszystkim się podoba. Lobby łowieckie traktuje to jako zamach na swoją suwerenność i narzeka np. na to, że nie będą mogli już zabierać dzieci na polowania.

Z kolei ekolodzy uważają, że zwierzęta w lasach nie będą wystarczająco chronione.

Wiem, że ta ustawa nie satysfakcjonuje wszystkich, ale polowań nie można zakazać. Populacja zwierzęcy w łownej w ostatnich latach wzrosła wielokrotnie. To spowodowało m.in. rozprzestrzenianie się afrykańskiego pomoru świń wśród dzików. Zwiększony odstrzał tych zwierząt został wprowadzony za późno, dodatkowo nie służy mu okres zimowy. W efekcie ASF mamy już pod Warszawą.

Poza tym środowiska ekologiczne wcale nie są za całkowitym zakazem polowań, tylko za ich ograniczeniem, ucywilizowaniem, a przede wszystkim za zachowaniem odpowiedniej odległości od zabudowań i siedzib ludzkich. Ten postulat zawarliśmy w naszych rekomendacjach i zostało to zrobione. Ponadto posłowie zgodzili się m.in., by właściciele nieruchomości wchodzącej w skład obwołu łowieckiego mogli złożyć staroście oświadczenie, w którym nie zgadzają się na prowadzenie polowań na ich gruntach.

Sądzę, że w poprawionej ustawie Prawo łowieckie udało się zrealizować po części postulaty każdej z zainteresowanych stron, zarówno ekologów, rolników, jak i myśliwych. Uważam, że to nasz wspólny sukces po tak długim procesie legislacyjnym.

Czy istnieje gdzieś w Europie całkowity zakaz polowań?

Nie ma i pewnie nigdy takiego nie będzie.

Hit tygodnia

Sony Alpha 7 III

To już trzecia odsłona bardzo popularnego bezlusterkowca – tym razem głównym wyróżnikiem korpusu α7 III jest nowo opracowany przetwornik obrazu. Ten wykonany w technologii BSI układ CMOS Exmor R ma rozdzielczość 24,2 Mpix, wyższą czułość oraz imponujący, 15-stopniowy zakres dynamiki przy małych czułościach. W aparacie zastosowano nowy układ o dużej skali integracji, który praktycznie podwaja prędkość odczytu danych z przetwornika obrazu, oraz zmodernizowany procesor BIONZX™, ok. 1,8 razy wydaj-

niejszy niż jego odpowiednik z modelu α7 II.

α7 III został wyposażony w zmodernizowany system przetwarzania obrazu, który pozwala wykonywać nawet 10 fotografii na sekundę, z pełną automatyką ostrości i ekspozycji. W jednej serii można utrwalić do 177 obrazów JPEG o standardowej jakości, 89 obrazów RAW z kompresją lub 40 obrazów RAW bez kompresji, zarówno przy korzystaniu z migawki mechanicznej, jak i trybu całkowicie bezgłośnego fotografowania. α7 III to również kamera wideo o dużych



Plusy i minusy

- + kolejna solidna propozycja w katalogu japońskiego producenta
- to wyjątkowo udana seria bezlusterkowców Sony, naprawdę trudno się do czegoś przyczepić

możliwościach, pozwalająca nagrywać obraz filmowy 4K vi (3 840 × 2 160 pikseli) przy wykorzystaniu pełnej szerokości pełnoklatkowego przetwornika.

Premiera



Razer Phone

Są smartfony najlepiej nadające się do fotografii, do słuchania muzyki, nie dziwi więc, że powstał telefon, który ma być najlepszy do grania. Firma Razer znana jest z produkcji wysokiej jakości sprzętu dla graczy, wydaje się zatem naturalne, że to właśnie ona postanowiła stworzyć telefon idealny do obsługi gier. Specyfikacja urządzenia wygląda następująco: system Android 7.1.1

Nougat z Nova Launcher Prime Razer Edition, 5,7-calowy wyświetlacz IGZO o rozdzielczości 2 560 × 1 440 pikseli, 120 Hz, procesor Qualcomm Snapdragon 835, Adreno 540, 8 GB RAM, 64 GB pamięci wewnętrznej oraz czytnik kart micro SD, kamera główna 12 Mpix f/1.8 + 12 Mpix f/2.6 i przednia 8 Mpix f/2.0, Bluetooth 4.2, Wi-Fi 802.11 a/b/g/n/ac, NFC, LTE, czytnik linii papilarnych, głośniki stereo z Dolby Atmos, 24-bitowy DAC z certyfikacją THX, akumulator 4 000 mAh z Qualcomm QuickCharge 4.0+. Na papierze Razer Phone wygląda bardzo solidnie. Miejmy nadzieję, że i w rzeczywistości sprawi się dobrze.

Cena: ok. 3,2 tys. zł

Monarch 3000 Stabilized

Firma Nikon to nie tylko aparaty fotograficzne czy obiektywy, to także lunety, lornetki i dalmierze. MONARCH 3000 STABILIZED to nowy, udoskonalony następca modelu MONARCH 7i VR. Urządzenie wyróżnia się mniejszym i lżejszym korpusem, wyposażonym w funkcję redukcji drgań oraz zasięgiem pomiarowym zwiększonym aż do 2 740 m, umożliwiającym pomiary długodystansowe. Pomiar za pomocą dalmierza jest szybki i stabilny, bez względu na odległość od celu. Dalmierz dysponuje zaawansowaną funkcją Hyper Read, umożliwiającą wyświetlanie wyników w czasie ok. 0,3 s. Czerwony wyświetlacz wewnętrzny ułatwia obserwację w każdych warunkach. Funkcja automatycznej regulacji jasności dostraja precyzyjnie jasność wyświetlacza do oświetlenia otoczenia. Funkcja Stabilized ułatwia pomiar do odległych, mniejszych obiektów, redukując drgania wywołane poruszeniem dłoni. Dokładność wyświetlania odległości: 0,1 m, pomiar pojedynczy lub ciągły (do 8 s). Wysokiej jakości monokular o 6-krotnym powiększeniu, z wielowarstwowymi powłokami antyodblaskowymi, zapewnia jasny, wyraźny obraz. Dalmierz oferuje możliwość pracy w szerokim zakresie temperatur: od -10 °C do +50 °C, wodoszczelność do głębokości 1 m przez 10 minut oraz zabezpieczenie przed zaparowaniem. Należy jednak pamiętać, że urządzenie nie jest przeznaczone do użytkowania pod wodą. Komora baterii jest odporna na deszcz.

Premiera

Przygotował Paweł Gadaczek



Ryzykowna może się okazać teza, że rząd jest od gospodarki i finansów, a parlament od polityki, i że to dwa całkiem odrębne światy



JANUSZ SZEWCZAK

Rząd premiera Mateusza Morawieckiego jest niewątpliwie coraz bardziej ekspercki i technokratyczny, ale większość parlamentarna – czy tego chce, czy nie – zawsze jest ze swej natury polityczna. Pytanie więc brzmi: jakie zostaną zachowane proporcje, gdy idzie o odpowiedzialność za podejmowane decyzje przed całym narodem oraz jaki będzie realny wpływ na najważniejsze decyzje gospodarcze i finansowe w najbliższych dwóch latach Sejmu i Senatu?

Pierwsze 100 dni premiera Morawieckiego minęło jak z bicza strzelił i było skoncentrowane na heroicznej wręcz walce szefa rządu w obronie dobrego imienia Polski oraz Polaków, polskiej racji stanu i prawdy historycznej. Mateusz Morawiecki wraz ze swym nowym składem rządowym byli pochłonięci odpięciem w kontekście tzw. ustawy o IPN wielce nieuczciwych i niesprawiedliwych ataków na nasz kraj, głównie ze strony niektórych przedstawicieli Państwa Izrael oraz środowisk żydowskich, w tym skrajnie antypolskich pomówień, połączonych lub mniej czy bardziej zawołanych gróźb, które płynęły zarówno z Europy, jak i z oceanu. Niektórzy niemieccy politycy, a zwłaszcza niemieckie media, także te w Polsce, wspólnie z denuncjującą własny kraj i polski rząd „Nowoczesną Targowicą”, nie dawały nawet chwili wytchnienia polskiemu rządowi, tak

Razem można więcej



zresztą jak przez całe ostatnie dwa lata. Domagali się na zmianę a to potępienia Polaków, a to ukarania w trybie art. 7 Traktatu o UE, a to obciążenia funduszy unijnych, a to bojkotu polskich inicjatyw na arenie międzynarodowej. W kwestiach zachowania troski i pamięci historycznej, obrony godności i dobrego imienia naszego narodu nowy polski premier Morawiecki zachował się stanowczo i przeszedł prawdziwy chrzest bojowy.

Ten nowy, bardziej ekspercko-technokratyczny rząd Mateusza Morawieckiego ma pewien znaczący komfort sytuacji, zwłaszcza w sferze wewnętrznej, w tym szczególnie w sprawach gospodarczo-finansowych. Dobra koniunktura oraz w pełni zaskutkowane sukcesy gospodarcze, dobre wskaźniki makroekonomiczne i mię-

dzynarodowe notowania, jak i rankingi dotyczące oceny sytuacji gospodarczej, finansowej oraz budżetowej Polski są bezdyskusyjne. Niezaprzeczalne sukcesy rządu PiS w uszczelnianiu systemu podatkowego, w tym zwłaszcza VAT, które przyniosło niemal 30 mld zł więcej wpływów podatkowych, 7-procentowy wzrost płac, bardzo niskie bezrobocie, ponad 6-procentowy, hulający eksport, rosnący polski PKB w granicach ok. 5 proc., a nawet obniżenie w 2017 r. relacji długu publicznego do PKB dają solidne podstawy na przyszłość, zwłaszcza w latach 2018–2019, i chwilę wytchnienia w tej trudnej walce o naprawę Rzeczypospolitej.

I choć priorytetem gabinetu Morawieckiego mają być w tym i przyszłym roku kwestie gospodarcze, takie jak inwestycje, infrastruktura, Mieszkanie+

W minionym miesiącu byliśmy świadkami wyjątkowego i wielce pozytywnego zdarzenia, albowiem premier Morawiecki i jego najbliżsi współpracownicy zaprosili Klub Parlamentarny PiS do KPRM, gdzie merytorycznie i w przyjaznej atmosferze szef rządu mógł osobiście przedyskutować i wysłuchać opinii parlamentarzystów we wszystkich ważnych kwestiach programowych. Te więzy i ścisła współpraca pomiędzy probiznesowo nastawionym rządem a jego polityczną i parlamentarną emanacją winny być nadal pieczołowicie kontynuowane, a nawet wzmacniane, zwłaszcza w kwestii konsultacji dotyczących aktualnych procesów legislacyjnych i dokonywanych reform.

Po opanowaniu polityczno-historycznego pożaru wznieconego przez

łowego czy inwestycji, lecz także te polityczne dla rządzącego ugrupowania, i to w perspektywie znacznie krótszej niż najbliższe 40 lat. Podobnie istotne znaczenie, nie tylko ekonomiczne, będą miały zbliżające się rządowe rozstrzygnięcia o budowie elektrowni atomowej (koszt ok. 80 mld zł), połączeniu spółek petrochemicznych Orlen i Lotos, decyzje w sprawie Kodeksu pracy, kwestia zniesienia 30-krotności składek na ZUS dla osób dobrze zarabiających na poziomie ok. 11 tys. zł miesięcznie, a nawet nieśmiało podejmowane obecnie próby rozwiązania problemu tzw. polisolatek i kredytów frankowych.

Ryzykowna może się więc okazać teza, że rząd jest od gospodarki i finansów, a parlament od polityki, i że to dwa całkiem odrębne światy.

Dziś to właśnie sprawy gospodarcze i finansowe są kwintesencją polityki, a ich konsekwencje są znaczące, i to nie tylko w sondażach. Parlamentarne zaplecze rządu winno więc odgrywać stałą, znaczącą i sprawczą rolę w wypracowywaniu istotnych zmian i kierunków politycznych przemian, nie będąc jedynie maszynką do głosowania. To właśnie posłowie i senatorowie oraz związane z nimi środowiska lokalne powinny być rów-

nież intelektualnym zapleczem rządu. Tu współpraca, wzajemne zrozumienie i szacunek są wręcz bezcenne, a ich polityka informacyjna winna być dobrze skorelowana, wzmacniająca się wzajemnie i zrozumiąca dla przeciętnego wyborcy. Należałoby jak najszybciej wcielić w życie zapomniany już nieco pomysł z exposé premiera Morawieckiego o powołaniu Centrum Analiz Strategicznych, organu planistyczno-analitycznego zarówno rządu, jak i większości parlamentarnej. Warto więc toczyć intelektualną batalię, ale i dobrze współpracować, by planowane zmiany i pomysły naprawy III Rzeczypospolitej zakończyły się pełnym sukcesem i społeczną akceptacją. Bo bez względu na to, kto dziś rządzi, wszyscy ponosimy wspólną odpowiedzialność za polskie sprawy.

Należałoby jak najszybciej wcielić w życie zapomniany już nieco pomysł z exposé premiera Morawieckiego o powołaniu Centrum Analiz Strategicznych

Dostępność+ (23 mld zł), innowacje, w tym elektromobilność, Konstytucja Biznesu czy wreszcie ponowna, wielka reforma systemu ubezpieczeń, znana już pod nazwą Pracownicze Plany Kapitałowe (PPK), to wymiar decyzji tego rządu przebiegł stosunkowo bezboleśnie, z jedynym wizerunkowym problemem nagród dla ministrów. Kłopot w tym, że jakkolwiek rząd by był profesjonalny i technokratyczny, a nawet scyfryzowany, nastawiony głównie na przedsiębiorczość i technologię, nigdy nie będzie apolityczny i powinien być zawsze prawdziwą, programową oraz ideową emanacją rządzącej większości i parlamentu. To bowiem Sejm, Senat i zwycięskie ugrupowanie PiS zawsze będą ponosić pełną odpowiedzialność polityczną i wyborcze konsekwencje tych rządowych decyzji.

podpalaczy źle życzących Polsce, zarówno tych w kraju, jak i za granicą, najpoważniejszym wyzwaniem będą właśnie decyzje rządowe w sferze gospodarczo-financejowej o politycznym wymiarze i konsekwencjach dla całego obozu dobrej zmiany. Wśród nich reforma systemu emerytalnego pod postacią PPK, czyli nieco uczciwszą i sensowniejszą formą, kształtem jednak przypominającą system OFE, który był nie tylko bardzo kosztowny (20 mld zł zysku dla właścicieli OFE), lecz również spowodował ogromny wzrost zadłużenia państwa i nie dawał żadnych gwarancji bezpieczeństwa zgromadzonych w nich środków. I tym razem również ta reforma (PPK) będzie mieć niewątpliwie konsekwencje nie tylko te dla wzrostu oszczędności Polaków, dla rynku giełdowego i kapita-

TOMASZ KAROLAK

AKTOR

Pomidory w śmietanie

Mówi się, że z rodziną najlepiej się wychodzi na zdjęciu, ale moim zdaniem najlepiej wychodzi się z nią w kuchni.

Z rodzinnym domem – także z domem braci mojego ojca w słynnym Skaryszewie, który w serialu „Rodzinka.pl” stale przywołuję tekstami typu „cwaniaczku skaryszewski” – wiąże się cała kulinarna tradycja. Nigdy nie zapomnę, jak moja ciotka rozpoczynając wigilię, zjadała głowę ryby. Na stole pojawiały się też potrawy, bez których nie byłoby prawdziwych świąt. Podobnie jak nie byłoby ich i dziś bez dań, w których wyspecjalizowali się moi rodzice.

Ojciec po mistrzowsku robi np. pierogi czy barszcz biały (genialna jest również jego zalewajka), a mama – roladę z boczku z czosnkiem. I królika. Fantastycznie piecze także kaczkę. To potrawy, które obowiązkowo muszą się pojawić na rodzinnym, zwłaszcza świątecznym, stole.

Na co dzień najchętniej jem proste dania. Nie tylko polskie. Lubię np. japońską zupę ramen, taką egzotyczną odmianę rosółu. Pyszna i nieprzekombinowana.

Nie jestem fanem wykwinnych restauracji, chociaż od czasu do czasu mogę do nich zajrzeć, żeby zobaczyć, co nowego się pojawiło.

W moim obecnym domu kuchnia jest miejscem dla każdego. Nie wyrzuca się z niej dzieci „bo (się) pobrudzą”. Nie musi w niej być sterylnie. Jeżeli piecze się ciasto, dzieciaki mogą wylizywać garnek – jak kiedyś się robiło. Moja Wiolka robi też (nie tylko na wigilię) śląskie makówki, czyli mak przekładany białą bułką i zalany mlekiem.



Ze swojego dzieciństwa wspominam banalny (ale jaki!) smak: chleba z masłem i dżemem. Albo chałki z masłem. W latach 70., kiedy rodzinnie wychodziliśmy na plażę, mama robiła do słoika pomidory z cebulą. W śmietanie. Do tego dodawała odrobinę białego sera i czosnku. To było coś genialnego.

Na planie „Rodzinki.pl” sporo czasu spędzamy w kuchni. Domowe przepisy Boskich i ich przyjaciół pojawiły się w książce „Gotuj z Rodzinka.pl”. Moim faworytem jest kremowe risotto z krewetkami, ze szpinakiem i z pomidorkami cherry. To danie ma w sobie śródziemnomorską wykwinność, a jednocześnie jest łatwe do zrobienia. Tylko ryżu nie wolno rozgotować.

Notowała **Jolanta Gajda-Zadworna**

Krewetkowe risotto z młodym szpinakiem

Składniki: 600 g ryżu risotto, 600 g surowych całych krewetek, 1,5 l wody, 1 marchewka, 1 pietruszka, 1 por (biała część), 2 liście laurowe, 2 ząbki czosnku, 3 szalotki, 150 ml białego wytrawnego wina, oliwa z oliwek, 2 łyżki masła, 3 łyżki startego parmezanu, sól, pieprz do smaku, opcjonalnie: posiekana pietruszka.

Wykonanie: Krewetki obieramy z pancerzy. Do 1,5 l wody wrzucamy pancerze z krewetek, marchewkę, pora, pietruszkę i liście laurowe. Gotujemy przez ok. 30 min, następnie przecedzamy. W ten sposób otrzymamy bulion. Siekamy szalotki i czosnek, potem zarumieniamy je na oliwie. Dodajemy ryż i chwilę przesmażamy. Wlewamy wino i czekamy, aż odparuje. Następnie dolewamy po trochu go-

ącego bulionu i trzymamy na małym ogniu, bez przykrycia, co jakiś czas mieszając. Gdy ryż będzie al dente, dodajemy obrane wcześniej i umyte krewetki i dusimy dalej przez ok. 5 min. Kiedy ryż zmięknie, a bulion odparuje, zdejmujemy z ognia, dodajemy masło, parmezan oraz sól i pieprz do smaku. Wszystko mieszamy. Przekładamy na talerze i ewentualnie posypujemy natką pietruszki. Boska rada:

nie kupujemy gotowego sosu krewetkowego. Przygotowanie własnego bulionu z całych krewetek tygrysi nie jest trudne, a smak będzie dużo lepszy i wyraźniejszy. Bardzo drobno siekamy szalotki: ma to duży wpływ na słodycz ryżu. Im drobniej posiekane, tym lepsze risotto. Bardzo ważne jest, aby proporcje masła i parmezanu były odpowiednie (1:1), wtedy konsystencja risotto jest idealna.



SŁODKO-SŁONY

Słodkie kiszonki

Fot. Shutterstock

ANNA MONICKA

Wiecie, że jemy tak naprawdę oczami, a nasze kubki smakowe są przygotowane na to, co zobaczą, i bywają bardzo zdziwione, jeśli wyobrażenie różni się od tego, co leży na talerzu? Jesteśmy na przykład przyzwyczajeni do tego, że zupa ma być słona. Doprawienie jej mleczkiem kokosowym zamiast tradycyjnej śmietany oraz przyprawami, które kojarzą się raczej z piernikiem, dla wielu osób jest nie do przyjęcia. Przekonywanie do nowinek i łamanie stereotypów może trwać latami, a eksperyment wcale nie musi się udać. Cudowną zupę dyniową w kolorze starego złota, o nasyconym, lekko słodkawym, a jednocześnie ostrym smaku masali jemy tylko ja i moja mama. Mąż nie weźmie do ust, dziecko też prycha.

Ja jestem świeżo po eksperymencie z kiszaniem. To, co ukwasiliśmy, ma być kwaśne jak kapusta z beczki albo ogórki. Tymczasem kiszonki, których spróbowałam ostatnio, były słodkie. I czerwone, bo kolor warzyw zmieniano dodatkiem buraczków. Nie takiego smaku rzepy czy kapusty oczekiwałam, ale jestem pod takim wrażeniem, że zamiast pucować dom na wiosnę, zabrałam się do kiszonek. Was też zachęcam, bo to chyba najzdrowsze warzywa o tej porze.

Po pierwsze, potrzebujemy dorodną, mniej więcej kilogramową główkę kamiennej głowy (to taka odmiana warzywa). Jest, zgodnie z nazwą, bardzo zwężła, ale na szczęście nie trzeba jej szatkować, wystarczy pokroić w dość grubą kostkę. Nie kroimy głębia, bo w nim odkładają się zanieczyszczenia – warto o tym pamiętać. Do tego duży dług burak pokrojony w talarki lub starty na jarzynowej tarce (jak największy), trzy-cztery pokrojone ząbki czosnku, liść bobkowy, kawałek chrzanu, sól, kilka ziarenek pieprzu, półtorę łyżki soli. Przyprawy mieszamy. Już sam burak daje w kwaszeniu słodycz, ale można dodać też startą marchew i łyżkę miodu. Ta ostatnia przyprawa przyspiesza kiszanie, nie tylko zmienia smak tradycyjnej kiszonki. Dla fanów kminek, papryczka chili, imbir.

Najpierw w misce dokładnie mieszamy warzywa z przyprawami, a potem ubijamy je drewnianą kulką, żeby kapusta puściła sok. Teraz układamy w słoju, cały czas ubijając, a na górę wlewamy sok z kapusty. Musi zakrywać kiszonkę – żeby mieć pewność, nakrywamy ją obciążonym talerzem. Warzywa ustawiamy w ciepłym miejscu. Będą w słoju pracować, więc płyn może się burzyć i wypływać górą, trzeba być na to gotowym i ustawić słoje na tacy. Po czterech dniach można jeść. Smaczno!

WINNICA

MAZURKA

Kontakt ze skórą

ROBERT MAZUREK

Aha, żebym nie zapomniał: 25 kwietnia, środa, w Warszawie otwarta degustacja #skincontact2018. I chyba nie chodzi tu o kontakt ze skinnami. Zapiszcie sobie tę datę i wpadnijcie na tę spektakularną imprezę. Spektakularną nie ze względu na rozmiar, ale jakość głównie włoskich win naturalnych. Tam nie będzie słabych producentów.

I będzie prosecco. To brzmi jak prowokacja, bo ostatnie kilka lat to eksplozja popularności – nie tylko w Polsce – włoskich bąbelków. Nic dziwnego, że prosecco stało się jednym z najczęściej fałszowanych win na świecie. Że nie sprzedaje się drogo? Ale za to w jakich ilościach! U nas przemysłowe, bezsmakowe prosecco zaczęło się od dyskontów, potem przyszły modne, hipsterskie knajpy, teraz trafiło wszędzie, sprzedawane z beczki jak marne piwo. W żadnym z tych miejsc nie przejmowano się jakością. Kiedy więc przed człowiekiem staje coś takiego jak prosecco od Malibrana, to nie wiadomo, co zrobić. Niby kosztuje dwa razy tyle, co w dyskoncie, ale smakuje. I to jak smakuje!

Od razu powiem, że znam te wina i wstrzemięźliwość wykazuję jedynie wobec **Malibrana Gorio** (59 zł), i to nie dlatego, żeby mu czego brakowało, raczej za to, czego ma w nadmiarze, czyli cukru. Nie pasuje mi do tej delikatności, ale naród uwielbia... Moja osoba oszalała na punkcie siostrzanego wytrawnego **Ruio**. To prosecco ma wspaniały, niepodbijany cukrem aromat brzoskwińowo-trawiasty, piękne ułożenie i aksamit. Wspaniały, delikatny wino! Moim zdaniem ciekawsze nawet od wychwalanego **5 Grammi** (z malutkim dodatkiem cukru). I to koniec z prosecco, ale nie koniec z Malibranem, bo jest jeszcze musująca **Sottoriva** – rustykalne, mocno drożdżowe wino z osadem, sprzedawane w zakapslowanej butelce! Chuligan wśród win, ale trudno go nie pokochać, natura pełną gębą. Aż się pieni.



Vinieaffini.pl

robert.mazurek@hotmail.com, @wina_Mazurka

Mój kolega ze studiów, obecny dyrektor Muzeum Historii Żydów Polskich „Polin”, Dariusz Stola poprosił mnie o publiczne potwierdzenie faktu, że zapraszał mnie do udziału w pewnej odbywającej się tamże dyskusji. Publicznie bowiem zarzucono mu, iż – jak to ujął Piotr Zaremba (skądinąd inny kolega z jednego roku) – „podczas marcowych obchodów Polin otworzył szeroko podwoje wyłącznie dla środowisk krytycznych wobec polskiej prawicy, przekonanych, że Marzec '68 powraca właśnie teraz, niedbających nawet specjalnie o dokumentowanie tej tezy. Innych głosów, innych ludzi, tam nie było”.

Skoro Dariusz prosi, potwierdzam: tak jest, zostałem zaproszony. I po zastanowieniu odmówiłem, ponieważ przedstawiony mi skład dyskutantów był wybitnie jednostronny. Bowiem zaproszeni już uczestnicy, i zwłaszcza prowadzący, to była wyłącznie radykalna szpica opozycyjna, co w połączeniu z tematem spotkania w mojej ocenie stwarzało wielkie prawdopodobieństwo, że w panującej atmosferze stałoby się to okazją do nadania dyskusji charakteru nagonki w modelu trzy na jednego.

A wywołany do tablicy muszę z przykrością stwierdzić, że natchalnie aktualizujące zakończenie umiejscowionej w Polin wystawy o Marcu '68 (umieszczono tam antysemitki i „antysemitki” obecne wypowiedzi osób znanych medialnie) uważam za nieuczciwe. Bo nieuczciwe jest wszelkie sugerowanie stanu równości czy bodaj traktowanie na równej płaszczyźnie tego, co działo się w warunkach monopartyjnej dyktatury, mającej monopol na środki masowego przekazu, z tym, co dzieje się dziś. Opinie wygłoszone wówczas w telewizji czy w gazecie miały zabójczą moc. Nawet podobnie paskudne słowa wygłoszone dziś są tylko śmieszne. Wtedy to była groza. Dziś – groteska. Nie wiem, jak można udawać, że się tego nie widzi.

I jeszcze większą przykrością muszę stwierdzić, że godząc się na taką wystawę, w sytuacji, w której nie od dziś opozycja usiłuje – wbrew faktom – „ubrać” obecnych rządzących w antysemityzm, kierownictwo Polin zaangażowało w wojnę polityczną już nie siebie jako osoby fizyczne (do czego oczywiście każdy ma pełne prawo), tylko powierzoną sobie pla-

Groza i groteska

PIOTR SKWIECIŃSKI



*Ktoś, kto ma czelność sugerować
znak równości między organizowaną
przez władze totalitarne nagonką
a czymkolwiek, co obecnie dzieje się
w demokratycznej Polsce,
jest po prostu nieuczciwy*

cówkę. Która powinna pozostawać apolityczna. Ale to widać przesąd.

Faktem są, niestety, neurotyczne reakcje na polsko-izraelską wojnę, będące udziałem części polskich Żydów i Polaków żydowskiego pochodzenia. Niejako rozumiem je, bo rozmaite traumy często się dziedziczy po rodzicach i dziadkach. No i nie da się ukryć, że odpowiedzi na antypolską agresję związaną z nieszczęśliwą ustawą o IPN bywają różne, w tym i paskudne. Co prowokuje żydowską wrażliwość. Placówka taka jak Polin powinna, wydawałoby się, uznać za swoje powołanie nie potęgowanie, tylko leczenie neuroz. Nie zaostrzanie, tylko łagodzenie polsko-żydowskich kantów. W końcu taka miała być jej misja. Ale to widać też przesąd.

Pamiętam, jak na samym początku obecnego paroksyzmu, pod koniec 2015 albo na początku 2016 r., w „Wyborczej” ktoś wzywał właśnie wszelkiego rodzaju placówki kulturalne, żeby zerwały z wymogami związanymi ze swoją statutową działalnością i stały się awangardą „walki z faszyzmem”. Wydawało mi się to wtedy obłędem. Dziś dyrekcja Polin zdecydowała się zrealizować sformułowane wówczas zapotrzebowanie.

Ze smutkiem piszę te słowa, bo Polin mimo krótkiego okresu istnienia jest już muzeum zasłużonym. A jego ekspozycja (ta stała, a nie zakończenie czasowej wystawy o Marcu) bynajmniej nie jest antypolska, odwrotnie – kładzie nacisk przede wszystkim na stulecia mniej więcej zgodnej koegzystencji obu zamieszkanych nad Wisłą narodów, na co zresztą niegdyś głośno narzekali najradykalniejsi w swych obsesjach warszawscy działacze żydowscy. Który to kształt muzeum jest zasługą między innymi, tak jest, Dariusza Stoli. Powszechne szaleństwo, w jakim pogrążyła się Polska, sprawia, że takie rzeczy

i takie zasługi nie są dostrzegane. A wojna polsko-izraelska dopełnia reszty. W tej sytuacji uaktywniają się demony, także te naprawdę antysemitki. Trzeba przed nimi bronić tego, czego bronić warto. W tym i muzeum Polin.

Tylko że dyrekcja tego ostatniego bynajmniej tej obrony nie ułatwia. Konstatuję to z żalem, ale cóż. I tak, jakby co, to mimo wszystko merytorycznie muzeum bronić będę.

Dlaczego? Bo takie są moje obyczaje – jak mawiał w takich razach pewien wymyślony przez Żeromskiego staromodny inteligent.

Początek katastrofy

Czy Jan Tomasz Gross pisze już kolejną książkę o antysemityzmie i będzie ona nosić tytuł „Strach. Antysemityzm w Niemczech tuż po otwarciu drzwi dla muzułmanów”? Coś na wzór jego dzieła „Strach. Antysemityzm w Polsce tuż po wojnie”? Byłaby to książka przedstawiająca wydarzenia z początków XXI w., 73 lata po Holokauście, ale nawiązująca do historycznych wydarzeń, takie *déjà vu*. Coś, co nie powinno się już więcej zdarzyć właśnie w Niemczech, kolebce antysemityzmu, w kraju, który przyrzekł, że już nigdy więcej...

A jednak społeczeństwo niemieckie i jego aparat władzy wdepnęły do tej samej brudnej antysemickiej wody z własnej nieprzymuszonej woli. Kiedy kanclerz Niemiec Angela Merkel zapraszała uchodźców z objętych wojną państw muzułmańskich, oświadczyła: „Zapraszamy was, bo chcemy rozwiązać problem o zasięgu globalnym”. I zapewniła świat: „Wir schaffen das” – „Damy radę”. I nie dali, choć powinni. Wszak Niemcy to wzór talentów organizacyjnych, co to działają „langsam, langsam, aber sicher” – „powoli, ale pewnie”. Tymczasem uchodźcy wojenni stanowią niewielki procent tej 1,5-milionowej masy przybyszów z Bliższego Wschodu, Afryki i Azji. Ta masa to emigranci ekonomiczni, którzy przybyli do najbogatszego państwa Europy z pobudek materialnych. Przybyli i skorzystali ze wszystkich możliwych dóbr społecznych, przywożąc z sobą inny świat, a przede wszystkim inną religię, a jej zasadą podstawową jest dżihad – walka z „niewiernymi” na śmierć i życie, czemu służą zamachy terrorystyczne.

Czy Angela Merkel, chrześcijanka, córka pastora ewangelickiego, nie brała tego pod uwagę, zapraszając ludzi wychowanych w systemie niemającym nic wspólnego z zasadami demokracji, jakimi kieruje się Europa? A więc i z zasadami tolerancji religijnej, kulturowej i rasowej, zwanej w skrócie „multikulti”. Prawdopodobnie nie przyszło jej to do głowy, tej „żelaznej kanclerz” oszołomionej sukcesami gospodarczymi i politycznymi, pozwalającymi Berlinowi trząść całą Unią Europejską i stawiać się na piedestale wyższości moralnej, tak pożądanego dla zrucenia garbu zbrodni przeciw ludzkości, jaką był Holokaust.

Na ulicach wielkich miast i miasteczek zaroilo się od śniadych, młodych mężczyzn, którzy multikulti potraktowali dosłownie, a poza tym to nie są jakieś barany, to ludzie inteligentni, którzy w mig pojmują działanie liberalnego z zało-



*Mają Niemcy nowy
antysemityzm – islamski,
cynicznie wspierany przez
organizacje lewackie*

żenia prawa i wysokość kar, jakie ich czekają za gwałt. Poza tym wiedzą, że mogą ich uniknąć, jeśli znajdą dobrych obrońców. A tych jest pod dostatkiem. W ich wynajęciu pomagają finansowo różne związki islamskie, które wyrastają jak grzyby po deszczu.

Gwałty, rabunki, zaśmieszanie ulic i miejsc użyteczności publicznej, uchylanie się od nauki języka i od jakiejkolwiek pracy, to jedna, kryminalna strona tego niemieckiego problemu „o zasięgu globalnym”.

Jest jeszcze druga strona. Systematyczna, ale bezwzględna walka z ludźmi wyznającymi wiarę w Jezusa Chrystusa i Boga Izraela. W pierwszym przypadku duchowni muzułmańscy zdając sobie sprawę z daleko posuniętej laicyzacji Niemców, doszli do wniosku, że łatwo ich odwieść od wiary, najlepiej prowadząc „edukację” od podstaw, obierając za cel dzieci i młodzież. Jak napisał dziennik „Bild”, coraz częściej w niemieckich szkołach dochodzi do wybryków antysemickich i antychrześcijańskich, w tym wobec nauczycielek: „Ta zdzira nie będzie mi mówiła, co mam robić!”. Część muzułmańskich uczniów rozprowadza w szkołach materiały propagandowe islamskich ekstremistów za pomocą komórek, np. sceny obcinania głów „niewiernym”. Czyli nauczanie przez zastraszanie. Żydowskie dzieci są w niemieckich szkołach szykanowane, nic dziwnego, że przenoszą się do szkół żydowskich.

Nie jest dobrze być w Niemczech Żydem, a przecież właśnie Żydzi w Izraelu, co jest ironią, bardziej lubią Niemców, którzy posyłali ich ziomków do gazu, niż Polaków, którzy ratowali ich przed zagładą. Czy historia się powtarza? Nie, to grymas historii narodu germańskiego, który po raz kolejny chciał dobrze, a wyszło jak zwykle. Tym razem to grymas wywołany przez brak wyobraźni, cechujący Niemców jako naród i jako jednostki. Owszem, potrafią coś zorganizować, ale gdy w tym łańcuchu solidności i porządku pęknie choć jedno ogniwo, wszystko się sypie.

Mają Niemcy nowy antysemityzm – islamski, cynicznie wspierany przez organizacje lewackie, do których należą aktywiści żydowskiego pochodzenia, bo nienawidzą Izraela i nie wierzą w Boga, wierzą w ideologię, którą nazywają „europejskimi wartościami”. To, co się dzieje w Niemczech i we Francji, gdzie zamordowano Żydówkę ocalałą z Holokaustu, to dopiero początek czekającej Europę katastrofy.

DARIUSZ KARŁOWICZ

Zły czarnoksiężnik

Swiat odetchnął z ulgą, bo wreszcie wiadomo, co się stało. Brexit, Trump – wszystko się wyjaśniło. Wydało się, kto ukradł zwycięstwo. Część winy ponosi Mark Zuckerberg ze swoim Facebookiem. Czy chodzi o niefrasobliwość, czy o coś więcej, okaże się niebawem. Faktem jest, że właśnie przez niego magiczna różdżka dostała się w ręce złego czarnoksiężnika, który zawładnął wolą biednych, głupich ludzi. Wprawieni w stan hipnozy, oszomieni, zmanipulowani stali się bezwolnymi wykonawcami politycznych instrukcji. Wzgardzili mądrą Clinton, poparli Trumpa, głosowali za „leave”, a kto wie, może nawet na Prawo i Sprawiedliwość. Za czarodziejską różdżkę zły czarnoksiężnik płacił brudnymi pieniędzmi. Jest potworem, który nie cofnie się przed niczym – szantaż, stręczycielstwo, przekupstwo, to dla niego bułka z masłem. Jest też niezwykle przebiegły. Jest Cambridge Analytica!

Oto wreszcie prawdziwie terapeutyczna afery. Seria niedorzecznych wydarzeń znalazła zadowalające rozwiązanie. Analizy społecznych zmian nie są potrzebne. Psu na budę badania, dlaczego ludzie nie chcą dobrodziejstw lewicowo-liberalnych reform, dlaczego nie podoba im się Bruksela, co dobrego widzą w państwie narodowym, dlaczego nie porywa ich perspektywa powstania strefy wolnego handlu ani nie uwzniośla wizja wielokulturowych społeczeństw. Furda, męczący namysł nad ekonomicznymi skutkami globalizacji, furda, przykre hipotezy na temat alienacji elit, precz z nudnymi analizami deficytów demokracji. To wszystko jest całkowicie niepotrzebne. Zresztą każdy rozsądny człowiek wiedział o tym od zawsze. Mark Lilla i inni czarnowidze niepotrzebnie psuli nam humor. Cambridge Analytica podstępnie ukradł dane 50 mln osób, stworzył precyzyjne profile, a potem zamknął ludzi w informacyjnych bańkach, nie tylko pozbawiając ich szans na dostrzeżenie zalet Hillary

Clinton, lecz wmawiając im, że pies to kot. Jakie to proste i jakie złe. Prawda?

Czy można się dziwić, że politycy prześcigają się w stanowczości? Każdy żąda, by Zuckerberg zdał sprawę z tego, co się stało. Każdy chce go przesłuchać. Wzywa go komisja ds. energii i handlu Izby Reprezentantów Kongresu USA. W tyle nie pozostaje niemiecki rząd. Minister sprawiedliwości Katarina Barley z całą stanowczością twierdzi, że naruszenie praw o ochronie danych stanowić może zagrożenie dla demokracji. W Anglii wyjaśnić oczekuje przewodniczący komisji ds. cyfryzacji i mediów Izby Gmin. W imieniu 500 mln Europejczyków przed swoje surowe oblicze wezwał Zuckerberga sam przewodniczący Parlamentu Europejskiego Antonio Tajani. Nie śmiem się narzucać, ale może prościej byłoby za jednym zamachem, z transmisją na żywo, choćby w Madrycie? Szpiczaste czapki, stos, skruszeni grzesznicy. Zuckerberg płonie, a nawrócony grzesznik Chris Wylie, dawny szef działu badań CA, uroczyście podpisuje protokół spowiedzi złożonej na szpaltach „Guardiana”. A potem przy dźwiękach „Ody do radości” UE uroczyście przejmuje zarząd Facebooka.

Kpię sobie, a przecież sprawa jest poważna. Nie bagatelizuję podobnych manipulacji, tyle że problem ten naprawdę trudno uznać za sensacyjną nowość. Jak długo podobnych rzeczy dopuszczał się biznes lub „nasi”, tak długo sprawa nie wydawała się szczególnie niepokojąca. Jeszcze w czasie ostatniej kampanii Obamy liberalna prasa z entuzjazmem komentowała skuteczne wykorzystywanie danych służących do efektywnego docierania do wyborców. Może czegoś nie pamiętam, ale chyba nikt nie łamał sobie wtedy głowy, jak pozyskiwano dane. Owszem warto pomyśleć, czy nie powinny tu obowiązywać surowsze zasady. Ale nie o tym chciałbym mówić. Ciekawsze wydają mi się założenia tkwiące za tą aferą, no i jej możliwe skutki.



Nie po raz pierwszy widzimy, że zwolennicy rozumu i wolności okazują się wyjątkowo sceptyczni, jeśli idzie o ludzkie zdolności krytyczne i możliwość unikania prymitywnej manipulacji. Nie przeczę, że sprawny marketing polityczny zwłaszcza w wypadku ludzi żyjących w informacyjnych bańkach może mieć poważny wpływ na nasz obraz świata. Ale czy zniewala? Nie żyjemy w matrixie. Ludzie mają do dyspozycji rozmaite media. Te społecznościowe to tylko pewien fragment świata. No i przecież widzą, co ich otacza. Żadna manipulacja nie przekona bezrobotnego mieszkającego w którymś z tzw. zardzewiałych stanów, że żyje mu się świetnie, a rządy Obamy poprawiły jego los. Zwalanie wszystkiego na marketing to raczej wyraz pogardy niż realizmu, raczej ucieczka przed rzeczywistością niż dowód przenikliwości.

Druga sprawa to możliwe skutki tej afery. Może jestem zbyt podejrzliwy, ale nie mogę się pozbyć myśli, że w liberalnych kręgach rośnie apetyt na cenzurę. Niedawno pisałem tu o rosnącym zagrożeniu budowanym w imię wolności i o liberalno-demokratycznym państwie policyjnym. Żeby w imię wolności wolność ograniczyć, trzeba wskazać na wyższą konieczność i na demonicznego wroga. Rozwiązanie wyzwolić ma z kłopotów, w które wpędza nas ludzka słabość i podli ludzie. Cenzurę trzeba wprowadzić w imię wolności. Oczywiście tylko przejściowo – tylko do czasu, aż źli znikną, a głupi zmądrzeją. 

WEŹ UDZIAŁ W KONKURSIE „NIEDZIELI”

pt. „NA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI – MODLITWA ZA OJCZYZNĘ”



1918 · 2018

**Patronat Narodowy
Prezydenta
Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy
w Stulecie Odzyskania
Niepodległości**

**Duchowa opieka
nad Konkursem:**

**abp dr Wacław Depo –
metropolita częstochowski**

**o. Marian Waligóra OSPPE –
przeor Jasnej Góry**

Skład

Komisji Konkursowej:

ks. prał. Zbigniew Kras
ks. prof. Krzysztof Pawlina
ks. kan. Wacław Buryła
red. Anna Wysznińska
red. Marian Florek

Patroni medialni:

portal www.niedziela.pl
NIEDZIELA TV

Partner Konkursu:

Fundacja NIEDZIELA.
Instytut Mediów

1. Konkurs: „Na stulecie odzyskania niepodległości – modlitwa za Ojczyznę” wpisuje się w obchody tej ważnej rocznicy. Jego cele to: szeroka refleksja nad naszą pamięcią i tożsamością, nad patriotyzmem i miłością do Polski; zachęcenie dzieci, młodzieży i dorosłych do wyrażenia tych uczuć w formie modlitwy, zawierającej intencje dziękczynne, przeprasające i błagalne.

2. Organizatorem Konkursu jest Redakcja Tygodnika Katolickiego „Niedziela” (Częstochowa, ul. 3 Maja 12) wraz z jego pomysłodawcą – ks. prał. Zbigniewem Krasem, kapelanem prezydenta RP Andrzeja Dudy.

3. Konkurs adresowany jest do dzieci, młodzieży i dorosłych, do Polaków mieszkających w kraju i za granicą. Przewidziane są trzy kategorie wiekowe: 1) – dzieci do lat 12; 2) – młodzież do lat 18; 3) – dorośli powyżej lat 18.

4. Warunki uczestnictwa:

4.1. Warunkiem wzięcia udziału w Konkursie jest nadesłanie tekstu ułożonej przez siebie modlitwy na podany przez organizatora temat pocztą lub dostarczenie go osobiście do organizatora w terminie **do 15 kwietnia 2018 r.** (liczy się data stempla pocztowego). Modlitwa może być wyrażona prozą lub w formie poetyckiej. Objętość jednego tekstu nie powinna przekroczyć **1000 znaków ze spacjami**.

4.2. Prace należy nadsyłać pod adresem: Tygodnik Katolicki „Niedziela”, ul. 3 Maja 12, 42-200 Częstochowa, z dopiskiem na kopercie: „Konkurs”. Nadesłanie pracy jest równoznaczne z akceptacją Regulaminu Konkursu.

4.3. Każdy uczestnik może nadesłać maksymalnie 5 tekstów ułożonych przez siebie modlitw. Uczestnik Konkursu może przysłać tylko teksty własne, autorskie. Nadesłane prace nie mogą w żaden sposób naruszać praw własności intelektualnej bądź innych praw osób trzecich. Można natomiast szukać inspiracji w tekstach polskich kapłanów, poetów i pisarzy, m.in. w nauczaniu św. Jana Pawła II i czcigodnego sługi Bożego kard. Stefana Wyszyńskiego, prymasa Polski.

4.4. Każdy tekst powinien być podpisany godłem (pseudonimem) autora; należy podać kategorię wiekową, do której kwalifikuje się autor. W osobnej kopercie, podpisanej godłem, należy umieścić dane osobowe

autora: imię i nazwisko, dokładny adres korespondencyjny oraz numer telefonu komórkowego, a w przypadku uczniów – także ich wiek oraz nazwę szkoły, do której uczęszczają. W przypadku udziału w Konkursie osób poniżej 18. roku życia do korespondencji należy dołączyć oświadczenie rodzica lub opiekuna prawnego o wyrażeniu zgody na udział w Konkursie osoby niepełnoletniej oraz akceptację Regulaminu Konkursu. W celu zachowania anonimowości uczestników prosimy o nadsyłanie tekstów pocztą tradycyjną.

4.5. Organizator nie odsyła prac nadesłanych na Konkurs.

5. Prace w poszczególnych kategoriach wiekowych będzie oceniać Komisja Konkursowa powołana przez Tygodnik Katolicki „Niedziela”. Komisja dokona wyboru 5 najlepszych prac w każdej kategorii. **Ogłoszenie wyników Konkursu z wręczeniem nagród odbędzie się podczas gali w siedzibie redakcji „Niedzieli” w Częstochowie 2 czerwca 2018 r.** Wyniki zostaną opublikowane na stronie internetowej: www.niedziela.pl oraz na łamach Tygodnika Katolickiego „Niedziela”.

6. Autorzy nagrodzonych i wyróżnionych prac otrzymają **cenne nagrody rzeczowe oraz dyplomy**. Zwycięskie teksty zostaną opublikowane na portalu „Niedzieli”.

7. Dodatkowe informacje o Konkursie można uzyskać pod adresem: redakcja@niedziela.pl lub telefonicznie pod numerami: 34 369 43 24 oraz 34 369 43 02.

8. Redakcja Tygodnika Katolickiego „Niedziela” zastrzega sobie prawo do bezpłatnego wykorzystania prac na potrzeby Konkursu, a także do ich ewentualnej publikacji prasowej, książkowej, do prezentacji telewizyjnej i internetowej oraz na innych nośnikach.

**Redakcja Tygodnika Katolickiego
„Niedziela”**

Uwaga!

Uczestnicy konkursu spotkają się 2 czerwca 2018 r. na wspólnej modlitwie na Jasnej Górze. Laureaci zostaną zaproszeni do Pałacu Prezydenckiego w Warszawie.

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Negocjowanie suwerenności?

Premier Mateusz Morawiecki dla wPolityce.pl żali się, że ludziom żyjącym na Zachodzie „ciężko jest zrozumieć ten specyficzny stan, w jakim żyją społeczeństwa wychodzące z komunizmu”. Nie wiem, czy właściwie używam określenia „żali się”. Może lepiej byłoby napisać: „twierdzi” albo „uważa”. A jednak słowa premiera odbieram jako pewien rodzaj żalu, tym bardziej że ocenia on szanse na porozumienie z Komisją Europejską na 65–70 proc. Zatem czego nie wolno politykowi, tym bardziej premierowi, to wolno, jeszcze, publicyście.

Polska chce negocjować z Komisją Europejską. Demokratycznie wybrany rząd z wybranymi prawem kaduka Jeanem-Claude'em Junckerem i Fransem Timmermansem. Nie wiadomo dokładnie, kto ich wybrał, po prostu kierują KE w efekcie zakulisowych uzgodnień francusko-niemieckich. Widocznie dali najlepsze gwarancje realizacji polityki Unii Europejskiej sterowanej przez te dwa kraje, uważające się za „jądro” Unii. I, trzeba przyznać, swoje obowiązki wykonują gorliwie, to znaczy sterują Komisją Europejską w takim kierunku, aby kraje „drugiej ligi”, jak Polska, dopasowały się do oczekiwań „jądra”. To dlatego Niemcy i Francja nie mają żadnych spornych spraw z Komisją, no bo przecież, jak tłumaczył Juncker, Niemcy to Niemcy, a Francja to Francja. Gdyby ów stosunek do krajów przyjętych do Unii w drugiej kolejności był tylko paternalistyczny, ale niestety przypomina on nie tak jeszcze odległe czasy, kiedy Polska funkcjonowała w RWPG i Układzie Warszawskim. Moskwa także tworzyła pozory demokracji, internacjonalistycznej, chcąc uzyskać od wasali akceptację projektów politycznych powstałych wcześniej w zaciszach Kremla.

Komisja Europejska nie miała żadnych podstaw prawnych do ingerencji w polskie wewnętrzne ustawodawstwo. Wiedzą o tym doskonale prawnicy w Berlinie, Paryżu, Brukseli i w Warszawie. A jednak zdecydowano się na długotrwałe wywieranie presji na polski rząd w celu „zagwarantowania praworządności”, czyli wycofania się ze zmian w wymiarze sprawiedliwości, głównie z przepisów dotyczących Trybunału Konstytucyjnego i Krajowej Rady Sądownictwa, grożąc uruchomieniem art. 7 traktatu, który pozbawiłby nas prawa głosu w unijnym porządku. Pomocną w tym rolę odgrywają wciąż obecna opozycja i spora część zagranicznych mediów w Polsce, fałszując w świecie prawdziwy obraz naszego kraju.



*Kiedy rządziła koalicja PO-PSL,
Komisja Europejska ślepo
akceptowała samowolę władzy*

Do 2015 r., kiedy rządziła koalicja PO-PSL, Komisja Europejska nie miała żadnych krytycznych uwag na temat praworządności w Polsce. Ślepo akceptowała samowolę władzy: masowe zwalnianie dziennikarzy z mediów publicznych, stosowanie siły wobec dziennikarzy, blokadę koncesji dla Telewizji Trwam na nadawanie na multipleksie, kradzież funduszy z OFE, ubezwłasnowolnienie prokuratury, liczne patologie wymiaru sprawiedliwości... długo by wymieniać. Ówczesna opozycja, czyli Prawo i Sprawiedliwość, nie chwyciła się brukselskiej klamki, ale konsekwentnie mobilizowała wokół siebie społeczeństwo na przyjęcie przyszłych zmian. Problemy z tzw. praworządnością pojawiły się równocześnie z przegraną Platformy Obywatelskiej i wdrażaniem programu wyborczego zwycięskiej koalicji. A program ten, złożony w olbrzymiej większości z wyborczych obietnic, przewiduje wiele zmian, szczególnie szybkich i gruntownych w wymiarze sprawiedliwości ocenianym jako komunistyczny relikw.

Zostało więc naruszone przewidziane dla Polski status quo, które gwarantował Unii Europejskiej poprzedni rząd, a właściwie gwarantowała cała formacja postkomunistyczna wyloniona po okrągłym stole. Polska nagle przestała się gospodarczo „zwijać”, wyprzedawać za bezcen i gwarantować kolonialny status państwa z tanią siłą roboczą zagospodarowywaną przez Zachód. Oczekiwanie Zachodu wobec Polski jako zaplecza konsumenckiego i rezerwu pięknej przyrody, gdzie zachodni turyści, zamiast podziwiać stocznie produkujące statki, mogą zwiedzać Europejskie Centrum Solidarności, stają się nieaktualne. Polska aspiruje w Unii Europejskiej do bycia podmiotem zdolnym do artykułowania własnych, samodzielnych koncepcji rozwoju i przewodzenia krajom Europy Środkowo-Wschodniej. Takie też są aspiracje większości państw byłego bloku wschodniego i nie muszą się one kłócić z unijnym członkostwem.

Premier Morawiecki oczekuje od Komisji Europejskiej kompromisu, rozumianego zwykle jako wspólne i symetryczne ustąpienie z pewnych oczekiwań. I tu jestem pesymistą, bo przypomina mi się, jak Zachód blokował dostawy broni, gdy w 1920 r. odpieraliśmy bolszewicką nawałę. Jak nie wywiązał się z sojuszniczych zobowiązań we wrześniu 1939 r. Jak wspierał oficjalnie stan wojenny, jak rozpowszechnił zachodnią rewolucję kulturalną, niszcząc naszą wspólną cywilizację, jak dziś naciska na przyjęcie imigrantów, aby osłabić państwa narodowe, i jak po cichu układa się z Moskwą, by pozbyć się amerykańskiej obecności w Europie. 

Ślepotą i głuchotą

Nie ma silnej ani skutecznej dyplomacji bez dobrze działających służb specjalnych. Pomiędzy tymi dziedzinami istnieje niewidoczne, ale wyraźnie obecne sprzężenie zwrotne.

Spójrzcie na Rosję, ma słabą gospodarkę, fatalne stosunki społeczne, nie funkcjonują w niej normalne mechanizmy obecne w prawdziwie demokratycznych państwach, a jednak ciągle odnosi spore sukcesy dyplomatyczne i należy do państw, których głosu trzeba poważnie słuchać. Tu nie znajdziemy żadnej zaskakującej odpowiedzi. Po prostu Rosja ma świetne służby specjalne, a więc i jakość jej dyplomacji jest wysoka.

W tym kontekście pytanie o przyczyny słabej kondycji polskich działań dyplomatycznych i wielu klęsk, jakie w ostatnim czasie na tym polu ponieśliśmy, wydaje się mieć jasną odpowiedź: nie mamy dobrej dyplomacji, bo mamy fatalne służby. Zamiast werbować potencjalnych współpracowników Polski, my ciągle musimy się obawiać obcych agentów wewnątrz naszych struktur. Bez tajnej wiedzy pochodzącej ze służb specjalnych dyplomaci są ślepi i głusi jak krety. Niestety słabe służby przesądzą także o tym, że nasza polityka zagraniczna nie kieruje się wyraźnymi wskazaniami, zdana jest jedynie na intuicję i wyczucie ambasadorów i konsulów, a w praktyce rządzą nią aktualne mody i wskazania ze strony innych krajów.



**Witold
Gadowski**

Ktoś spyta: a czym nasze służby tak znacząco różnią się od analogicznych struktur w krajach się szanujących? Odpowiedź jest niestety zgodna z najczarniejszymi obawami, jakie wiele niepodległościowych środowisk wyrażało na początku lat 90. Te służby od początku skażone są agenturą państw ościennych, która strukturalnie została wbudowana w te nowe-stare instytucje. Nasz wywiad i kontrwywiad cywilny tworzony był przez oficerów wywodzących swój rodowód z komunistycznej SB. Tych ludzi można posadzać o wiele, na pewno jednak nie można im zarzucić braku służalczej postawy wobec „ojczyzny światowego proletariatu” – ZSRR, której przypudrowaną sukcesorką jest dzisiejsza Rosja Putina.

Kiedy zatem potencjalni i rzeczywisti agenci Moskwy współtworzyli cywilne służby specjalne, to jak można było ustrzec te instytucje przed wpływami sowieckiej, a potem i rosyjskiej agentury? Jeszcze jaśniejsza sytuacja dotyczy naszych wojskowych służb specjalnych. Ta formacja do 2006 r. nie została poddana żadnej weryfikacji, a służący w niej żołnierze byli specjalnie wytresowani do służenia ZSRR.

Być może Polacy nie mają predylekcji do tworzenia skutecznych służb specjalnych, niemniej jeżeli chcemy mieć jako tako niepodległe państwo, to musimy się także dorobić prawdziwych instytucji, które są oczami i uszami normalnego kraju. ➤

Przyszłość narodu

Cwierć wieku temu w polskich niegdyś Baranowiczach (Białoruś) napotkałem wyjątkowego kapłana. Sytuacja w jego parafiach (miał ich pod sobą kilka) była dramatyczna. Starzy, przywiązani do wiary i tradycji Polacy wymierali. Sfrustrowane średnie pokolenie piło samogon, staczało się bądź asymilowało w zastraszającym tempie.

Młody ksiądz postawił na edukację najmłodszych. Kusząc dzieciaki słodyczami, ciekawymi polskimi filmami, organizując im życie kulturalne i związane z tym atrakcyjne wyjazdy do Polski – przyciągnął je do kościoła. Powstał polski zespół taneczny, muzyczny, teatralny, choćko historyczne i literackie. Zaradny proboszcz załatwił nawet antenę satelitarną, by można wspólnie oglądać TV Polonia.

Gdy jesienią ubiegłego roku podziwiałem na Stadionie Narodowym rewelacyjne, kresowe chóry – wiedziałem, że stoi za tym ogromna praca u podstaw m.in. takich właśnie ofiarnych duszpasterzy.



**Lech
Makowiecki**

Gdybym mógł, wysłałbym niektórych naszych urzędników na Kresy, na obowiązkowe korepetycje. Tam często kilku społeczników z powodzeniem realizuje to, z czym nie radzą sobie „profesjoniści” z MEN czy MKiDN.

Umysły uczniów poddawane są dziś totalnej demolce: media, film, internet czy ulica promują chamstwo, bylejakość, równanie w dół, obscenę itp. – słowem „rób ta, co chceta”. Resztki tradycyjnych wartości rugują z przestrzeni publicznej genderowi harcownicy nachalnie wciskający się do szkół. Zapracowani rodzice i zagubieni młodzi nauczyciele (częstokroć sami „wychowani” na Wojewódzkim i Owsiaku) ten proces „odmóżdżania” małałów jeszcze pogłębiają. Poziom edukacji pikuje, podobnie jest z kulturą i wrażliwością młodzieży. Do przywrócenia normalności i jakości nauczania potrzebny jest ogromny wysiłek edukacyjny i wychowawczy, również przywrócenie autorytetów. Dość już promocji bohaterów kontrowersyjnych! Odzyskaliśmy wzorce ludzi nieskazitelnych, heroicznych, wręcz świętych: „Inkę”, „Nila”, Pileckiego... ➤

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Surogatkami Pana Boga

Felietonu nie piszę jako czynny badacz i nauczyciel akademicki. Nie piszę jako autor książek naukowych i promotor prac magisterskich i doktorskich. Nie piszę jako reprezentant jakiegokolwiek grupy. Piszę tylko jako ten pod nim podpisany. Czasem jako mąż, ojciec i dziadek. Tyle na wstępie. A teraz od początku.

Jestem całkowicie po stronie Kai Godek. I nawet gdyby Godek i jej podobnych w ogóle nie było, to nie myślałbym inaczej. Tak cały i do końca. I dlatego mam żal, że na uniwersytecie dla niej i pięciu utytułowanych uczonych zabrakło miejsca na dyskusję. Uważam, że jej przekonania są również moimi przekonaniem. I już nie jestem w stanie dłużej znieść idiotycznych spekulacji i quasi-naukowych dysput o tym, czy zygota jest życiem, czy może jakimś „przedżyciem” albo beztreściowym „plodem”. Bo jest życiem i basta! Ma wszelkie przesłanki i warunki, aby się rozwinąć i w postaci oseska wyjść z łona matki. Nie jest żadnym zaczynem, ale człowiekiem, który już ma godność, duszę i wszelkie prawa, a zwłaszcza prawo do życia i miłości.

Dyskusowanie o tym nie ma dla mnie najmniejszego sensu. Jeśli bowiem ktoś mówi inaczej, to wpisuje się w retorykę, że jedni ludzie mają prawo decydować o życiu i śmierci innych. To fundament Holocaustu, stalinowskich i trockistowskich czystek, afrykańskich walk plemiennych i wszelkich innych zbrodni. Nie rozumie tego myśląca jak mop do podłóg Scheuring-Wielgus, bo ona w ogóle nic nie rozumie. I chyba również i tego, co wygaduje. Nikt nie ma prawa zabijać drugiego człowieka. Dlatego też jestem przeciwnikiem eutanazji i kary śmierci.

W zygocie jest już Boże tchnienie. Jest w niej największa tajemnica, której nigdy nie odkryją transhumanści – tajemnica życia. Zgłębiają ją medycy, biolodzy, fizycy, teologowie, psychologowie, kosmologowie, artyści, filozofowie i zabawni niekiedy specjaliści od sztucznej inteligencji, ale dla nich wszystkich i każdego z osobna to wiedza niedostępna. Nikt nie odpowie na pytanie, co to jest życie. To bowiem Boży depozyt, który możemy rozdać, możemy też defraudować i niszczyć, bo mamy wolną wolę, ale nie umiemy go stworzyć. Bo mamy wiele darów, ale tchnienia Bożego nie mamy.

I uważam, że jest to jedyne możliwe podejście, które nie może być przedmiotem żadnego, z naciskiem na „żadnego”, kompromisu. Jest życie – jest i Bóg. Boga się nie wygania.



**Aleksander
Nalaskowski**

*Życie to Boży depozyt, który
możemy rozdać, możemy
też defraudować i niszczyć,
bo mamy wolną wolę, ale nie
umiemy go stworzyć*

Aborcja to eufemizm dla skrobanki, rozdrabniania ciała dziecka na kawałki i wyrzucania go do śmieci z odpadami pooperacyjnymi. To dokładnie to samo, co zmiecenie zdemenciałej babci i wyrzucenie jak odpadu do kubła na śmieci. Dziecko już żyje, a babcia jeszcze żyje. W jednym i drugim przypadku powód może być ten sam – za małe mieszkanie. Już byli tacy, co dla lebensraum zabijali.

Ustalanie jakiegokolwiek granicy czasowej, do której możliwe jest usunięcie dziecka, przypomina mi taką esesmańską poprzeczkę w obozach dla dzieci. Który maluch pod nią przeszedł – szedł na śmierć, a który nie przeszedł, to szedł do pracy, bo był wystarczająco rośły. Niektóre dzieci stawały na palcach...

Niepojętą tajemnicę życia daje nam Bóg i tylko on ma prawo życie odebrać. W tym znaczeniu każda kobieta jest surrogatką Boga. Dziecko w jej łonie jest ledwie depozytem tajemnicy Bożego tchnienia. Ona jest dlań szczególnym bankiem, który powierzone aktywa ma rozwijać, ale nie może ich defraudować, niszczyć, okradać skarbcza. Niewiasta, jak każdy człowiek, jest dysponentką własnego ciała. Może więc każdemu mężczyźnie powiedzieć „nie”, może

być odpowiedzialna i zaciskać kolana, może przewidywać. Może robić sobie korektę biustu, wstrzykiwać botoks, malować usta i farbować włosy. Ale ciało dziecka, od samego początku, nie jest jej ciałem. To zupełnie ktoś inny.

I to jest bezdyskusyjne. Jeśli to uchylimy, to tak jakbyśmy stwierdzili, że jeden nie równa się jeden. Wówczas cała matematyka pójdzie w diabły.

Jedna z maszerujących w czarnej tłuszczu przyznała, że manifestowała, aby zabronić zabijania (tak powiedziała!) drzew w stolicy. Zaraz, zaraz – to drzewo posadzone przez siebie na własnej posesji można chronić przed wycięciem, a dziecko w łonie na taką ochronę nie zasługuje?! A klepki w porządku, panusiu? Moje ciało należy do mnie? A moja działka i drzewko to do kogo?!

Tydzień przed Wielkim Piątkiem, w Wielkim Poście, czarna ludzka piana bez wstydu, przy udziale demokratycznie wybranych polityków, opowiadała się za śmiercią, z zapalem przytrzymując kamień zakrywający grób Ukrzyżowanego, aby ten z niego nie wyszedł. A może tylko krzyczeli: „Ukrzyżuj, ukrzyżuj!”, aby władza beznamiętnie wydała stosowne rozporządzenia?

PRZEZ ŚWIETLIK

Poświętecznie

Od czasu do czasu dowiaduję się, że jestem klerykałem, na siłę ewangelizuję biednych słuchaczy polskiego publicznego radia albo zmuszam ich do wysłuchiwania mszy św. zwanej przez „Gazetę Wyborczą” „mszą”. Jest to dla mnie ciekawe o tyle, że do tej pory raczej za człowieka okładającego bliźnich krzyżem nie uchodziłem, co więcej – nim się nie czulem.

Uważam, że mój stosunek do wiary jest sprawą na tyle intymną i skomplikowaną, że tym bardziej nie nadaję się na ewangelizatora. Podobnie zresztą z wieloma sprawami związanymi z moralnością, wszelkiego rodzaju zakazami i nakazami dotyczącymi choćby tytoniu, alkoholu, przeklinania albo stylu jazdy samochodem. Chcę, żeby te sprawy prawo regulowało na tyle, na ile trzeba, i nie będę biegał i potępiał w każdego, kto przekroczył prędkość w terenie zabudowanym, bo i na moim liczniku różnie bywa, co stwierdzam ze wstydem. Z drugiej strony sądzę, że mamy w Polsce dość wszelkiej maści hipokrytów, którzy bez litości potępiają innych za swoje własne słabości i grzechy. Przypomina to nieco te aktywistki feministyczne manifestujące w czarnym marszu, które deklarowały, że kobiety nie mogą być zmuszane do rodzenia „potworów”, mówiąc o chorych, nienarodzonych dzieciach. Zapewne większość z nich uważa, że nazwanie niedosłyszącego albo kogoś z krótszą nogą „niepełnosprawnym” jest niepoprawne, bo przecież powinniśmy mówić „sprawny inaczej”.

*Mamy w Polsce dość wszelkiej maści
hipokrytów, którzy bez litości potępiają
innych za swoje własne słabości i grzechy*

Myślę, że hipokryzji mamy taki wylew, że nie chcę stano-
wić dla niej konkurencji. Skąd się więc biorą zarzuty o mój
rzekomy klerykalizm? Bo na antenie publicznego radia po-
jawiają się informacje dotyczące Kościoła, a nie tylko rozwa-
żania lewicowych publicystów i byłych jezuitów na temat
pedofilii w Kościele. Bo jak milion ludzi odmawiało różaniec,
to owe publiczne radio o tym mówiło, a nie tylko o czarnych
czy czerwonych (w obronie ubeckich emerytur) marszach.
Bo jak są święta, to są święta i ludzie chcą o tych świętach
słuchać, bo poza garstką antyklerykałów dla reszty to bardzo
ważny czas.

Dwie historie z przeszłości polskich mediów publicznych,
które chyba dobrze to pokazują. Jeden z kierowników tłum-
maczący na zebraniu, że rocznica obchodów chrztu Polski
nie interesuje jego odbiorców, bo to jakieś kościelne sprawy.

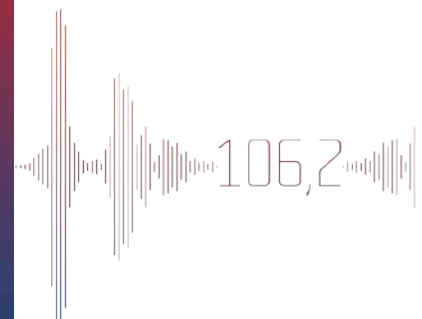


I młody dziennikarz dopytujący się, na jakie dni tygodnia przypadają święta Wielkiejnocy, bo „nie jest w temacie”. Sorry, na tym tle rzeczywiście chyba jestem fanatycznym klerykałem. Szczególnie po Wielkiejnocy.

Wiktor Świetlik

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

REKLAMA



www.radiowarszawa.com.pl

55/0318/F

ROBERT MAZUREK

Ekstremista myje nogi

Och, jakże często my, felietoniści, udajemy, że piszemy o sprawie, by tak naprawdę pisać o sobie. I nawet nie dlatego, że zawód ten uprawiają ludzie z nadwyżką ego, po prostu formuła felietonu do tego skłania. Dziś więc spróbuję zrobić odwrotnie. Niby będzie o mojej osobie, ale tak naprawdę o sprawie.

Otóż dwumiesięcznik „Press” postanowił napisać o mnie artykuł. Tu wyjaśnienie, czym jest „Press” – ano jest periodykiem o mediach, z którym mam pewien problem. Otóż udając, że jest arbitrem w środowiskowych sporach, de facto jest jego stroną. O jego twórcach można powiedzieć, że może człowiek wyjść z „Wyborczej”, ale „Wyborcza” z człowieka nie wyjdzie. Zgodziłem się jednak na rozmowę z bardzo miłą skądinąd panią redaktor, w wyniku której (rozmowy, nie redaktor) wpadłem w katatonie i trzeba mnie było wino podawać dożylnie.

Oslupienie spowodowane było tym, że zrozumiałem, dlaczego o mnie chcą pisać. Otóż jestem dla nich jakimś dziwem, rarogiem, tygrysem szablozębnym lub innym przedpotopowym stworem. Oni pojąć nie mogą, co „prawicowy dziennikarz” robi w mainstreamowym radiu. I tu trzeba się cofnąć, a nawet cofnąć do tyłu, by wyjaśnić podstawowe pojęcia. W świecie „Pressa” (ale nie tylko) Polskę zaludniały dwie grupy: dziennikarzy oraz „dziennikarzy prawicowych”. Ci pierwsi, bezprzymiotnikowi, mieli swój etos i byli ucieleśnieniem cnót. Ci drudzy byli chodzącym oksymoronem, czymś w rodzaju „demokracji socjalistycznej”. Wypełniali oni swym jadem – bo agresją maskowali brak talentu – polacie czarnosecinnymi pisemkami, których żaden szanujący się czytelnik do ręki nie brał.

I tu nagle dzicy wypelźli, ba, wdarli się do świątyni komercyjnych rozgłośni, zarezerwowanych dla bezprzymiotnikowych. I – jakież było zdumienie obserwatorów z branżowego saloniku – okazało się, że

Zrozumiałem, dlaczego o mnie chcą pisać. Otóż jestem dla nich jakimś dziwem, rarogiem, tygrysem szablozębnym lub innym stworem

niektórzy z nich myją ręce, a ekstremiści nawet nogi, jedzą sztuczkami i wprowadzają zamęt. Zamęt wynika z konfliktu między wyobrażeniami, między tą konstrukcją „prawicowego dziennikarza” a realiami. Rozdźwięk był na tyle duży, że trzeba to było opisać, ośwoić jakoś.

Na przykładzie mojej osoby eksperci z „Pressa” dokonują więc badań. Bo przecież taki osobnik powinien na

antenie nie tylko seplenić – co zapewniam w nadmiarze – ale i witać gości swojskim „Heil Hitler!” czy jak tam tacy jak ja się witają. A tu nic z tego. I jeszcze taki swoim trudne – ich zdaniem – pytania zadaje. Bo przecież, triumfują, w „Wiadomościach” tak się nie dzieje. Owszem, nie dzieje się, ale

takie to genius loci, tam wszak nigdy tak się nie działo, wystarczy sobie przypomnieć, co wyczyniały one za poprzedniego reżimu i za poprzedniej ekipy. Zresztą dla równowagi mógłby sobie branżowy periodyk obejrzeć „Fakty”, które od dawna oglądałem wyłącznie dla beki, ale i ta stała się nazbyt przewidywalna, więc nieśmieszna. I jak, drogi „Pressie”, to jest dziennikarstwo? Hm, ciekawe, czemu tego nie opisujecie. Albo i nie, to wcale nie jest ciekawe.

Właściwie puenta przeradza się w tej całej historii w czysty morał. Oto tak bardzo nie znamy się nawzajem – my, swojskie, ziemniaczano-żytnie wersje Hutsi i Tutu – tak bardzo podejrzewamy wyłącznie o jak najgorsze intencje, że normę znajdującą u gości z naprzeciwka traktujemy jak cud. Albo nie, nie cud, lecz sztuczkę, której używają tylko po to, by nas przechytrzyć.

Ale my się nie damy, prawda? Choćbyśmy tonęli, ręki wyciągniętej przez nich nie pochwycimy. Lepiej zginąć z okrzykiem „Tęp lewaka!”, niż na pohańbienie zezwolić. Czego sobie i państwu nie życzę.

robert.mazurek@hotmail.com



Proza i sny ministrów

Kochanie, trzeci dzień z rzędu zacierkowa – powiedział minister spraw wewnętrznych, zakręcając słoik z zupą, przygotowaną mu przez żonę na obiad, rutynowo spożywany w przerwie obrad rządu w kancelarii premiera. – Obiecuję, że na jutro do ministerstwa ugotuję ci grochową na wędzonce. Zostało trochę po wczorajszych kanapkach. – Dziękuję ci, że tak dbasz o mnie. Nie zapomniałaś dziś o łyżce? – zapytał, przypominając sobie, jak wczoraj się męczył, jedząc obiad bez łyżki. – Jest w zawiąniętym z drugim śniadaniem. Dziś będzie ci smakować. Przygotowałam kanapki z twoim ulubionym salcesonem.

Tego rodzaju scenki stały się codziennością od kilku lat, kiedy premier Mateusz Morawiecki zdecydował, że czas skończyć z rozpasaną rozrzutnością publicznego grosza, likwidując nagrody i premie dla ministrów, wiceministrów i innych najwyższych urzędników.

Tym samym w porównaniu z poprzednimi ekipami rządowymi zmienił się styl życia członków gabinetu obecnego szefa rządu. Skromność wzięła górę nad przepychem, miejsce



**Jerzy
Jachowicz**

wystawności zajęła prostota, a kolący w oczy luksus zastąpiła surowość.

Ministrowie upodobnili się do przeciętnych rodaków. Zmieniły się ich zwyczaje. Sami malują mieszkania. Kupują obuwie na Allegro, ubrania w ciucholandach bądź na bazarach. Prowadzi to czasami do zaskakujących sytuacji. Podczas międzynarodowej konferencji „Zdrowa żywność – lepsze trawienie”, która odbywała się w Dolnych Ogrodach Zamku Królewskiego, pod arkady podjechała rządowa limuzyna z naszym ministrem ekologii. Zagraniczni reporterzy rzucili się robić zdjęcia kierowcy-ochroniarzowi, biorąc go za ministra.

– Długo dziś ciągnęły się obrady rządu – powitała ministra cyfryzacji jego żona. – Smakowała ci na obiad sałatka z dorsza? – zapytała. Zanim zdążył odpowiedzieć, zasypała go innymi kwestiami: – Obiecałeś naprawić nogę krzesła w kuchni i zakleić dętkę w moim rowerze. Myślałeś o sobotniej trasie wycieczki rowerowej?

– Prawdę mówiąc, cały dzień myślałem o tym, że chyba z większym pożytkiem służyłbym Polsce w Brukseli. /

CO MNIE ZDUMIEWA

Dzień poezji

21 marca był dniem poezji. Jakoś nie widziałam recitali ani koncertów poetyckich. Nie było też modnych „projektów” poetyckich.

O tym, że w marcu jest dzień poezji, dowiedziałam się z rozmowy dwóch dziennikarzy w programie „W tyle wizji”. Jeden z prowadzących, pan Stanisław posiadający wiedzę z dziedziny literatury, muzyki i historii, oznajmiając, że mamy święto, dodał, że on poezji nie lubi. Kojarzy mu się z kiczowatością. Nawet w piosenkach interesuje go tylko muzyka.

Oj, to mi pan zrobił wielką przykrość, panie Staszku. W moim życiu poezja odgrywa wielką rolę. Wydawało mi się, że piosenka to: muzyka, melodia, ale i jakiś tekst. Niestety bardzo często w wielu piosenkach tekst jest zagłuszany złą muzyką. Rytmami niedającymi możliwości, by wyartykułować słowa. Są przecież też piękne i mądre piosenki napisane przez znakomych poetów.

Dlaczego poezja ma się kojarzyć z kiczowatością? Przecież jest uzupełnieniem naszego odbioru wrażeń i spoglądania na kulturę od najdawniejszych czasów. Ja swoje zawodowe życie związałam z poezją. Towarzyszyła mi przez wszystkie okresy



**Katarzyna
Łaniewska**

bycia tzw. artystką dramatyczną, bo taki posiadam dyplom. Mówiłam ją w całej Polsce i dla Polonii: różną poezję wieszczów narodowych. Sama tworzyłam programy. W stanie wojennym tworzyłam programy bogoojczyźniane poezji patriotycznej o naszej wolności.

Później zabrakło miejsca na wykonywanie poezji. W PRL były kluby książki i prasy oraz domy kultury. Radio i telewizja miały kąciki poetyckie. Teraz poezja zniknęła z naszego życia. Można ją czytać po cichu z tomiku lub mówić do mikrofonu. Jest także poezja do mówienia na estradzie czy w kościele.

Poezję trzeba mówić z pamięci. Wydaje mi się, że teraz moi koledzy nie mówią z pamięci. Czasami zaistnieje ona przeczytana, ale to zupełnie co innego.

Poezja kształci, wzrusza i wzbogaca nasze życie. Smutno mi się zrobiło w tym dniu poezji. Pewnie ani pan Stanisław, ani ja nie zmienimy zdania. Ale może on zechce sięgnąć do tomiku poezji Władysława Broniewskiego i przeczyta wiersz noszący tytuł „Szczęście”. Jego ostatnim zdaniem skończy swój felieton: „Szczęście to co dzień dostać jeden uśmiech i zwrócić jeden wiersz”. /

SKREŚLONE POLKOWSKI



TRENDY I OWĘDY

No Stuhr w Stuhra

*Genetyka
czasem
dotkliwie
doświadcza
kolejne
pokolenia*



**Ryszard
Makowski**

Jerzy i Maciej Stuhrowie, ojciec i syn, krakowski miniklan aktorski, robią, co tylko w ich mocy, by udowodnić, że są obdarzeni wybitnymi predyspozycjami do uprawiania tego zawodu. Widać, że to ludzie ambitni, bo ich rywalizacja, który wcieli się w większą lachudrę z aspiracjami na szubrawca, jest naprawdę fascynująca. Żaden nie ustąpi.

Podczas tegorocznej gali naszego, przepraszam za wyrażenie, przemysłu filmowego, nazywanej dla zgrywu Orlami, zleciały się sępy i papugi wszelkiej lewackiej maści, by się uroczyście namaścić. Gospodarzem branżowej nasiadówki był Maciej Stuhr, człowiek obdarzony poczuciem humoru dosyć specyficznym, ale za to konkretnym. Po słynnym obróceniu w żart katastrofy smoleńskiej i porechotaniu z żołnierzy wyklętych, na cel i pal drwiny wziął „polskie obozy śmierci”. Temat nośny i nadający się idealnie do kabaretu. Otóż anonując nagrodę w kategorii dźwięk, wtrącił wykwinny wic wspomagający światowe trendy wrabiania Polaków we współudział w Holokauście: „Podobno nawet Denis Urubko podjął próbę zdobycia K2 samotnie, ponieważ nie mógł dłużej wytrzymać w polskim obozie”. No ubaw po pachy jak świeże wiśnie! Studio Yayo przebite!

Na tej samej imprezie Jerzy Stuhr odebrał Nagrodę za Osiągnięcia Życia. Z pewnością największym osiągnięciem życia Stuhra seniora jest jego syn Maciej. No wykapany tata! A jaki talent! Też potrafi genialnie odegrać wredność emanującą z fizjonomii. **▲**

Zawistowski prezentuje: **Patriot**



Wycinki z przeszłości

W czasie gdy polskie władze szukają sposobu na promocję Polski za granicą, podpowiadamy rozwiązanie, które zastosowano w II RP: Polska Wystawa Pływająca. Tak opisywało to „Morze” z 1935 r.: „Wystawa wyruszyła z Gdyni 2 marca na statku »Dardanus« [...]”. Odwiedzi wszystkie większe porty na Dalekim Wschodzie. W każdym z nich statek zatrzymuje się, aby umożliwić zainteresowanym zwiedzanie wystawy [...]”.

Silnie prezentowany jest na wystawie przemysł hutniczy i metalowo-przetwórczy. [...] Bardzo wielki jest udział przemysłu włókienniczego. Przemysł drzewny i najpoważniejsze fabryki, produkujące dykty, formiery i meble gięte, daje przegląd możliwości eksportu tych artykułów.

Przemysł spożywczy, reprezentowany przez fabryki konserw i bekonów, fabryki wódek i likierów, daje zwiedzającemu sposobność zorientowania się w tej gałęzi produkcji.

Przemysł chemiczny z udziałem Chorzowa i Mościc, przemysł kosmetyczno-perfumeryjny, zwracają uwagę eleganckim opakowaniem swoich eksponatów.

Ponadto zwracają uwagę stoiska rzemiosła polskiego i Polskiego Monopoli Tytoniowego”.

Oczywiście czasy są inne, ale i dziś warto wysłać w świat i na morza takie reklamy polskich produktów, zamiast lekko już wyblakłe gwiazdy i gwiazdeczki z różnych dziedzin. **(mk)**



Awizo wiosenne

Chodźmy posłuchać
Przyjrzyć się tej pod Wawelem
zielonej harfie
Na skarpie
– W marcową niedzielę pyli
leszczyna
Pierwsza na przedwiośniu
solistka
Z nią muzyka pójdzie wszystka
– Z wody, z ziemi, z nieba
Zew, śpiew i rytm
Na modłę odwieczną pogańską
Na całe przestworze
Buchnie



Leszek Długosz

Dzień dwa trzy, tylko patrzeć
– Olśni, taniec szalony Świętej Wiosny Zielonej
Od Tyńca, Zwierzyńca, przez Bielany
Zakołem Wisły
Plantami dotrze
W te niedzielno krakowskie salony
Tylko słuchaj
– Jakie tam już w gałęziach i przy stolikach
Świergoty, migoty
Seledyny srebrzystości
Dzwonki, trąbki...
Ciebie też dosięgnie ?
Na Rynku podejdzie ?

W dorzeczu serca się rozszumie
Krzew gorejący
– Pół sacrum, pół profanum
W życiu, och ty w życiu...
– Coś z tego rozumiesz?

Serce pół tańczy, pół omdlewa

Chodźmy posłuchać
Przyjrzyć się tej harfie
– W marcową niedzielę
Pod Wawelem na skarpie
Lecą wprost w oczy, w ręce
Awiza wiosenne...
Kto, ile jeszcze pochwyci
Tyle mu jeszcze będzie w życiu
– Radości tej zielonej, och ty w życiu
Wiośnianej
– Tegorocznej, zdyszaney... **///**

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
w SIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i w SIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Infokalipsa

*W reakcji na każdy argument
wskazujący na potrzebę okiełznania
dzikości internetu krzyczy się
o cenzurze*

Opowiada znajomy historyk. Egzaminuje studenta: „Proszę pana, w jakim mieście wybuchło powstanie warszawskie?”. Student zafrapowany tłumaczy, że nie bardzo jest przygotowany, i może przyjdzie w innym terminie. W kolejnym terminie na to samo pytanie odpowiada już całkiem pewnie: „W Warszawie, oczywiście!”. „A kto z kim walczył?” – pyta profesor. Student: „Armia Czerwona z Sowietami”.

Ciekawe, co by odpowiedział na pytanie o Apokalipsę. Z czym mu się kojarzy.

Na razie już nadeszła infokalipsa – umysł ludzki niczym plastikowa pusta butelka dryfuje wraz z innymi śmieciami po oceanie niewiedzy.

ODRÓŻNIANIE

Ludzkie kultury jeszcze nie stały się jednym wielkim obszarem chaosu i przemocy dzięki... Dzięki zdolności do odróżniania. Zdolności do odróżniania prawdy od fałszu, faktu od fikcji, ważnego od nieważnego, zdrowego od chorego, małego od dużego, naturalnego od sztucznego. Słowem: ład społecznego świata w znacznej mierze zależy od ładu pojęciowego, czyli sieci określeń, za pomocą których świat nie tylko opisujemy, lecz go postrzegamy i nawzajem sobie komunikujemy.

Istotą wiedzy (według jednego z ujęć) jest to, że czyni ona różnicę. Jeśli jakiś infobodziec nie uzupełnia naszego obrazu świata, przestrzeni, w której się obracamy, to nie jest on wiedzą.

Infokalipsa to taka przestrzeń informacyjna, w której podlegamy tysiącom (w istocie miliardom) bodźców, których ważności i trafności nie jesteśmy już w stanie ustalić. Infokalipsa oznacza informację bez wiedzy. Jako twórca terminu „infocalypse” wskazany jest Aviv Ovadya, który w roku 2016 przewidział (jak się mówi) nadchodzący kryzys fake newsów.

DZIKI ZACHÓD

Amerykański Zachód był kiedyś dziki – był przestrzenią wolności, przygody, awanturnictwa, szans i niebezpieczeństw. Świat wielkich szans istnieje nadal, ale dzikość została opamnowana. Najpierw osadnicy sami organizowali się przed złoczyncami, a potem nastąpiła insty-

tucjonalizacja (jak mówią socjologowie) ładu normatywnego, czy wprowadzono w życie instytucje praworządności.

HISTERIA?

Gdy tylko jednemu z autorów niniejszego tekstu zdarza się publicznie wypowiadać myśl, że świat stoi w obliczu narastającej potrzeby jakiegoś uregulowania internetu (tak jak regulacjom podlega ruch drogowy i lotniczy oraz

posługiwanie się bronią palną), natychmiast w tymże internecie pojawiają się mało rzeczowe, nerwowe, niekiedy wprost histeryczne reakcje na ten temat.

Pewnie nie zawsze jest to uświadamiane, ale chodzi o obawy przed utratą specyficznej przestrzeni „prawdziwej” wolności bez granic. Choć tak naprawdę to tylko ułudą, bo rozmaite algorytmy stojące za licznymi technologiami uzależniającymi manipulują tam nami na wszystkie strony. Nawet jeśli wydaje nam się, że to my decydujemy o byciu on-line lub off-line. Na dodatek internet dzięki tej ułudzie dał przestrzeń dla bezkarności, jakiej chyba nigdy nie było w dziejach. Przestrzeń bezkarności dostępną niemal dla każdego bez większego wysiłku.

CYBERWOLNOŚĆ?

Czyżby było tak, że w najbardziej wolnym ze światów, jakie ludzkości udało się stworzyć – w dzisiejszej dostatniej demokracji – to nie świat międzyludzkich zdarzeń jest odczuwany jako przestrzeń wolności, ale właśnie i przede wszystkim internet? Rzeczywistość *dodana*, po której buszujemy w taki sposób, że mamy przy tym poczucie swobody, kreatywności, podmiotowości, a nawet mocy (przecież tu możemy nawrzucać najpotężniejszym z potężnych!).

Czy właśnie dlatego w reakcji na każdy argument wskazujący na potrzebę okiełznania dzikości sieci krzyczy się o cenzurze?

Pierwsze samochody poruszały się w warunkach braku znaków drogowych i Kodeksu ruchu. Bo aut było niedużo.

Czy wsparte sankcjami zasady ruchu drogowego jakoś nas ograniczają? Tak. Ale przecież nie mówią, obywatelko, rodaku, skąd i dokąd masz podróżować.

Kierunek możesz wybrać sobie sam.

Ale na drogę możesz wybrać się tylko autem dopuszczonym do ruchu, a realizując swoją wolność, nie masz zagrażać innym. Tylko tyle i aż tyle. **///**

**Katarzyna i Andrzej
Zybertowiczowie**



Na wiosnę dołącz do Sieci Przyjaciół

Zamów subskrypcję:

na **1** miesiąc

~~19,99 zł~~ **tylko 9,99 zł**



książka
o wartości
44,90 zł

na **6** miesięcy

89,99 zł + prezent!

na **12** miesięcy

159,99 zł + prezent!

koszulka
RED IS BAD™
o wartości 103 zł



biała lub czarna do wyboru

www.SiećPrzyjaciół.pl

Pilnujemy **Polski!**



TELEWIZJA

W POLSCE PL



OGLĄDAJ

W POLSCE PL

W



CYFROWY
POLSAT

NA POZYCJI

196